RUSZMY SIĘ
Polska fizycznie niewychowana

GRY HOŁOWNI
Słuchać ludzi to za mało

DEKADA SYRII
Wojna inna niż wszystkie

BOSKIE BARWY
Ołtarz Mariacki odkryty na nowo

GDY ŻYCIE ŚWIECI
Biologiczny zachwyt, gwiazdy pod stopami

Kraków 14 marca 2021 nr 11 (3740) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

MONIKA BRODKA

Fajna muzyczka

W WYDANIU DODATEK JUBILEUSZ KS. MICHAŁA HELLERA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE
Już w sprzedaży!

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dzieweczka, ale śpi”.

Ks. Adam Boniecki

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościół papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykaniści, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa m.in. Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.

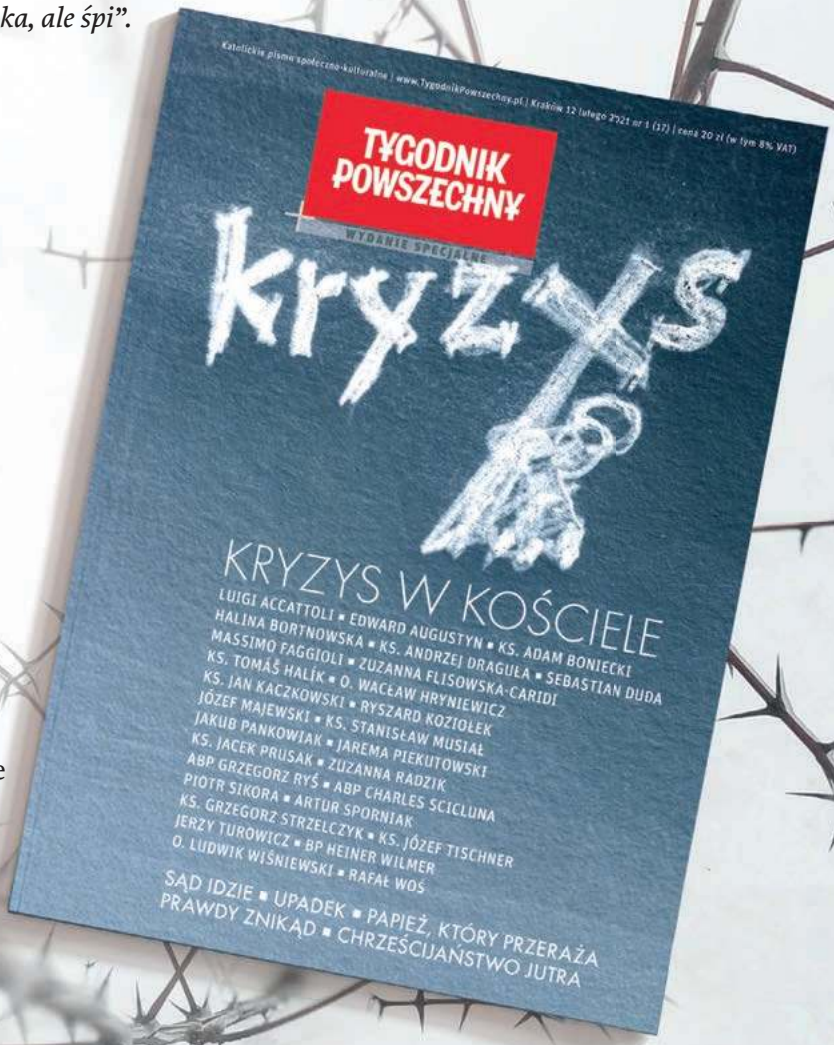

weź, czytaj!

„Kryzys w Kościele” – już w sprzedaży w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/kryzyswkosciele**

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER WYDANIA: wydawnictwo

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

KS. ADAM

Boniecki: *Sport? Nigdy nie uprawiałem*

Znane jest powiedzenie Winstona Churchilla na temat sportu: „Moje długie życie [zmarł mając 91 lat – red.] zawdzięczam sportowi. Nigdy go nie uprawiałem”. Zdanie zabawne, ale nieprawdziwe. Wiadomo np., że Churchill był wyjątkowo dobry w szermierce i nawet miał jakieś osiągnięcia w tej dziedzinie. Wiadomo też, że od młodości uwielbiał jeździć konno. Ktoś przypomniał, że przecież był żołnierzem, służył w 4. pułku huzarów, a wątpię – napisał komentator – żeby do wojska przyjmowali ludzi, którzy w życiu żadnego sportu nie uprawiali. Wcześniej ukończył królewską akademię wojskową. „I niby co tam robił? Grał w szachy?” – napisał ów anonimowy komentator. Tak więc w dyskusjach o wuefie proszę się nie powoływać na bon moty Churchilla ani innych, nawet wielkich polityków. Lepiej będzie posłuchać ekspertów, np. przeczytać znajdujące się w tym numerze artykuł Przemysława Wilczyńskiego i rozmowę Marka Rabija z psychologiem sportu prof. Jerzym Nowocieniem.

Wielu z nas żyje w błogim przekonaniu, że WF to sprawa dotycząca osób krzepkich i młodych – przecież „w moim wieku” nie będę startował w żadnej dyscyplinie, bo żyjąc zgodnie z bon motem Churchilla dożyłem swoich lat i jakoś nic się złego nie dzieje. Tymczasem z doświadczeń życiowych i naukowych badań (o których we wspomnianych tekstach jest mowa) wynika, że przeciwnie – to sprawa nas wszystkich. I że wcale nie wszyscy jesteśmy skazani na nadwagę, skoliozę, patologię kości krzyżowej, wady w piersiowym odcinku kręgosłupa, wypukły brzuch i charakterystyczny dla pracujących zbyt dużo przy biurku „wdowi garb” – by wymienić przypadłości, o których mówią nasi autorzy. Rzecz w tym, że na ogół te i podobne przypadłości powstają powoli i bezboleśnie, a zapobieganie im zwykle nie wymaga żadnych nadzwyczajnych ani kosztownych terapii. Tylko trzeba o tym wiedzieć i się stosować.

W 2010 r. Komisja Nauki, Edukacji i Sportu Senatu Rzeczypospolitej Polskiej zorganizowała konferencję „Wychowanie fizyczne i sport w szkole”. Po lekturze materiałów z niej zaczynam podejrzewać, że słabo korzystamy z dorobku poprzedników, wolimy odkrywać Amerykę od nowa i od nowa. I tak np. dr hab. Krystyna Górna-Łukasik (AWF w Katowicach) przypomniała wtedy, że wychowanie fizyczne powinno być „wspomaganiem rozwoju psychomotorycznego, zdrowia, sprawności i urody ciała oraz przygotowaniem do podtrzymywania i pomnażania tych właściwości w życiu późniejszym”. Tak więc celem WF nie jest produkowanie rekordzistów, ale przekazanie wiedzy, motywującej do sensownej aktywności fizycznej w dorosłym życiu.

Wtedy z tym wychowaniem dobrze nie było i po dziesięciu latach też nie jest najlepiej. Prof. Wiesław Osiński z poznańskiej AWF w wykładzie „Homo sedentarius” przytoczył ówczesne dane: dla ponad 50 proc. dzieci i młodzieży WF w szkole jest jedyną formą aktywności fizycznej (typu rekreacyjnego, sportowego, profilaktycznego).

W Polsce wśród dorosłych procent zadowalająco aktywnych ocenia się na 3 do 10 proc. (w Finlandii powyżej 45 proc.). Około 1 proc. starszych mieszkańców Warszawy uczestniczy w zorganizowanych formach aktywności fizycznej (w Niemczech około 25–30 proc.). Po roku pandemii i kolejnych lockdownów jest jeszcze gorzej.

I na koniec – wybaczcie *deformation professionnelle* – muszę wyznać, że niepokoi mnie wysoki procent grubych księży. Może w seminariach przydałby się mistrz od WF, a przy kuchni przynajmniej doradca-dietetyk? ©℗

W imieniu własnym i naszej rodziny serdecznie dziękuję za współczucie i bliskość okazane nam w czasie choroby i po śmierci naszej siostry śp. Krystyny Fredro-Bonieckiej. Za ogromne, cudowne wsparcie w trudnym czasie jej choroby dziękujemy Domowemu Hospicjum przy parafii św. Zygmunta w Warszawie. Niech Wam Bóg wynagrodzi.

KS. ADAM BONIECKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Rośniemy z Wami!

Rok pandemii dla wszystkich stanowił wyzwanie, wiemy jednak, że dziś „Tygodnik Powszechny” ma więcej Czytelniczek i Czytelników niż w marcu 2020.

Utrzymaliśmy sprzedaż egzemplarzową na prawie niezmienionym poziomie (-2,5%, zgodnie z danymi ZKDP za rok 2020).

O 30 procent wzrosła liczba użytkowników z wykupionym dostępem do strony **TygodnikPowszechny.pl**.

1000 osób więcej czyta nas w cotygodniowej prenumeracie wydania drukowanego.

Rośnie liczba czytających nas na Kindle oraz w aplikacji mobilnej (a także słuchających nas na **Audioteka.pl**).

Ponad 200 tys. osób miesięcznie korzysta ze strony internetowej w jej bezpłatnej wersji, w tym – słucha nas w Podkaście Powszechnym.

To dla nas wielka radość, a nowe Czytelniczki i nowych Czytelników gorąco witamy.

„Tygodnik Powszechny” jest suwerenny dzięki Wam!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Niewychowani fizycznie
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Zdalna nauka wraz z wuefem „na sucho" przypieczętowała ruchowo-zdrowotny krach wielu młodych Polaków.

17 Co nas rusza
ROZMOWA Z PROF. JERZYM NOWOCIENIEM, PSYCHOLOGIEM SPORTU
Sport to nie tylko obiektywna wartość, ale również coś zwyczajnie pożytecznego.

26 Zwierzę to jest ktoś
ROZMOWA Z DOROTĄ SUMIŃSKĄ, LEKARKĄ WETERYNARII
Nie ma drugiego gatunku, który najpierw się zaprzyjaźni, a potem zabije i zje.

32 Papież musi wierzgnąć
RAFAŁ WOŚ
Buntowniczy i krytyczny wobec kapitalizmu Franciszek podzielił się swoją marką z najbogatszymi tego świata. Czy to ma sens?

62 Uczucia sprzeczne
ROZMOWA Z ORĄ DRESNER, PSYCHOTERAPEUTKĄ
Niekiedy jest tak, jakbym miała 15 lat, a nie 72. Wie pani, że dziś trzeba się solidnie napracować, żeby kogoś znaleźć? Nie bardzo sobie wyobrażam randkowanie w ciemno.

92 Fajna muzyczka
ROZMOWA Z MONIKĄ BRODKĄ, ARTYSTKĄ:
Ludzie widzą filigranową kobietę, więc nie spodziewają się charakteru, który jest z tym ciałem zespolony. I pojawia się zgrzyt.

DEKADA SYRII

42 Laboratorium czarnoksiężnika
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Dziesięć lat temu zaczęła się wojna syryjska*

45 Matki, żony, wdowy
BARTOSZ RUMIEŃCZYK Z LIBANU: *Reportaż z „obozu wdów"*

58 Krwawe lwy Damaszku
PAWEŁ PIENIĄŻEK: *Rodzina Asadów rządzi Syrią od półwiecza*

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA GAZETA // ALBERT ZAWADA / WYDAWNICTWO LITERACKIE // MARCIN MAZUR DLA „TP" // BARTOSZ RUMIEŃCZYK // MARCIN KEMPSKI / I LIKE PHOTO // THOMAS MUKOYA / REUTERS / FORUM

6 Birma umiera złą śmiercią
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Nie wystarczy słuchać obywateli
PAWEŁ MARCZEWSKI: *Szymon Hołownia proponuje referenda w palących sprawach, a w żadnej nie przedstawił własnej propozycji*

26 Zwierzę to jest ktoś
ROZMOWA Z DOROTĄ SUMIŃSKĄ

29 Dzień dobry, umieramy
MARIUSZ SEPIOŁO: *Extinction Rebellion znów protestuje*

WIARA

32 Papież musi wierzgnąć
RAFAŁ WOŚ

36 Niewiasta obleczona w kolory
MAGDALENA ŁANUSZKA: *Ołtarz Mariacki błyszczy dawnym splendorem. Jaskrawej kolorystyki można bronić, odwołując się do teologii*

40 Trans z Tischnerem
ARTUR SPORNIAK: *Jak dzisiaj czytać teksty filozofa z Łopusznej?*

ŚWIAT

42 Laboratorium czarnoksiężnika
KRZYSZTOF STRACHOTA

45 Matki, żony, wdowy
BARTOSZ RUMIEŃCZYK Z LIBANU

47 Syria: zrujnowana gospodarka
PAWEŁ PIENIĄŻEK

48 Katalonia w ogniu
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z TERRASSY I BARCELONY: *Na ulicach hiszpańskich miast protestują młodzi. Chodzi o granice wolności słowa. Ale nie tylko*

ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP"

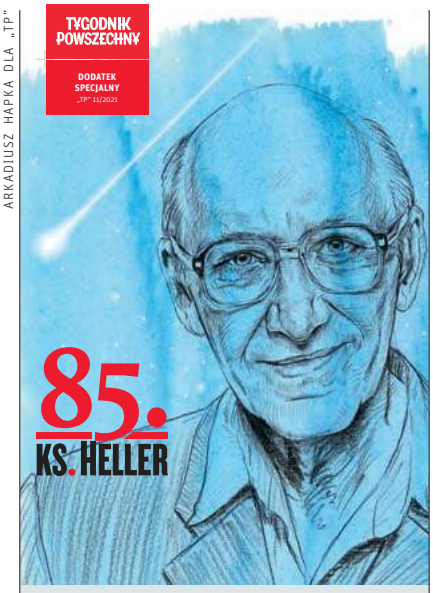

69 JUBILEUSZ KS. PROF. MICHAŁA HELLERA
O najważniejszych zmaganiach filozofa, kosmologa, teologa, popularyzatora nauki i księdza: z ostatecznym wyjaśnieniem wszechświata, z matematyką, z Bogiem, z poszukiwaniem sensu.

FELIETONY
31 DOROTA MASŁOWSKA
41 ZUZANNA RADZIK
68 ANDRZEJ STASIUK **105** PAWEŁ BRAVO
110 STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: Monika Brodka, styczeń 2021 r.
FOTOGRAFIA: Marcin Kempski / I LIKE PHOTO
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

51 Kulturalne odmrożenie
INGA ROGG Z JEROZOLIMY: *Pandemia: do normalności w Izraelu jeszcze daleko*

53 Stan zapaści
PATRYCJA BUKALSKA: *Trzecia fala doświadcza Czechy*

54 W duchu Aloha
JUSTYNA MATKOWSKA Z HONOLULU *o artyście, który ratuje tożsamość Hawajów*

HISTORIA

58 Krwawe lwy Damaszku
PAWEŁ PIENIĄŻEK

Z ODDECHEM

62 Uczucia sprzeczne
ROZMOWA Z ORĄ DRESNER, PSYCHOTERAPEUTKĄ

NAUKA

88 Modelowa współpraca
KASPER KALINOWSKI: *W którymś momencie naszej ewolucyjnej historii ludzie stali się bardziej tolerancyjni*

KULTURA

92 Fajna muzyczka
ROZMOWA Z MONIKĄ BRODKĄ, ARTYSTKĄ

97 Duma i pouczenie
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK: *Rebecca Solnit oprowadza czytelników po galerii niemych kobiet*

100 Przedmioty i żywe istoty
PIOTR KOSIEWSKI: *Dlaczego dziś, w dobie tak wielu możliwości, nadal upierać się przy tym, żeby być rzeźbiarzem?*

102 Jesteśmy łatwopalni
ANITA PIOTROWSKA *o filmie Mariusza Wilczyńskiego „Zabij to i wyjedź z tego miasta"*

104 Pożegnanie z Arkadią
LEKTOR *o „Ogrodzie bogów" Geralda Durrella*

ZMYSŁY

106 Jarzy się
SZYMON DROBNIAK *o bioluminescencji*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Luty w nauce [Podkast Powszechny]
Jak brzmi najstarszy flet świata? – posłuchaj w podkaście **ŁUKASZA LAMŻY**, który opowiada też m.in., co nauka wie o stosowaniu przypraw **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

Papież odwiedził Irak
Franciszek poruszał się prowadzony śladami cierpienia zwykłych ludzi – piszą **ANNA** i **KAROL WILCZYŃSCY**
powszech.net/franciszekirak

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

BIRMA UMIERA ZŁĄ ŚMIERCIĄ

Armia, która obaliła legalnie wybrany rząd, wysyła społeczeństwu coraz bardziej brutalne sygnały, by nie liczyło na ustępstwa. Ale Birmańczycy posmakowali demokracji i łatwo jej nie oddadzą.

MAREK RABIJ

Co najmniej 50 zabitych i 1700 aresztowanych; blisko 400 miast, w których doszło do antyrządowych wystąpień – oto bilans ostatniego miesiąca w Birmie, gdzie 1 lutego armia siłą odsunęła od władzy Narodową Ligę Demokratyczną. Aresztowaną liderkę NLD Aung San Suu Kyi oskarżono m.in. o posiadanie nielegalnych środków łączności. W państwie o totalitarnych ciągotkach paragraf znajdzie się także na noblistkę sprawującą funkcję premiera.

Proces Suu Kyi, cieszącej się w Birmie olbrzymim poparciem, to jeden z wielu ostentacyjnych gestów złej woli, na jakie armia pozwala sobie coraz częściej. 3 marca w Mandalaj śmierć z rąk żołnierzy poniosła 19-letnia Kyel Sin, która na demonstrację założyła T-shirt z napisem „Wszystko będzie dobrze". Tego samego dnia zginęło także dwoje znanych poetów młodego pokolenia: K Za Win oraz Kyi Lin Aye. Ta ostatnia kilka godzin wcześniej napisała na Facebooku, że „umrze złą śmiercią".

Birmańczyków, którzy zdążyli posmakować demokracji (rządząca od 1962 r. armia w 2011 r. zaoferowała kohabitację tępionej dotąd opozycji), lutowy zamach zbudził nagle z pięknego snu o życiu w państwie prawa. Społeczeństwo nigdy nie ufało armii, ale wy-

Demonstranci kryją się przed kulami. W czarnej koszulce z lewej 19-letnia Kyel Sin; za chwilę zginie. Mandalaj w Birmie, 3 marca 2021 r.

starczała nadzieja, że generałom nie opłaca się demolka demokratycznego układu z opozycją, którym kupili sobie wreszcie akceptację na arenie międzynarodowej. Wolne wybory w 2015 i 2020 r. nie osłabiły przecież pozycji armii, która nadal cieszyła się autonomią od władz cywilnych. Wojskowi mieli liczne przywileje socjalne, a generalicja, która zdążyła uwłaszczyć się na części birmańskiej gospodarki, zachowywała też kontrolę nad resortami siłowymi i 25 proc. miejsc w parlamencie, które zabezpieczały Tatmadaw (to oficjalna nazwa sił zbrojnych) przed niekorzystnymi dlań zmianami konstytucji. Po ostatnich wyborach parlamentarnych, w których NLD zdobyła 83 proc. mandatów, generałowie doszli jednak najwidoczniej do wniosku, że zapoczątkowany w 2011 r. eksperyment „zdyscyplinowanej demokracji" (to ich autorski wkład w myśl politologiczną) wyrwał się im spod kontroli. W tej sytuacji zrobili to, co potrafią najlepiej – użyli przemocy.

Birmańczycy jeszcze nie kapitulują. Wojsko niemal każdego dnia brutalnie dusi wielotysięczne demonstracje. Kobiety świadomie wykorzystują siły przesądu, który zabrania mężczyznom przechodzić pod suszącą się damską garderobą (co ma grozić utratą *poun*, czyli męskiego ducha). Barykadują przed żołnierzami ulice, rozwieszając nad nimi spódnice i bieliznę. Ale to armia ma dziś w ręku wszystkie atuty: od karabinów, przez zachowawcze nastroje części społeczeństwa, które obawia się powtórki masakry z 1988 r., aż po apatię społeczności międzynarodowej, która jednoczy się już w wygodnym konsensusie, że pucz to wewnętrzna sprawa Birmy.

Zabity K Za Win tak pisał do ojca w wierszu „List z celi więziennej" (w przekładzie Krzysztofa Czyżewskiego):

Jeśli twoja religia zabrania ci
przeklinać tę klikę,
pozwól mi wyrzec się jej.
W twoim imieniu
uczynię powietrze niebieskim.

Młodzi Birmańczycy zaczynają rozumieć, że na ołtarzu wolności mogą złożyć w ofierze już tylko siebie. ©℗

REUTERS / FORUM

Ziobro na tropie rosyjskich spisków

JEST NIEMAL PEWNE, że partia Zbigniewa Ziobry nie poprze ratyfikacji unijnej umowy, która dotyczy stworzenia funduszu odbudowy państw członkowskich po koronawirusie. To konsekwencja sprzeciwu Solidarnej Polski wobec budżetu Unii, w którym znalazło się powiązanie wypłaty środków pomocowych z przestrzeganiem praworządności.

Według planów Polska ma z funduszu odbudowy otrzymać 153 miliardy zł w postaci kredytów i ok. 100 miliardów zł bezzwrotnych dotacji. Jarosław Kaczyński naciska na Ziobrę, ale bardziej prawdopodobne jest, że rękę do ratyfikacji przyłoży opozycja z PO, Lewicy lub PSL. Choć buńczucznie stawia Kaczyńskiemu warunki, to biorąc pod uwagę prounijne nastawienie swego elektoratu, nie bardzo może zagłosować przeciw.

Pewne jest jedno: dyscyplinowanie sojusznika kompletnie Kaczyńskiemu się nie udaje. Sygnałem ostrzegawczym miało być odwołanie z rządu najbardziej kontrowersyjnego polityka Solidarnej Polski Janusza Kowalskiego. Wyszło dokładnie odwrotnie. Kowalski po dymisji ma dużo większą swobodę w atakowaniu PiS.

To on prowadzi ziobrystów na kolejne wojny, choćby w energetyce. Atakuje PiS za decyzję o odchodzeniu od węgla, wpisaną w strategię energetyczną do 2040 r. Ziobryści promują się wśród związkowców na Śląsku, a jednocześnie straszą uboższych wyborców podwyżkami cen energii. W dodatku chcą zablokować fundamentalną operację na rynku paliwowym – fuzję Orlenu z Lotosem. Połączenie tych firm to marzenie prezesa Kaczyńskiego, który chciałby przekształcić Orlen w gigantyczny konglomerat, widoczny w globalnym biznesie. Solidarna Polska bije jednak PiS jego własną bronią: tropieniem rosyjskich spisków. Na fuzję co prawda zgodziła się Komisja Europejska, ale przedstawiła drastyczne wymagania, w tym sprzedaż na wolnym rynku sporej części biznesów Lotosu. Ziobryści dowodzą, że bez względu na to, kto je teraz kupi, finalnie właścicielami staną się Rosjanie. Solidarna Polska cały swój aparat zaangażowała w próbę zablokowania tej operacji.

Ziobryści coraz wyraźniej pokazują, że dogmat o nieomylności prezesa uważają za niebyły. A to tylko przygrywka do wojny na prawicy o to, co po PiS.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

W sprawie KRS Unia gada do obrazu

PAWEŁ BRAVO

Pogłębia się klincz między instytucjami unijnymi – które potwierdzają stanowisko znacznej części środowisk prawniczych – a obecnymi władzami w sprawie zmian w wymiarze sprawiedliwości. W zeszły wtorek Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że przepisy ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa, które uniemożliwiają sędziom odwołanie się od jej decyzji, by nie zgłaszać prezydentowi ich kandydatur do Sądu Najwyższego, mogą naruszać prawo UE. Rozwiązanie takie było kluczowe dla obecnej władzy, by „zabetonować" kolejne zmiany w składzie SN czynione przez upolitycznioną w 2018 r. KRS. Kilku sędziów świadomie wzięło udział w konkursach przez nią organizowanych, spodziewając się, że jako potencjalnie niewygodni dla PiS zostaną pominięci przez Radę, po czym je zaskarżyli do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Ten zaś, jak wynika z orzeczenia TSUE, będzie mógł dalej badać tę konkretną sprawę, a niejako po drodze także kwestionować niezawisłość sędziów powołanych po 2018 r. do SN.

Niezależnie od dalszych kroków prawnych, które w krótkiej perspektywie nie zmienią stanu faktycznego ani co do składu SN, ani co do sposobu powoływania KRS, orzeczenie daje, jak podkreślają przeciwnicy trwających już pięć lat zmian w sądownictwie, ważne narzędzie, by w przyszłości, po zmianie większości sejmowej i rządu, zniwelować ich skutki. Z drugiej zaś strony przedstawiciele władzy w sposób jeszcze ostrzejszy niż zwykle okazali swój sprzeciw bądź lekceważenie wobec rozstrzygnięć unijnych: Julia Przyłębska zarzuciła unijnemu Trybunałowi naruszanie naszego ładu konstytucyjnego, minister Zbigniew Ziobro stwierdził po prostu, że wyroku nie uznaje. ©℗

Dylematy trzeciej fali

W STOŁECZNYCH i małopolskich szpitalach kończą się miejsca dla chorych na COVID-19. Za nami kolejny tydzień wzrostów liczby zakażeń i hospitalizacji oraz – z dwu-, trzytygodniowym opóźnieniem – wskaźników zgonów. Lekarzy niepokoi, że do szpitali trafiają pacjenci młodsi niż przy poprzednich falach. To efekt m.in. dominacji bardzo silnie zakaźnego wariantu brytyjskiego SARS-CoV-2.

Michał Rogalski, autor bazy danych na temat przebiegu pandemii w Polsce, ocenia, że fala powoli traci impet. Niemniej „szczyt na horyzoncie nie oznacza, że za nim będą tylko spadki". Wielu badaczy uważa, że apogeum nastąpi na początku kwietnia i trzecia fala nie będzie tak dramatyczna jak jesienna – choć wydolność systemu ochrony zdrowia czeka ciężka próba.

Już 6,7 proc. Polaków przyjęło przynajmniej jedną dawkę szczepionki, obie – 3,8 proc. Zakażenia wśród zaszczepionego personelu medycznego spadają na łeb na szyję. Wielkość zabezpieczonej populacji jest jednak bardzo mała i nie stanowi żadnej bariery dla wirusa – choć pod względem tempa szczepień i tak jesteśmy unijnymi liderami. Niektóre rządy tracą cierpliwość i nie tylko oskarżają Komisję Europejską o nieudolne negocjacje z koncernami (wolne tempo szczepień w Unii wynika z rwących się dostaw), ale szukają alternatywnych rozwiązań. W Niemczech wraca postulat dogadywania się z koncernami w ramach grupy bogatych państw. Austria, Dania, Czechy, Słowacja wykazują – wzorem Węgier – zainteresowanie niezarejestrowanym w UE preparatami z Rosji i Chin. Austria i Dania myślą poważnie o szczepionkowym sojuszu z Izraelem.

Unijny komisarz ds. rynku wewnętrznego Thierry Breton uspokaja tymczasem, że już w kwietniu liczba dawek szczepionek dostępnych w UE podwoi się – do poziomu 100 mln miesięcznie, a plan zaszczepienia 70 proc. populacji do końca lata nie jest zagrożony. Unia stara się też pokazać pazury: m.in. zabroniła firmie AstraZeneca eksportu do Australii 250 tys. dawek. Polski rząd patrzy w przyszłość optymistycznie. Deklaruje, że w drugim kwartale będziemy szczepili nawet 7 mln osób miesięcznie. Są to plany oparte na obietnicach producentów.

©℗ MACIEJ MÜLLER

KRAJ W SKRÓCIE

JĘDRZEJ NOWICKI / AGENCJA GAZETA

RADA
„Dziś słowo »Murzyn« jest nie tylko obarczone złymi skojarzeniami, jest już archaiczne" – napisała Rada Języka Polskiego, rekomendując unikanie go w mediach, administracji i szkołach (poza historycznym cytatem).

KODEKS
Archaiczne wydają się też niektóre zapisy kodeksu karnego: zgłoszona przez Lewicę, przygotowana przez organizacje kobiece nowelizacja zakłada, że definicja gwałtu ma być oparta na braku zgody na współżycie, a nie na konieczności stawiania widocznego oporu. „Kobiety, i nie tylko one, potrzebują tej ustawy bardziej niż kwiatka na Dzień Kobiet" – mówi posłanka Anita Kucharska-Dziedzic.

MASZYNA
O archaiczności organizowania uroczystości nadania imienia maszyny, która będzie drążyć łączący wyspy Uznam i Wolin tunel pod dnem Świny, nie będziemy się wypowiadać: impreza, na której przemawiali, kolejno, wicepremier Kaczyński i premier Morawiecki, z definicji nie może być archaiczna.

ZJAZD
A prezydent znów szusuje: tym razem Andrzej Duda wziął udział w charytatywnej imprezie narciarskiej na Polanie Szymoszkowej, choć pod stokiem, gdzie odbywały się zawody, pojawili się protestujący przeciw covidowym obostrzeniom przedsiębiorcy.

Jak uratować SOR-y?

ANNA GOC

Brakuje nawet 1500 lekarzy medycyny ratunkowej – to jeden z głównych wniosków opublikowanego właśnie raportu Najwyższej Izby Kontroli, która sprawdzała, jak działa system Państwowego Ratownictwa Medycznego. W 2018 r. zatrudnionych w nim było nieco ponad tysiąc lekarzy ze specjalizacją z medycyny ratunkowej, co stanowiło 39 proc. zapotrzebowania.

„Karetka nie przyjechała na czas", „pacjent czekał osiem godzin na szpitalnym oddziale ratunkowym" – takich informacji, zwłaszcza w ostatnich miesiącach pandemii, nie brakowało. Kontrolerzy NIK sprawdzili, co dzieje się za drzwiami SOR-ów. Lekarze pełnili nawet 80-godzinne dyżury bez odpoczynku, a ci z zespołów ratownictwa medycznego pracowali po 144 godziny z zaledwie godzinną przerwą. Zdarzało się, że na oddziałach dyżurował jeden lekarz (nie zawsze specjalista medycyny ratunkowej), a do pacjentów wysyłano zespół bez lekarza.

Trudna sytuacja może się pogłębiać, bo jeśli w 2018 r. wykorzystanych zostało 13,7 proc. przygotowanych miejsc szkoleniowych ze specjalizacji w medycynie ratunkowej, to w 2019 r. już zaledwie 9,6 proc. Mimo wzrostu nakładów finansowych (o 5 proc. na SOR-y i 10 proc. na zespoły ratownictwa) we wszystkich skontrolowanych szpitalach były problemy z pokryciem kosztów działalności SOR-ów z kontraktów NFZ. Straty, z którymi borykają się szpitale, sięgają nawet kilku milionów złotych. ©℗

W tym czasie zginęli

MIESIĘCZNY WIKTOR z Rudy Śląskiej, zabity przez rodziców. Niespełna roczny Szymon z Legnicy, pobity przez matkę i jej partnera. Trzyletnia Hania z Kłodzka, pobita przez mamę i jej konkubenta, wcześniej m.in. oblewana lodowatym prysznicem „za moczenie nocne".

Te i inne historie przytacza Koalicja na Rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej, przypominając w liście otwartym prezydentowi RP, że ponad półtora roku temu – przy okazji tragedii Blanki z Olecka – jego Kancelaria zobowiązała się stworzyć nowe prawo. Chodziło o procedurę Child Death Review (analiza śmierci dzieci; istnieje np. w USA czy W. Brytanii), mogącą odpowiedzieć na pytanie, dlaczego polski system jest bezradny wobec przemocy. Minęło 19 miesięcy, Kancelaria Prezydenta w tej sprawie milczy.

– Ten list to rodzaj krzyku: „Mamy dość czekania" – mówi „Tygodnikowi" Joanna Luberadzka-Gruca z Koalicji. – Oczekujemy informacji, co się dzieje z zapowiadanym projektem. Mając przed oczami historie takie jak ta Hani sprzed kilku tygodni, nie bierzemy nawet pod uwagę, że ktoś tę sprawę uznał za mało ważną. ©℗ PW

AMINU ABUBAKAR / AFP / EAST NEWS

ŁZY RADOŚCI. Tym razem skończyło się szczęśliwie: 279 uczennic, uprowadzonych z internatu w mieście Jangebe (Nigeria) przez uzbrojonych napastników, po pięciu dniach zostało zwolnionych. Było to kolejne takie zbiorowe porwanie. Uprowadzanie ludzi dla okupu – przez bandy kryminalne i grupy ekstremistyczne, jak islamska Boko Haram – to plaga Nigerii. Na zdjęciu: jedna z uwolnionych dziewcząt, Jangebe, 3 marca 2021 r. ©℗ WP, AFP/DPA

O Nigerii pisze też Wojciech Jagielski w rubryce internetowej Strona Świata.

Zachód–Rosja: sankcje za Nawalnego

W MINIONYM TYGODNIU USA ogłosiły kolejną listę sankcyjną: znalazły się na niej nazwiska siedmiu wysoko postawionych rosyjskich urzędników i 14 instytucji związanych z produkcją broni chemicznej. To reakcja na otrucie Aleksieja Nawalnego nowiczokiem. Władze Rosji uznały listę za „igranie z ogniem" i akt nieprzyjazny, psujący i tak napięte stosunki, opozycja – za zbyt miękką reakcję, która nie wpłynie na złagodzenie polityki Kremla wobec przeciwników.

Osoby z listy nie będą mogły wjechać do USA, ich aktywa tamże zostaną zamrożone. Poważniejsze wydają się skutki sankcji dla instytucji: przewidziany jest zakaz eksportu towarów i technologii, które mogą służyć do produkcji broni chemicznej, a także komponentów używanych przez rosyjską zbrojeniówkę. Może to spowolnić realizację ambitnych projektów Putina.

Powyższe sankcje można uznać za przygrywkę do spodziewanych kolejnych restrykcji wobec Rosji. USA zapowiedziały odpowiedź za rosyjskie ataki hakerskie na amerykańskie serwery i ingerencję w poprzednie wybory prezydenckie. Rozważane są sankcje wobec oligarchów bliskich Kremlowi.

Za łamanie praw człowieka pakiet sankcji wobec czterech osób z rosyjskiej wierchuszki wprowadziła też Unia Europejska – to druga transza, pierwszą wprowadzono w październiku ub. roku. Nie wszyscy unijni politycy popierają ostrzejszą linię wobec Kremla. Była minister spraw zagranicznych Austrii Klaudia Kneissl, tańcząca na swoim weselu z Putinem, kandyduje do rady dyrektorów koncernu Rosnieft'. „Godna emerytura za walczyka" – piszą krytycy. Nie brakuje też przeciwników sankcji, nawołujących do „dialogu z Moskwą".

Tymczasem Nawalny został 25 lutego wywieziony z Moskwy do kolonii karnej, gdzie ma odbywać karę 2,5 roku pozbawienia wolności. Przez wiele dni nie było żadnej wiadomości o jego miejscu pobytu, wreszcie dopuszczono do widzenia z adwokatami w areszcie Kolczugino, gdzie skazany odbywa kwarantannę. W opinii większości obserwatorów Nawalny zostanie osadzony w IK-2 w pobliżu Pokrowa w obwodzie włodzimierskim, kolonii znanej z surowych warunków.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Irlandia Północna: siła emocji

CHOĆ TO SYMBOLICZNY GEST, a nie zapowiedź zerwania pokoju, w Irlandii Północnej nawet takie deklaracje traktuje się z powagą: paramilitarne ugrupowania unionistyczne – czyli dążące do zachowania więzi regionu z Londynem – wycofały poparcie dla porozumienia wielkopiątkowego, które w 1998 r. zakończyło trwający tu trzy dekady konflikt. Powodem jest tzw. protokół irlandzki, zawarty w brytyjsko-unijnej umowie brexitowej, który po 1 stycznia 2021 r. wprowadził kontrole celne towarów transportowanych do Irlandii Północnej (w tym także wwożonych z innych części Zjednoczonego Królestwa).

Od dwóch miesięcy Belfast miał przejściowe problemy z importem. Niedawno Londyn przedłużył jednostronne moratorium na niektóre kontrole; w odpowiedzi w minioną środę Bruksela zapowiedziała „kroki prawne". Po styczniowym sporze o dostawy szczepionek przeciw COVID-19 to już drugi taki konflikt – a dla unionistów dowód na rzekomą utratę brytyjskiej suwerenności nad własnym systemem gospodarczym. Ostatnio to właśnie argumentacja ekonomiczna zyskuje u nich na znaczeniu. Nic dziwnego: poparcie dla porozumienia wielkopiątkowego jest w Irlandii Północnej wysokie, a w styczniowym sondażu „Sunday Times" 51 proc. ankietowanych opowiedziało się za przeprowadzeniem w ciągu pięciu lat referendum w sprawie zjednoczenia z Republiką Irlandii.

W liście do premiera Johnsona lojalne Londynowi ugrupowania paramilitarne obiecały wprawdzie „pokojowy i demokratyczny" sprzeciw wobec porozumienia, jednak ostrzegają: „Prosimy nie lekceważyć siły emocji w tej kwestii, odczuwanych w całej unionistycznej rodzinie". Policja informuje o wyczuwalnym w tych społecznościach wzburzeniu; przy słynnej ulicy Sandy Row w Belfaście, zamieszkanej przez unionistów, namalowano mural przestawiający Michaela Gove'a, brytyjskiego ministra odpowiedzialnego za protokół irlandzki, podając jego domowy adres; w miastach portowych pojawiły się plakaty z groźbami wobec celników. Nic nie wskazuje, aby w najbliższych tygodniach napięcie miało spaść.

©℗ MARCIN ŻYŁA

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

KRZYSZTOF STRACHOTA opowie o trwającej już 10 lat wojnie w Syrii (czytaj tekst na s. 42) Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w środę 10 marca o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Pierwsza świecka komisja

PIOTR SIKORA

Wrocławscy dominikanie wydali oświadczenie, w którym przyznali, że pod koniec lat 90. „ówczesny duszpasterz pod pozorem pobożności wyrządził wielką krzywdę wiernym, stosując przemoc fizyczną, psychiczną, duchową, a nawet seksualną” oraz że „pomoc udzielona wówczas osobom poszkodowanym nie była adekwatna do rozmiaru krzywdy i nie wszystko zostało przez Zakon zrobione, aby przynieść im ulgę i przywrócić poczucie sprawiedliwości”.

Bracia wyrażają żal i solidarność z ofiarami. Co więcej – uznają, że krzywd mogło być więcej. Zachęcają zatem wszystkich skrzywdzonych, by zgłosili się do nich. Obiecują wysłuchanie i wsparcie, a także przekazanie sprawy prowincjałowi i organom ścigania. Wyrażają nadzieję, iż uczciwa konfrontacja z ciemnymi stronami działalności zakonu i głębsze zrozumienie mechanizmów zła pozwoli zapobiec podobnym sytuacjom w przyszłości.

Wrocławskich dominikanów wsparł prowincjał, o. Paweł Kozacki. Zapowiedział też, że powstanie specjalna komisja złożona z osób świeckich niezależnych od zakonu, do której będzie można zgłaszać wszystkie nadużycia seksualne wobec nieletnich, których sprawcami byli polscy dominikanie.

Jeśli za deklaracjami pójdą realne działania, będzie to pierwsza w polskim Kościele tego typu komisja i dobry przykład, jak kościelne instytucje powinny reagować na zło, którego były przyczyną. ©℗

Niedziela i tron

„ZAPRASZAMY WSZYSTKICH do budowania kultury niedzieli wolnej od przymusu pracy” – napisali polscy biskupi w liście w 1700. rocznicę ogłoszenia przez Konstantyna Wielkiego niedzieli jako dnia wolnego. Zachęcają, by niedziela wiązała się z odpoczynkiem i „odrodzeniem osłabionych więzi rodzinnych i społecznych”.

To postulaty oczywiste. Wątpliwości budzi jednak sama okazja. IV wiek rozpoczyna erę tzw. konstantynizacji Kościoła. Cesarz dostrzegł polityczną wartość współpracy z biskupami: gminy chrześcijańskie miały stabilną strukturę, obecną we wszystkich prowincjach. Jako zwierzchnik wszystkich religii imperium m.in. zmusił biskupów do zredagowania wspólnego wyznania wiary; kolejni władcy, jak Justynian, dla uspokojenia sytuacji w cesarstwie bez wahania wtrącali się w spory teologiczne czy personalne. Władza polityczna za prawa sprzyjające Kościołowi kazała sobie płacić lojalnością, ale dla obu stron był to korzystny układ.

I nieprzypadkowo w procesie zbratania hierarchii z władzą świecką upatruje się dziś korzeni najpoważniejszych kryzysów Kościoła. ©℗ MACIEJ MÜLLER

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

NAGRODA MUSIAŁA
Dziennikarz i historyk Marian Turski oraz działaczka społeczna Anna Brzyska (na zdjęciu) zostali laureatami Nagrody im. ks. Stanisława Musiała za rok 2020, przyznawanej osobom zasłużonym dla dialogu chrześcijańsko- i polsko-żydowskiego. Turski został wyróżniony za nawoływanie „do porzucenia wygodnej postawy obojętności i braku reakcji na zło”, a Brzyska – za przywracanie pamięci o dawnych żydowskich mieszkańcach Brzeska.

MAT. PRASOWE UJ / FRANCISZEK MAZUR (MHZP)

NIEWINNOŚĆ TĘCZY
Ten symbol nie może być uznany jako sam w sobie znieważający – powiedziała sędzia Sądu Rejonowego w Płocku, uzasadniając uniewinnienie trzech kobiet, które w kwietniu 2019 r. umieszczały w okolicach kościoła św. Maksymiliana Kolbego w Płocku wizerunki Maryi z tęczowym nimbem w proteście przeciwko homofobicznej instalacji Grobu Pańskiego. Wyrok oprotestowali płoccy biskupi.

BEZPIECZNA POMOC
Prowadzona przez świeckich unikalna w skali Polski inicjatywa „Zranieni w Kościele”, która niesie pomoc osobom skrzywdzonym przez przedstawicieli Kościoła, 10 marca obchodzi drugą rocznicę istnienia. Dyżurując w każdy wtorek od godziny 19 do 22 przy telefonie zaufania o numerze 800 280 900, psychoterapeutki odbyły już blisko 300 rozmów.

Franciszek w Iraku: dość przemocy

PAPIEŻ zrealizował marzenie, które wielokrotnie wyrażał i mimo grożącego mu niebezpieczeństwa w dniach 5-8 marca odwiedził Irak i Region Kurdystanu. „Niech ucichnie broń! Niech będzie ograniczone jej rozprzestrzenianie tu i wszędzie!” – o pokoju w kraju, który od 2003 r. rozrywany jest konfliktami, Franciszek zaczął mówić niemal bezpośrednio po wylądowaniu w stolicy. Odwiedził społeczności chrześcijańskie w Bagdadzie, Erbilu, Mosulu i Karakosz.

Symboliczną wymowę miały zwłaszcza dwa spotkania. Podczas zjazdu międzyreligijnego w Ur chaldejskim, mieście narodzin biblijnego patriarchy Abrahama, głos oddano Irakijczykom różnych wyznań, którzy mimo doświadczenia przemocy usiłowali żyć w pokoju. Pośród gruzów placu kościelnego Hosh al-Biaa w Mosulu, z którego terroryści islamscy uczynili swoją główną siedzibę, Franciszek odmówił modlitwę za ofiary terroryzmu. Jednak podczas spotkania ani razu nie padła nazwa zbrodniczych organizacji odpowiedzialnych za zniszczenie miasta. Papież chciał skupić uwagę świata wyłącznie na cierpiących ofiarach. „Tobie zawierzamy wszystkich, których życie ziemskie zostało skrócone gwałtowną ręką ich braci i sióstr. Modlimy się również za tych, którzy wyrządzili taką krzywdę swoim braciom i siostrom” – mówił Franciszek.

Istotne ze względu na napiętą sytuację w regionie bliskowschodnim było spotkanie w Nadżafie, świętym mieście islamu szyickiego, z czołowym irackim duchownym, 90-letnim Alim as-Sistanim. Choć po spotkaniu nie padły oficjalne deklaracje, irackie władze doceniły jego znaczenie, ustanawiając dzień 6 marca Dniem Tolerancji i Koegzystencji.

Zwieńczeniem pielgrzymki była msza święta z udziałem niemal 10 tys. osób na stadionie piłkarskim w Erbilu.

Dzięki papieskiej podróży świat mógł spojrzeć inaczej na Irak, o którym od lat mówiło się wyłącznie w kontekście uchodźstwa i przemocy, doceniając jego bogactwo kulturowe. Jednocześnie papież po raz kolejny pokazał, jak ważne jest dla niego spotkanie z człowiekiem.

© ANNA WILCZYŃSKA
KAROL WILCZYŃSKI

KULTURA W SKRÓCIE

ODKRYCIA
21 datowanych na przełom XIII i XIV w. miejsc pochówku oraz wcześniejsze ślady osady mieszkalnej z pozostałościami rzemieślniczych dymarek odkryto w podziemiach kościoła Wszystkich Świętych i Matki Bożej Różańcowej w Pszczynie. Badacze podkreślają, że sposób pochówku wskazuje na odmienny od przyjętego w tamtym czasie obrządku – ciała były układane w grobach bez żadnej osłony, ale z ogromną starannością. Po zakończeniu badań planowane jest udostępnienie krypty zwiedzającym.

ZNIKNIĘCIA
Przegląd dokumentów „Herstorie na Dzień Kobiet", który miał się odbywać online na stronie Filmoteki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego, w ostatnim momencie został „zawieszony z przyczyn formalnych". Zawieszony został także dotychczasowy szef FINA, Dariusz Wieromiejczyk. Byłemu już dyrektorowi przekazano, że „Herstorie" zdjęto decyzją ministra Glińskiego.

WYRÓŻNIENIA
Agnieszka Holland została laureatką Czeskiego Lwa. Reżyserkę wyróżniono za film „Szarlatan", który uznano także za najlepszy czeski film fabularny ostatniego roku (na zdj. z Ivanem Trojanem, odtwórcą głównej roli). Nagrodę Smoka Smoków podczas 61. Krakowskiego Festiwalu Filmowego odbierze twórca animacji Piotr Dumała.

TOBIAS SCHWARZ

Kargule i frustraci

JAK POLACY postrzegają rodzime kino tudzież swój wizerunek ekranowy? Rozległą, szczegółową i dającą wiele do myślenia odpowiedź przynosi raport przygotowany przez Uniwersytet SWPS na zlecenie FINA.

Najciekawsze w takich sondażach są pozorne sprzeczności. Na przykład, gdy respondenci krytykują negatywny obraz Polaka w naszych filmach – jako frustrata czy alkoholika – a jednocześnie filmem wszech czasów jest dla nich „Dzień świra". Albo kiedy walą tłumnie na odklejone od życia komedie romantyczne, lecz tęsknią za postaciami, z którymi mogliby się utożsamić. I chociaż „Kler" obejrzało aż 5 milionów Polaków, to raczej żeby utwierdzić się w tym, co i tak już wiedzieli, bo żadnego „efektu »Kleru«" przecież nie było.

Ale zstąpmy do głębi. Najchętniej oglądanym filmem w telewizji niezmiennie pozostają „Sami swoi" oraz ich kontynuacje. W tym przedziale królują też inne filmy o profilu „wiejskim", jak „Kogel mogel" czy „U Pana Boga za piecem". Jeśli połączyć to z sukcesami „Listów do M.", na Polaka portret własny złoży się przede wszystkim jego ludowa historia i wielkomiejskie aspiracje. Czyli silna potrzeba swojskości, a zarazem pragnienie, by zobaczyć na ekranie ulepszony wariant siebie – wbrew brudnym wizjom Smarzowskiego czy Vegi. Bo choć nasi widzowie dość wysoko oceniają polskie kino, to wizerunkowo – jako jednostki i zbiorowość – czują się wyraźnie niedopieszczeni.

© ANITA PIOTROWSKA

ARCHIWUM FILMU / FORUM

Test soczystej krewetki

MĄTWY potrafią powstrzymać się od jedzenia, jeżeli wiedzą, że po chwili dostaną ulubione krewetki – takie obserwacje opisali Alexandra Schnell i jej współpracownicy w „Proceedings of The Royal Society B". Badacze umieszczali pokarm za przezroczystymi przegrodami, na których widoczne były symbole. Mątwy uczyły się ich znaczeń – kwadrat to pokarm niedostępny, trójkąt – dostępny z pewnym opóźnieniem, koło – dostępny od razu. Zauważono, że kiedy mątwy spodziewały się lepszego przysmaku, były skłonne czekać z posiłkiem nawet przez 2 minuty i 10 sekund. Wydaje się, że niektóre z nich (niczym dzieci w analogicznym „teście słodkiej pianki") stosowały strategie przekierowywania uwagi – odwracały się, by oczekując, nie patrzeć na jedzenie.

Potwierdzono u mątw także efekt zaobserwowany wśród ludzi i szympansów – tym, które potrafiły dłużej czekać na nagrodę, łatwiej przychodziła nauka. Spekuluje się, że samokontrola może pomagać głowonogom w przyjmowaniu optymalnej strategii żerowania.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Maszyna losująca

W „SCIENCE" opisano urządzenie generujące losowe ciągi bitów (czyli zer i jedynek) z rekordową szybkością ok. 250 bilionów bitów na sekundę. Sercem wynalazku jest mikroskopijny laser półprzewodnikowy, który zaprojektowano tak, by nie świecił ciągłym, stabilnym światłem, lecz by „mrugał" w nieprzewidywalny sposób. Owa nieprzewidywalność wynika z prawideł mechaniki kwantowej. Urządzenie rejestruje fluktuacje światła za pomocą superszybkiej kamery i przetwarza je na szeroki strumień zer i jedynek.

We współczesnym zdigitalizowanym świecie panuje ogromne zapotrzebowanie na losowe ciągi bitów. Karmią się nimi algorytmy szyfrujące, zabezpieczające niemal każdą transmisję danych. Wbrew pozorom, wcale nie jest łatwo wytworzyć przypadkowe łańcuchy liczb. Wykorzystywane w tym celu programy – zwane generatorami liczb pseudolosowych – są szybkie, ale do pewnego stopnia przewidywalne. Dlatego w poszukiwaniu losowości sięga się po zjawiska fizyczne, takie jak szumy w obwodach elektronicznych. Te jednak są „za wolne", żeby pokryć rosnące zapotrzebowanie na przypadkowość.

Nowy prototyp może stanowić przełom. Nie tylko jest setki razy szybszy od dotychczasowych rozwiązań, ale jest też stosunkowo prosty i mały. Jak przekonują badacze, ich urządzenie bez problemu zmieści się w przyszłych smartfonach.

© TOMASZ MILLER

MARIUSZ KAPAŁA / GAZETA LUBUSKA / EAST NEWS

Zajęcia z wuefu w szkole podstawowej w Kargowej, październik 2017 r.

TEMAT TYGODNIKA

NIEWYCHOWANI FIZYCZNIE

Z nadwagą, przyspawani do biurek, zaniedbani przez szkołę. Zdalna nauka wraz z wuefem „na sucho" przypieczętowała ruchowo-zdrowotny krach u wielu młodych Polaków.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W tej nowej konkurencji – oglądaniu filmów z uczniami robiącymi przysiady – Magdalena Bucka mogłaby zaistnieć w „Księdze rekordów Guinnessa". Na razie znana jest w Kazimierzy Wielkiej, miasteczku w województwie świętokrzyskim, jako wuefistka w liceum. Wuefistka-pasjonatka: jedna z tych, które pracę i myśli o niej zabierają do domu.

Na pomysł przysiadów i dokumentujących je filmów wpadła na początku wiosennego lockdownu. Najpierw ordynowała je uczniom w liczbie kilkudziesięciu dziennie, by dojść do 250. A że uczniów ma ponad setkę, mogły się zdarzyć dni, kiedy jej wzrok rejestrował tych przysiadów nawet kilkanaście tysięcy. – Na szczęście w przyspieszonym tempie, bo zanim przystąpiliśmy do tego wyzwania, nauczyliśmy się korzystać z funkcji przyspieszania wideo – precyzuje nauczycielka.

Spotykamy się z początkiem marca na sztucznej murawie zamkniętego jeszcze przed momentem na głucho, nieużywanego od miesięcy, za to jak najbardziej realnego szkolnego orlika. Magdalena Bucka, szczupła, energiczna nauczycielka oprowadza mnie po sportowej infrastrukturze, a przy okazji wspomina prowadzone tu lekcje. Tak jakby opowiadała z sentymentem o swoim poprzednim zawodzie. – Na tej trawie czy tartanie, podczas gry, biegu, widzę, kto jest szczęśliwy i pełen energii, a kto ma jakieś zmartwienia – mówi, przechadzając się po murawie. – Edukacja bez kontaktu ma ograniczony sens. A uczniowie opowiadają mi teraz o sobie głównie za pomocą emotikonów.

Z telefonów wysyłają do niej od jakiegoś czasu swoje kroki: to wymyślone przez nią wyzwanie numer dwa. Dokładnie 12 tysięcy dodatkowych kroków tygodniowo, rejestrowanych na smartwatchach (zegarki mierzące m.in. tętno oraz spalanie kalorii) lub krokomierzach w telefonach. – Powiem panu z ręką na sercu: niemal sto procent moich uczennic i uczniów rzetelnie wykonuje zadanie – zapewnia nauczycielka, na dowód wyjmując telefon i pokazując okienko czatu, gdzie lądują zrzuty z danymi od uczniów. – Jedna dziewczyna „nabiła" raz sześć tysięcy, chodząc po domu, co nie jest łatwe, ale generalnie uczniowie ↦

↦ wykonywali zadanie na zewnątrz. Dodatkowo zrobiliśmy konkurs na fotografie. Dostaję więc nie tylko dane, ale też piękny zachód słońca albo kałużę, w której odbija się krajobraz.

Te przysiady, kroki, spacery, zdjęcia, ale też – jak zapewnia Bucka – wielogodzinne rozmowy z uczniami na temat sportu, odżywiania, zdrowia to rzecz jasna tylko namiastka tego, co przed marcem 2020 r. zwano wychowaniem fizycznym. Próba ratunku przed fizycznym kolapsem.

Niestety, w wielu szkołach skazana na klęskę.

Wuef jak mem

Nie tylko dlatego, że wielu uczniów nie dysponowało siecią czy sprzętem, a ponad 80 proc. nauczycieli przed marcem 2020 r. nie miało – jak pokazały badania Fundacji Centrum Cyfrowe – styczności z nauczaniem zdalnym.

– Wyniki nie pokazały, jak to wygląda z rozbiciem na poszczególne przedmioty, ale intuicja oraz znajomość tej grupy podpowiadają mi, że wśród wuefistów ten odsetek był jeszcze wyższy – komentuje Agata Łuczyńska, prezeska Fundacji Szkoła z Klasą, partnera badań Centrum Cyfrowego. – Niektórzy z nich w ogóle nie połączyli się z uczniami, innym się udawało, ale nie było mowy o ćwiczeniach z kamerami, bo po pierwsze aż 40 proc. uczniów odbywa lekcje zdalne za pośrednictwem telefonów, a po drugie trudno namówić nastolatków do wystawiania się na widok publiczny. I powód najważniejszy: wuefiści nie byli pewni, kto odpowiada za bezpieczeństwo uczniów podczas ćwiczeń, więc woleli zachować ostrożność.

– Ta dezorientacja została nam do dziś – dopowiada Aleksandra Krupa, wuefistka z Olkusza (woj. małopolskie), do ubiegłego roku pracująca w podstawówkach, od września zatrudniona w miejscowym liceum. – Więc o ile jeszcze wiosną zdarzało mi się wprowadzać w szkole podstawowej elementy gimnastyki, o tyle teraz nie ma już o tym mowy.

– Podobny problem zgłaszało nam wielu wuefistów – potwierdza Magdalena Kaszulanis, rzeczniczka Związku Nauczycielstwa Polskiego, który też nie dysponuje rozstrzygającą ekspertyzą, kto odpowiada za ewentualne kontuzje. – Co ma zrobić nauczyciel, jeśli widzi, że nie ma miejsca do ćwiczeń w pokoju ucznia: poprosić go o przestawienie stołu? Wuefiści raczej unikali wzmożonej fizycznej aktywności podczas lekcji.

Przybierały więc one formę wykładu, a wygranymi w tej ekstremalnej konkurencji – zdalnego nauczania czegoś, czego zdalnie nauczyć się nie da – byli ci, którzy zrealizowali minimum: skłonili uczniów do aktywności we własnym zakresie.

Bo jeśli i to nie wyszło, wuef skazany był na status karykatury i mema – jak omawianie zasad gry w krykieta, wykład z zamierzchłej historii polskiego sportu, ewentualnie nauka pływania „na sucho".

Mniej „memotwórcze", bo i mniej zabawne były sygnały o pokłosiu rocznego już okresu bezruchu najmłodszych Polaków. Bezruchu wynikającego zresztą nie tylko z faktycznej likwidacji wuefu – raport z badań naukowców różnych uczelni (AGH, UAM, Uniwersytet Gdański) „Edukacja zdalna: co stało się z uczniami, ich rodzicami i nauczycielami" pokazał, że młodzi ludzie ruszali się statystycznie mniej niż przed marcem 2020 r. także poza szkołą.

Ośmiolatek jak urzędnik

Owo pokłosie Magdalena Bucka zobaczyła we wrześniu, gdy jej uczniowie na kilka tygodni wrócili pod dach szkoły: – Dla mnie okres lockdownu to był czas zawodowego rozwoju, głównie w narzędziach do zdalnego nauczania. We wrześniu przyszłam do szkoły z nowymi pomysłami: robiliśmy wspólne wyjścia, gry terenowe, dzieciaki były przeszczęśliwe. Ale zauważyłam też koszt, jaki ponieśli: kilku osobom przybyły dodatkowe kilogramy.

Nie tylko kilogramy. Wspomniany już raport diagnozuje także zły stan psychofizyczny uczniów. „Trochę gorzej" lub „dużo gorzej" fizycznie niż przed pandemią czuło się podczas badania blisko połowa pytanych – najgorzej było wśród licealistów. Krach fizyczny trudno zresztą oddzielić od psychicznego. „Odpowiadając na pytanie o problemy psychosomatyczne (bóle brzucha, bóle głowy, trudności w zasypianiu, zdenerwowanie, przygnębienie/zły nastrój, brak energii), prawie co piąty uczeń (...) przyznał w trakcie badania, że więcej niż kilkanaście razy w ciągu ostatniego miesiąca odczuwał brak energii do działania" – piszą autorzy raportu.

Symptomatyczne, że proszeni przez badaczy o dokończenie zdania: „Kiedy przypominam sobie szkołę sprzed pandemii, najbardziej tęsknię za...", uczniowie nawiązywali do ruchu i aktywności. Za „lekcjami wychowania fizycznego, ludźmi z klasy, rozmową »twarzą w twarz«" – deklarowała jedna z pytanych osób. Za „wychodzeniem z domu do szkoły, ruchem, jakiego dostarczała mi trasa do szkoły" – stwierdzała inna.

Jeszcze bardziej wymierne, i niestety trwalsze konsekwencje rocznego bezruchu zaczęli dostrzegać w swoich gabinetach fizjoterapeuci. – Pamiętam trzynastolatkę. Taką skoliozę, jaką zobaczyłem na zdjęciu rentgenowskim, widuje się rzadko. Prawdopodobnie cierpiała już na nią wcześniej, ale epidemiczny bezruch mógł tylko pogorszyć sprawę. Albo ośmioletniego chłopca, który po rozebraniu się wyglądał jak 65-letni urzędnik: z wypukłym brzuchem i charakterystycznym dla pracujących zbyt dużo przy biurku „wdowim garbem" – opowiada fizjoterapeuta Adam Markiewicz z Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi.

Już jesienią Markiewicz alarmował w mediach, że do jego gabinetu przychodzi więcej młodych pacjentów, a w Klinice Neurologii Rozwojowej i Epileptologii CZMP notowanych jest więcej hospitalizacji. W rozmowie z „Tygodnikiem" mówi, że przyrost nastolatków z bólami (pleców, barków, miednicy, rąk, nóg, głowy) może wynosić nawet kilkadziesiąt procent.

Także z tego powodu medycy Centrum oraz Uniwersytetu Medycznego w Łodzi postanowili zbadać setkę dzieci w wieku 7–15 lat. Wyniki zbierane między grudniem a lutym robią wrażenie: niemal co trzeci uczeń cierpi na skoliozę; co drugi na otyłość bądź nadwagę; dziewięcioro na dziesięcioro ma nieprawidłowy kąt nachylenia narażonej na patologie przez zbyt długie siedzenie kości krzyżowej, a niemal sto procent jest zagrożona wadami w piersiowym odcinku kręgosłupa. Choć Markiewicz zaznacza, że – ze względu na mało liczną próbę i brak materiału porównawczego sprzed epidemii – nie da się na podstawie tych badań wyrokować o skali wpływu epidemii na kondycję młodych ludzi, to mówi też wprost: w rocznicę wybuchu pandemii z polskimi dziećmi jest wręcz tragicznie.

– Warto zdać sobie z tego sprawę teraz, by wybuch tej bomby nie zaskoczył nas

po otwarciu szkół – mówi fizjoterapeuta. – I zastanowić się, jakie społeczne i ekonomiczne koszty poniesiemy z powodu rehabilitacji tych ludzi za miesiąc, rok, ale też za 20, 30 lat. Na razie nie mamy nawet ogólnopolskiego programu profilaktyki wad kręgosłupa.

Choć przyznać też trzeba: pandemia ani w kwestii stanu zdrowia uczniów, ani ich aktywności nie była przełomem. Jeśli już, to przypieczętowała generacyjny krach.

Kroki wstecz

– Pięćset, góra osiemset. Raczej nie więcej – mówi bez dłuższego wahania Magdalena Bucka, gdy pytam ją o liczbę kroków, jaką uczniowie wykonują przeciętnie w ciągu dnia podczas pandemii. Tych cyfr kazimierska wuefistka nie wzięła z sufitu: docierają do niej zrzuty ekranów czy smartwachów ze statystykami także z tych dni, w których jej uczniowie nie realizują akurat ustalonego wspólnie zadania.

Poza pandemią nie jest wiele lepiej. – Większość mało się rusza, za to dużo siedzi nad laptopem czy telefonem – mówi wuefistka, która jest też wychowawczynią pierwszej klasy.

– Pamięta Pani swoje podwórko? – pytam.

– Gdy wychodziło się na zewnątrz, to nawet zimą mama nas z tego mrozu nie mogła ściągnąć. Zmarzniętych i z soplami zwisającymi z nosa. Sanki, piłka, biegi, zabawa. Zmieniło się jeszcze jedno: nie mieliśmy komórek, a zawsze był sposób, by się spotkać na zewnątrz. Dziś komórki są, a spotkań niewiele. Mamy tu niedaleko zbiornik retencyjny, wokół którego można spacerować: są altanki, alejki, siłownie. Obserwuję w okolicach weekendu, jak młodzi ludzie podjeżdżają na parking przy tym zbiorniku. I wie pan co? Większość zostaje w samochodach!

Sporządzony w 2018 r. przez Instytut Matki i Dziecka raport nt. aktywności fizycznej dzieci i młodzieży przytacza dane międzynarodowego programu badawczego HBSC – ankiety mają za zadanie ustalić m.in., jaki odsetek młodych ludzi spełnia zalecany przez Światową Organizację Zdrowia wymóg 60 minut na dobę w ruchu. W grupie wiekowej 10–19 spełniało go ostatnio nieco ponad 15 proc. badanych Polaków (chłopcy 18,1 proc., dziewczęta 13,2 proc.) – przy czym wskaźniki te lecą w dół wraz z wiekiem respondentów. Dane o regularnej aktywności spadają też dramatycznie w przekroju historycznym: np. w 2014 r. w grupie 11–15 lat niemal co czwarty pytany zażywał 60 minut ruchu dziennie, zaś cztery lata później było to już tylko 17,2 proc.

Coraz gorzej jest też z ogólnym stanem najmłodszych Polaków. Przygotowywany przez OECD raport „Health at a Glance" podaje wskaźniki nadwagi wśród dzieci w wieku 5–9 lat. Średnia, do której dobijamy i my, to już ponad 30 proc. najmłodszych z naddatkiem kilogramów. W przypadku Polski, a także kilku innych krajów byłego bloku wschodniego oraz Turcji, największe wrażenie robią jednak wzrosty w porównaniu z 1990 r. Sięgające... trzystu procent.

Za to odpowiada także szkoła.

> Średnia, do której dobijamy, to ponad 30 proc. najmłodszych z naddatkiem kilogramów. W porównaniu z 1990 r. ich liczba wzrosła o... trzysta procent.
> **Za to odpowiada także szkoła.**

Zwolnieni z wuefu

Obrazki oglądane podczas krótkiego, plenerowego spaceru z Magdaleną Bucką ukazują polski paradoks. Wuefistka pokazuje mi dwa świetnie utrzymane boiska, osobny budynek z szatniami i prysznicami, jakiego nie powstydziłby się dobry klub sportowy, dodatkowo umiejscowioną w jeszcze innym budynku siłownię. Ogólnego obrazu nie jest w stanie zmienić należąca do starego świata sala gimnastyczna – kazimierskie liceum i przylegający doń teren to jedno z setek miejsc, w których dokonała się przez ostatnie kilkanaście lat sportowo-infrastrukturalna rewolucja.

Nie wszędzie jednak przełożyła się ona na podobną rewolucję w nauczaniu: za wuefem ciągną się w polskim systemie edukacji stare problemy. I to już na samym początku. Uczniowie pierwszych trzech klas podstawówek zażywają ruchu pod okiem wychowawczyń – oznacza to, ni mniej ni więcej, że polski uczeń przez ponad jedną czwartą swojej drogi do matury pozbawiony jest fachowej opieki wuefisty. – Nie mam nic do pań z nauczania początkowego, ale to nie zawsze są dobrze prowadzone zajęcia. W najlepszym wypadku odbywają się jakieś ćwiczenia na korytarzu, idzie się na spacer albo plac zabaw, w najgorszym zajęć nie ma, bo trzeba np. odrobić zaległości z innych dziedzin – mówi Aleksandra Krupa.

Efekt olkuska wuefistka obserwowała przez lata, pracując w podstawówkach: – Dostawałam w czwartej klasie dzieci, które po trzech latach szkoły nie potrafiły robić najbardziej podstawowych rzeczy: skakać, łapać piłki czy rzucać nią. Jeśli więc narzekamy, że społeczeństwo za mało się rusza, albo że nie mamy sukcesów w piłce, to pamiętajmy, że droga do porażki zaczyna się już tu, w pierwszych klasach szkoły.

Iga Kazimierczyk, prezeska Fundacji „Przestrzeń dla Edukacji", widzi to jako część szerszego problemu: przeładowane podstawy programowe, pogoń za przerabianiem kolejnych punktów planu sprawiają, że poświęca się w szkolnej codzienności to, co wydaje się mniej ważne. – Nawet na tym etapie nauki nie ma czasu na swobodną zabawę czy spontaniczną aktywność fizyczną. Trzeba pędzić z materiałem – ocenia ekspertka.

Według Kazimierczyk z jeszcze innego powodu nie udaje się wuef na dalszych etapach edukacji. – O ile nauką do klasy trzeciej rządzi dobra skądinąd zasada zintegrowanego nauczania, o tyle od klasy czwartej zaczyna się praca z nieśmiertelnym w polskim szkolnictwie podziałem na przedmioty – dodaje szefowa „Przestrzeni...". – Mało komu przychodzi do głowy, że lekcje fizyki, biologii czy przyrody można by świetnie połączyć z wychowaniem fizycznym. Jednak w naszym sztywnym modelu wuef, jako osobny „moduł", żyje sobie osobnym życiem szkolnego „michałka", którego mało kto traktuje poważnie.

– Wychowanie fizyczne od dawna jest traktowane jako przedmiot drugiej kategorii – potwierdza Agata Łuczyńska ze Szkoły z Klasą. – Pokazują to badania, w których pytaliśmy nauczycieli, jak często przychodzą do nich podczas zebrań rodzice. Okazało się, że wuef jest na szarym końcu. Częściej odwiedza się nauczyciela plastyki.

↦

Ale co najważniejsze, lekcji wuefu nie szanują często sami uczniowie, czego jednym z pośrednich przejawów jest trawiąca polską szkołę plaga zwolnień. – Takiej skali problemu nie pamiętam – przyznaje Aleksandra Krupa. – W jednej z moich grup zwolnienia przedstawiło aż dziesięć dziewczyn. Nie mogłam w to uwierzyć: przynosiły zaświadczenia jedna po drugiej.

Potwierdzają to od lat statystyki: absencje na szkolnym wuefie sięgają kilkunastu procent w podstawówkach, i nawet ponad 25 proc. w liceach.

Zajęcia na macie

Powodów takiego stanu rzeczy może być kilka.

Pierwszy: infrastruktura. Mimo wspomnianej rewolucji, według Agaty Łuczyńskiej nadal jest w Polsce wiele miejsc, w których brakuje albo przestrzeni do ćwiczeń, albo do regeneracji po ich zakończeniu. – Dla czternasto- czy szesnastolatki brak szatni z prysznicem jest problemem, więc trudno się dziwić, że uczniowie w tym wieku czasami rezygnują z wuefu – mówi ekspertka.

Problem drugi: sami wuefiści. – Niektórzy niestety uwierzyli, że to zajęcia mało ważne, i niezbyt się do nich przykładają – uważa Aleksandra Krupa. – Tymczasem nawet słynne „zajęcia na macie, czyli macie piłkę i gracie" wymagają wstępu, objaśnienia zasad, pokazania podstaw gry. Niestety nie zawsze się to na zajęciach dzieje.

Problem trzeci: mimo równościowych haseł, wuef to w polskich warunkach zbyt często zabawa dla silnych, szybkich i sprawnych. Według Agaty Łuczyńskiej to podejście pokutuje nawet w polityce państwa. – Prowadząc program „WF z Klasą" zawsze promowaliśmy ideę sportu i aktywności dla wszystkich, a nie wyścigu wybranych – przypomina prezeska Szkoły z Klasą. – Bo fundamentalne pytanie brzmi: kogo my chcemy mieć po skończeniu szkoły? Stany Zjednoczone na przykład mają wybitnych sportowców i otyłe społeczeństwo. My jako państwo też zdajemy się podążać w tym kierunku. Patrząc na organizowane na poziomie ministerialnym konkursy, można odnieść wrażenie, że łowienie talentów to nasz główny cel.

Gorzej, jeśli to także główny cel nauczyciela. – Z rozmów z uczniami i uczennicami wynika, że wiele z nich nie lubi wuefu przez stres – ocenia Iga Kazimierczyk. – Wynika on z ducha rywalizacji i konkurencji. Jeśli dziewczyna ma rzucać piłką lekarską na ocenę, a po prostu nie ma do tego talentu, to zrobi wszystko, by zaoszczędzić sobie nerwów przynajmniej w tej dziedzinie, skoro szkoła i tak dostarcza wystarczającej ilości stresu.

Aleksandra Krupa opowiada o chłopcu, który chciał zrezygnować z ćwiczeń. – Raz mówił, że zapomniał butów, innym razem że plecaka – wspomina nauczycielka. – Dzięki szczerej rozmowie z nim i jego rodzicami udało się ustalić, że po prostu wstydził się rozbierać ze względu na nadwagę.

To nie wyjątek. Przygotowany przez Instytut Matki i Dziecka w 2019 r. raport „Zdrowie i styl życia polskich uczniów" przynosi m.in. wniosek, że uczniowie otyli nieuczęszczający na zajęcia wuefu funkcjonują emocjonalnie lepiej niż ci uczęszczający. „Efekt ten może być skutkiem braku ekspozycji tych uczniów na porównania społeczne w obszarze wyglądu i sprawności i/lub wydolności fizycznej" – pisze Hanna Nałęcz, jedna z autorek raportu.

– Dlatego tak ważne jest, by nie oceniać sprawności fizycznej – mówi Magdalena Bucka, zapewniając, że nie stawia uczniom stopni za same osiągnięcia. – Nie wolno nikogo karać za to, że nie jest wirtuozem koszykówki. Oceniam za starania, za postęp, za chęci. Każde inne podejście jest zabijaniem w młodych ludziach chęci ruchu.

Nierówno ruchliwi

Z badań ankietowych przeprowadzanych przez IMiD można się dowiedzieć jeszcze jednej ważnej rzeczy: ogólny poziom aktywności dzieci zależy od poziomu aktywności ich rodziców. A to oznacza, że zamknięcie szkół wyostrzyło nierówności nie tylko cyfrowe czy sprzętowe, ale także te związane z ruchem, pozostawiając dzieci rodziców niemobilnych na pastwę fotela i kanapy.

Także dlatego ponowne otwarcie szkół będzie wybawieniem. Bo choć szkoła oferuje dzisiaj w kwestii ruchu niewiele – dla niektórych to „niewiele" jest wszystkim. Wszystkim, nie licząc owych ośmiuset kroków rejestrowanych na smartwatchach podczas zdalnej nauki.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Co nas rusza

PROF. JERZY NOWOCIEŃ, PSYCHOLOG SPORTU:

Oby w polskim myśleniu o aktywności fizycznej zaszła taka ewolucja jak w podejściu do edukacji: że to nie tylko obiektywna wartość, ale również coś zwyczajnie pożytecznego.

MAREK RABIJ: Zauważył Pan? Wystarczyło kilka ciepłych dni

PIOTR SKORNICKI / AGENCJA GAZETA

Wuef w szkole podstawowej nr 10 w Poznaniu, maj 2013 r.

i parki zaroiły się od rowerzystów oraz biegaczy.

JERZY NOWOCIEŃ: Oczywiście, że zauważyłem. Ale czy chce pan przez to powiedzieć, że z aktywnością fizyczną w Polsce nie jest tak źle, jak się nam wydaje? Gdy punktowo przyjrzymy się temu zjawisku, np. w dużych miastach, obraz będzie rzeczywiście się różnić od popularnego wyobrażenia Polaka, który stroni od aktywności fizycznej.

I nie chodzi o prosty podział na duże miasta i małe miejscowości. Obawiam się, że obojętność wobec aktywności fizycznej jest bardziej egalitarna, łączy przedstawicieli różnych środowisk.

A już myślałem, że poradzi mi Pan, żeby wyrzucić do kosza wyobrażenie nieskłonnego do sportu rodaka.

To wyobrażenie, niestety, ma pokrycie w rzeczywistości. Proszę spojrzeć na wyniki badań aktywności fizycznej Polaków. Nawet minimum ruchu – określone obecnie w wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) na poziomie pięciu tysięcy kroków dziennie – sprawia nam kłopot, bo mieści się w tym limicie mniej niż jedna trzecia Polaków.

Zaraz, większość z nas robi tyle w drodze do pracy i z pracy. Rozumiem ostatni rok, kiedy epidemia wielu uwięziła w domach. Ale wcześniej?

Dojazd do pracy czy wyjścia na zakupy są ograniczoną aktywnością fizyczną, bo przecież mówi pan o dojazdach, które lepiej zamienić na „dochodzenie" do pracy. A jeśli dojazd – to rowerem. Faktem jest, iż obecnie do aktywności fizycznej zaliczamy wszelkie formy ruchu wykonywane podczas czynności domowych, nawet prace porządkowe.

Jakieś kalorie przy tym się spala.

Tyle że w aktywności fizycznej nie chodzi tylko o spalanie węglowodanów i tłuszczów. Gdybyśmy mieli się posłużyć definicją, musielibyśmy stwierdzić, że jest nią każda aktywność skoncentrowana na ciele, podczas której angażuje się mięśnie szkieletowe i następuje wydatek energetyczny. Przede wszystkim chodzi tu zaś o celowość i świadomość działań na rzecz organizmu.

Powtórzę, trawestując Galileusza: ale jednak się poruszam. Czy to nie najważniejsze?

Oczywiście, będzie miał pan rację, gdy sprowadzimy rzecz wyłącznie do bilansu energetycznego. Proszę jednak pamiętać, że mówimy o sferze ludzkiej aktywności, którą nazywa się kulturą fizyczną, a słowo „kultura" oznacza kultywowanie, pielęgnowanie. Wróćmy więc do wytycznych WHO. Te niespełna 30 proc. Polaków mieszczących się w wyznaczonym minimum aktywności fizycznej to osoby, które są aktywne fizycznie właśnie z myślą o poprawie własnej wydolności, odporności czy po prostu dla lepszego samopoczucia.

Dlaczego to takie ważne?

Bo chodzi o świadomość tego, że aktywność fizyczna jest szalenie ważna dla holistycznego rozwoju człowieka – nie tylko ciała, ale pełnej osobowości. Rozumieli to świetnie starożytni Grecy, streszczając ideał wychowania w postulacie kalokagatii, czyli harmonii pomiędzy tym, co w człowieku piękne, i tym, co dobre. Tymczasem szkoła w Polsce niewystarczająco odwołuje się do tych wartości. Czy podczas swojej edukacji trafił pan na wuefistę, który nie tylko pokazał panu, jak ćwiczyć, ale też próbował wytłumaczyć, dlaczego tak ważny jest ruch?

Wiemy obaj, że to pytanie retoryczne. Tylko że wuefista w mojej podstawówce mógł bezpiecznie założyć, że po szkole i tak wybiegam swoje z kolegami na podwórku.

Dziś podwórka świecą pustkami. Na domiar złego edukację zredukowano do etapu przygotowującego do pracy. W tej optyce zdarza się, niestety, że lekcje wychowania fizycznego uchodzą po prostu za stratę czasu – bo można by je spożytkować na naukę czegoś pożytecznego.

Właśnie na tym polega główny problem z aktywnością fizyczną. Nie chodzi o to, że nie lubimy się ruszać, bo większość ludzi nie lubi się męczyć. Nie chodzi również o klimat, który faktycznie ↦

↦ nie sprzyja przebywaniu na świeżym powietrzu, ale umówmy się, o wiele ruchliwsi jako nacja Skandynawowie mają pod tym względem jeszcze trudniej. W naszym społecznym systemie wartości aktywność fizyczna plasuje się po prostu nisko. Zdecydowanie za nisko.

Dlaczego?

To już pytanie do historyka idei lub antropologa. Mogę się z panem podzielić własnymi przeczuciami, które podpowiadają mi, że w społeczeństwie takim jak polskie, z wysokim odsetkiem osób pochodzenia wiejskiego i małych środowisk, wszystko co wiąże się z wysiłkiem fizycznym, nadal nie uchodzi za równie wartościowe jak „praca umysłowa" – a zwłaszcza, gdy nie przekłada się na wymierne korzyści.

W pamięć zapadł mi wywiad z jednym z naszych emerytowanych mistrzów olimpijskich, który opowiadał, że u progu kariery zmagał się z brakiem akceptacji ze strony rodziny. Ojciec zaaprobował jego pomysł na życie dopiero wtedy, kiedy syn zaczął przynosić do domu pieniądze. Doskonałe wyniki sportowe, które wcześniej osiągał jako amator, dla jego najbliższych nie miały odpowiedniej wartości.

Dopiero od niedawna, za sprawą wybitnych postaci w sporcie, często pokazywanych wraz z osiągnięciami materialnymi, opinia publiczna zaczyna dostrzegać w wybitnych zawodnikach także ludzi sukcesu. Nadal świetnie ma się za to krzywdzący stereotyp sportowca, który – mówiąc delikatnie – nie jest tytanem intelektu, choć zapewniam pana jako wieloletni wykładowca AWF, że od dawna nie ma on nic wspólnego z rzeczywistością.

Sportowcy nie są bohaterami masowej wyobraźni?

Ależ bywają. Ale nie jest nią aktywność fizyczna. Uprawia pan jakiś sport?

Biegam.

Systematycznie czy od czasu do czasu?

Staram się trzy-cztery razy w tygodniu. Wychodzi oczywiście różnie.

A dlaczego pan to robi?

Bo odkryłem, że dzięki temu o wiele lepiej się czuję. Nawet lepiej mi się pracuje.

Nagle znaleźliśmy się w świecie, w którym może niewielu ludzi chce być aktywnymi fizycznie, za to wielu rozumie, że **tak po prostu wypada.**

Proszę zauważyć, sam pan to nazwał odkryciem. Czyli nie było to dla pana oczywiste – tak jak oczywiste było choćby to, że warto się uczyć języków obcych.

Ależ co Pan mówi? „W zdrowym ciele zdrowy duch". „Sport to zdrowie". Wymieniać dalej?

Pewnie zna pan też powiedzenie, że „nauka to potęgi klucz". Ale założę się, że uczył się pan tych języków nie dlatego, że tak mówiła obiegowa mądrość, lecz dlatego, że dostrzegał pan realne korzyści płynące z ich znajomości. Właśnie na tym polega nasz problem z upowszechnianiem kultury fizycznej. Może zbyt mocno przywiązujemy się do nauczania ruchu, ćwiczeń, przewrotów, skoków w dal, trenujemy bieganie na tysiąc metrów, zamiast pokazywać, że ruch może sprawiać przyjemność i dawać wymierne korzyści. Życzyłbym sobie – i nam wszystkim – żeby w polskim myśleniu o aktywności fizycznej zaszła taka ewolucja, jaka w minionych dekadach spotkała podejście do edukacji: że to nie tylko obiektywna wartość, ale również coś zwyczajnie pożytecznego.

Ci biegacze i rowerzyści w parkach już to wiedzą?

Tak. Cieszy mnie zwłaszcza widoczny – nie tylko na ulicach, ale także w różnych badaniach – wzrost aktywności fizycznej osób w wieku, nazwijmy to, dojrzałym. Ile ma pan lat?

Czterdzieści siedem.

W pokoleniu pańskich rodziców bycie aktywnym fizycznie w takim wieku uchodziłoby już za fanaberię. Może nawet dziwactwo, ale pamiętajmy, że większość ludzi pracowała wtedy fizycznie. Dziś widok pięćdziesięciolatka na siłowni czy podczas przebieżki nie robi już wielkiego wrażenia, ale też warto podkreślić, że w skali całej populacji poziom wyeksploatowania organizmu pięćdziesięciolatka jest obecnie nieporównywalnie niższy, niż był pół wieku temu. Postępowi medycyny zawdzięczamy nie tylko coraz dłuższe życie, także jego rosnący komfort.

Ale to nie wyjaśnia, jakim cudem ludzie, którzy przekonania o potrzebie aktywności fizycznej nie wynieśli ani z domu, ani ze szkoły, nagle, często już jako dorośli, zaczynają uprawiać sport. A wybierając dziecku szkołę, kierują się także liczbą takich zajęć dodatkowych jak basen czy tenis.

Bo aktywność fizyczna w Polsce lat 90. zaczęła funkcjonować podobnie jak wiele innych aspektów tzw. zachodniego stylu życia w typowej dla tamtych czasów formie, czyli jako gotowy produkt. Każdy podręcznik marketingu zaczyna się od stwierdzenia, że potrzeby konsumpcyjne można zagospodarować, ale można je także wykreować. U nas tę potrzebę ruchu kreowano. I to skutecznie, bo w czasie, gdy miejskie bieżnie i boiska zbudowane za PRL zarastały zielskiem, otwierały się kolejne kluby fitness i siłownie.

W tamtej opowieści o ludziach sukcesu elementem obowiązkowym była elastyczność i aktywność, także fizyczna. W reklamach rodziny jeździły na rowerach, kobiety uprawiały jogging, a mężczyźni rzeźbili mięśnie na siłowniach. W kolorowych magazynach milionerzy zawsze nurkowali, grali w golfa lub surfowali na desce. Zagraniczne korporacje przeniosły też do Polski pewne rozwiązania socjalne w postaci abonamentów członkowskich dla pracowników. I nagle znaleźliśmy się w świecie, w którym być aktywnym fizycznie może niewielu chce, za to wielu rozumie, że tak po prostu wypada. Sport, zwłaszcza ten uprawiany amatorsko, stał się symbolem statusu.

Coś w tym jest. Pamiętam, jak wiele lat temu podczas biegania spotkałem się twarzą w twarz z dwoma miłośnikami tanich win. Jeden z nich skrzywił się na sam mój widok i rzucił do kumpla: „Patrz na tego, on to na pewno nie pracuje fizycznie".

Muszę przyznać, że mam do tej komercjalizacji aktywności fizycznej niejednoznaczny stosunek. Dostrzegam jej pozytywy, bo skutecznie zaszczepiła w polskim społeczeństwie pewne zdrowe nawyki, których nie nauczyła wcześniej szkoła. Jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że sport i aktywność fizyczna sprowadzone wyłącznie do kolejnego produktu nie będą nigdy rozwiązaniem problemu, od którego zaczęliśmy naszą rozmowę.

Dlaczego?

Przede wszystkim dlatego, że trzeba takie produkty kupić. I niech pan spojrzy, jakie to przynosi rezultaty. W wielu miastach powstały bezpłatne siłownie na świeżym powietrzu. Na zamontowanych tam urządzeniach, choć nie są może szczytem wydajności i komfortu, można skutecznie ćwiczyć. Wydawało mi się, że podczas lockdownu takie miejsca będą oblegane, tyle było przecież narzekania na zamknięte siłownie. Tymczasem bywalcy takich przybytków nie rzucili się do parków. Wielu zrezygnowało z ćwiczeń z chwilą, kiedy ich rzekomo ulubiony trening został zdegradowany z wyznacznika stylu życia do prostej czynności fizycznej.

Znam takich, którzy rezygnują z biegania, kiedy nie działa im zegarek lub opaska umożliwiająca pomiar wyników treningu i pokazanie go na Facebooku.

Gdy w aktywności fizycznej widzimy tylko produkt do kupienia, oddajemy jego producentom prawo do decydowania o jego kształcie i funkcjonalności. To oczywiście wygodne, bo zamiast siedzieć w internecie i czytać np. o ćwiczeniach mięśni brzucha, po prostu idzie pan na siłownię, płaci trenerowi i ćwiczy pod jego okiem, robiąc szybkie postępy.

I co w tym złego?

Nic. Rzecz w tym, że biznes okołosportowy, jak każdy inny, jest nastawiony na stały wzrost zysków. Architektom tych aktywności zależy przede wszystkim na tym, żeby wycisnąć z klientów jak najwięcej pieniędzy. Mnożą więc pseudonaukowe teorie, na podstawie których da się zalewać rynek nowymi produktami.

Pamiętam sprzed kilku lat modę na tzw. bose bieganie. Chodziło o to, żeby biegać w butach, które możliwie najdokładniej oddają naprężenia, jakich doświadczałyby stopy i nogi osób biegających boso – bo tak miało być ponoć najzdrowiej. Po roku czy dwóch okazało się, że to bzdura i pewny sposób na poważną kontuzję.

To już skrajny przypadek. Mnie chodzi raczej o to, że aktywność fizyczna aranżowana na zasadach komercyjnych z reguły zmierza w stronę przesadnego skomplikowania i uzależnienia od gadżetów. Żaden producent nie wyjdzie do klientów z przekazem: „Włóż na siebie cokolwiek, wyjdź z domu i ciesz się ruchem – cokolwiek byś robił". Powie raczej: „Bez tego i tego nawet nie zaczynaj, bo zrobisz sobie krzywdę, w najlepszym razie szybko się zniechęcisz". A w ten sposób sedno sprawy, jakim jest aktywność fizyczna, staje się jedynie pretekstem dla określonych, wyreżyserowanych przez producenta zachowań konsumenckich.

A mnie się jednak wydaje, że nadal potrafimy tej komercjalizacji uciekać. Ostatnia zima upłynęła niemal w całej Polsce pod znakiem spontanicznego morsowania.

A potem morsować zaczęli także celebryci – aż pewnego dnia w pewnym znanym markecie sportowym pojawił się nagle dział z akcesoriami do morsowania. Rynek nie znosi próżni. Także sportowy.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. JERZY NOWOCIEŃ jest kierownikiem Katedry Pedagogiki i Psychologii Kultury Fizycznej warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Bada m.in. pedagogiczno-społeczne uwarunkowania aktywności fizycznej dzieci, młodzieży i dorosłych oraz szkolne wychowanie fizyczne.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Wieczne światło

Nie tylko w kościołach płoną wieczne lampki. Kiedyś oliwne, dziś elektryczne, pełgają w synagogach przy mieszczących zwoje Tory arkach (zwanych przez niektórych „szafami ołtarzowymi"). Wyrażenie *ner tamid* (wieczna lampka) znajdziemy w Pięcioksięgu dwukrotnie (Wj 27, 20 i Kpł 24, 2), ale trudno nam będzie wyłuskać je z polskiego tłumaczenia. W Świątyni – zarówno przenośnej, jak i stacjonarnej – nad rozpraszającą nocny mrok złotą menorą czuwał sam arcykapłan. Prorok Zachariasz, przy wizji złotego świecznika, został pouczony przez anioła: „Nie mocą, nie siłą, lecz przez Mego ducha". Tak działa światło – pod warunkiem, że nie stoi pod korcem.

Ner znaczył niegdyś „lampka (oliwna)", współcześnie oznacza świecę. W żydowskich domach, w piątek przed zachodem słońca, kobiety zapalają świece szabatowe (*ner szabat*). Co najmniej dwie, odpowiadające dwóm wersjom przykazania dotyczącego obchodzenia szabatu („Pamiętaj, abyś dzień święty święcił"). W Dziesięciu Przykazaniach w Księdze Wyjścia mamy „pamiętać" o dniu szabatu, zaś w Księdze Powtórzonego Prawa – „przestrzegać".

Światło i radość bywają używane w Biblii jako słowa bliskoznaczne. Nie zdziwi nas więc prawo sformułowane przez wielkiego średniowiecznego mędrca i kodyfikatora: nawet jeśli trzeba żebrać, by zebrać środki na kupno oleju do lampki (szabatowej), należy tak postąpić, albowiem jasność daje nam część przyjemności płynącej z szabatu. Podobnie dla muzułmanów nieodłącznym elementem obchodów ramadanu jest palący się *al fanas* – lampion (hebr. *panas*).

Wedle tradycji namiot pramatki Sary słynął m.in. z tego, że raz zapalone lampki szabatowe płonęły nieprzerwanie aż do następnego szabatu. Przeróżne cudowności skończyły się wraz z jej śmiercią, ale powróciły do namiotu dzięki wyjątkowości jej synowej, Rebeki. Także zapalanie świateł szabatowych i świątecznych to od niepamiętnych czasów domena pań domu. Towarzyszy mu tylko krótkie błogosławieństwo i kobiety często wykorzystują ten moment na osobistą modlitwę.

W naszej części świata przez wieki językiem takich suplikacji był jidysz. Niektóre kobiece modlitwy ukazywały się drukiem, jak np. monumentalne dzieło stworzone przez Sorę bas Tojwim, córkę i żonę rabina (z Satanowa), której pradziadek był przewodniczącym sądu rabinackiego w Brześciu Litewskim. U niej wyczytałam, że dwie świece to razem pięćset, co odpowiada liczbie organów mężczyzny i kobiety – uczona niewiasta ma na myśli wartość numeryczną słowa *ner* (250) oraz tradycyjnie przyjętą liczbę części ciała (mężczyźni – 248, kobiety – 252). Gdy więc będziemy zapalać świece szabatowe, Bóg uleczy nasze członki. Rozświetli też oczy naszych dzieci przy nauce świętej Tory. Czegóż nam więcej potrzeba? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wiatr w oczy

Kim są wysłannicy? Jak to, przecież to oczywiste, że papieże i biskupi, po nich prezbiterzy, diakoni, trochę zakonnic i zakonników i czasami jakiś szczególnie nabożny świecki. W Drugiej Księdze Kronik czytamy jednak: „Również przywódcy, kapłani i lud okazywali swoją niewierność, naśladując we wszystkim obrzydliwości ludów pogańskich i bezczeszcząc dom Pana, który On poświęcił w Jerozolimie. Ponieważ Pan, Bóg ich ojców, był bardzo miłosierny dla swojego ludu i troszczył się o swoje mieszkanie, nieustannie posyłał do nich swoich wysłanników. Tamci jednak szydzili z Bożych posłańców, lekceważyli ich słowa i wyśmiewali Jego proroków. Wtedy gniew Pana na Jego własny lud wzmógł się do tego stopnia, że nie było już możliwości ocalenia".

Z ewangelii Jezusa wiemy, że z Bożym gniewem wcale nie jest tak jak z ludzkim. Również dzielenie ludu Bożego na duchownych i świeckich nie jest tak oczywiste, jak się może wydawać. Prawie dwadzieścia lat temu prof. Stefan Swieżawski pisał, że jedną z największych herezji jest klerykalizm, sięgający korzeniami gnostycyzmu, którego wyznawcy dzielili chrześcijan na pneumatyków i somatyków, ludzi ducha, którymi byli duchowni, i ludzi ciała, do nich należeli świeccy. W związku z tym prof. Swieżawski zaznacza: „Mówi się: duchowieństwo, a czy my, świeccy, nie jesteśmy duchownymi? Tak więc już sama nazwa »duchowieństwo« jest gnostyczną". A co się tyczy Bożego gniewu, to w Pierwszej modlitwie eucharystycznej o tajemnicy czytamy, że Pan Bóg najpełniej objawia „swoją wszechmoc w łasce przebaczenia". Gniew Boży w przeciwieństwie do ludzkiego nie zasklepia Bożego serca, lecz skłania Boga do tym większych – jeśli tak można powiedzieć – starań o grzesznika, o jego ocalenie. Pamiętamy przecież przypowieść o pasterzu i stu owcach.

Franciszek z myślą o pielgrzymce do Iraku powiedział o sobie, że jest pasterzem ludzi cierpiących i gdyby nie było możliwości dotarcia do tego kraju zwyczajnym sposobem, skorzystałby z lotów komercyjnych, gdyż nie chce „zawieść tego ludu". Idąc za myślą Swieżawskiego – skoro wszyscy jesteśmy duchownymi, to znaczy, że jesteśmy też dla siebie duszpasterzami. Dlatego potrzebujemy szczególnej wrażliwości, uważności, by nie przeoczyć tych, którzy przychodzą od Boga. Dzisiaj takimi wysłannikami są uchodźcy. Przychodzą, żeby nam uświadomić, że ich bieda jest spowodowana również przez nas i nie da się jej zaradzić doraźną pomocą. To samo uświadamia nam Bill Gates, kiedy mówi, że przede wszystkim powinniśmy zatroszczyć się o zaspokojenie potrzeb ludzi, którzy wskutek zachodzących w świecie zmian cierpią najbardziej. Większość z nich to osoby „o kolorowej skórze i o najniższych dochodach". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Głowica węgła

Przypowieść o dzierżawcach winnicy (Mt 21, 33-46) – przypomniana niedawno przez Liturgię Kościoła – kryje w sobie, jak myślę, wiele warstw pouczenia. Każe nam ona najpierw przejrzeć się w osobach niegodziwych dzierżawców – ludzi, którzy chcą uczynić Bożą Winnicę (Kościół) swoją własnością, i zagrabić dla siebie wszystkie jej owoce. By tak się stało, gotowi są sięgnąć po gwałt i przemoc – gotowi są nawet zabić, i to nie tylko Bożych wysłanników, ale i Boga samego (w Osobie Jego Syna).

Przejrzeć się w tym lustrze to niewątpliwie ważny fragment wielkopostnego – a jeszcze lepiej codziennego – rachunku sumienia dla każdego, kto w Kościele odważył się podjąć roli jakiegokolwiek przewodnika.

Ważniejszym wszakże wyzwaniem zdaje się konfrontacja z innym zwierciadłem (Zwierciadłem), a mianowicie z postawą Boga objawionego w Jezusie Chrystusie: „Ten właśnie kamień, który odrzucili budujący, stał się głowicą węgła. Stało się to przez Pana, i cudem jest w naszych oczach" (Mt 21, 42).

To znaczy, że Bóg właśnie wtedy, gdy zostaje odrzucony, staje się zasadą i kluczowym punktem odniesienia, podwaliną wznoszonej Świątyni i spoiwem jej jedności. Odrzucony nie „obraża się", nie wycofuje, nie rezygnuje, tym bardziej nie protestuje i nie wykrzykuje – skądinąd słusznych – pretensji. Nie. Nic takiego.

Przeciwnie – właśnie wtedy, właśnie z miejsca swego odrzucenia, rozpoczyna nowy okres historii zbawienia. Co więcej, to właśnie to doświadczenie eksploduje w Nim nową siłą i możliwościami, które inaczej – na innej drodze – nie mogłyby być uwolnione.

To znaczy pewnie mogłyby, ale to On zadecydował o ich wewnętrznej przyczynowości i dyscyplinie owocowania – owocuje ziarno odrzucone, tzn. obumarłe. Tylko ono przynosi plon. Nieobumarłe pozostaje tylko jednym ziarnem: ma w sobie wprawdzie potencjał przedłużenia i pomnożenia życia; nie chce jednak z zaufaniem Panu i odwagą poddać się jego prawom.

Wiele mówi się dziś i pisze o zakwestionowaniu czy nawet odrzuceniu Kościoła. My sami o tym często mówimy i piszemy. W takiej mierze, w jakiej jest to prawda, potrzebujemy z wielką uwagą patrzeć na Jezusa, który – właśnie wtedy, gdy jest odrzucony – staje się głowicą węgła.

Im bardziej nie potrafiliśmy w pełni wykorzystać dobrego i sprzyjającego czasu, tym bardziej się mobilizujmy, by nie zmarnować czasu odrzucenia. ©

Dusza,
w której nie ma zła,
jest wolna
od niebezpieczeństw
i krzywd.

PRZYPISYWANE ANTONIEMU WIELKIEMU

Chciałbym wiedzieć,
co naprawdę
zyskał człowiek,
który nie posiadł mądrości,
i czego nie zyskał
człowiek mądry.

AL-GHAZALI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (14 – 21 III)

4. niedziela Wielkiego Postu:
2 Krn 36, 14-16. 19-23; Ps 137;
Ef 2, 4-10; J 3, 14-21;
Poniedziałek: Iz 65, 17-21; Ps 30; J 4, 43-54;
Wtorek: Ez 47, 1-9. 12; Ps 46; J 5, 1-16;
Środa: Iz 49, 8-15; Ps 145; J 5, 17-30;
Czwartek: Wj 32, 7-14; Ps 106; J 5, 31-47;
Piątek – Uroczystość św. Józefa:
2 Sm 7, 4-5a. 12-14a. 16; Ps 89;
Rz 4, 13. 16-18. 22; Mt 1, 16. 18-21. 24a;
Sobota: Jr 11, 18-20; Ps 7;
J 7, 40-53;
5. niedziela Wielkiego Postu: Jr 31, 31-34;
Ps 51; Hbr 5, 7-9; J 12, 20-33.

KRAJ

NIE WYSTARCZY SŁUCHAĆ OBYWATELI

Szymon Hołownia proponuje referenda w wyjątkowo palących sprawach – aborcji i podniesienia składki zdrowotnej. W żadnej z nich nie przedstawił jednak jasnej, własnej propozycji.

PAWEŁ MARCZEWSKI

RADEK PIETRUSZKA / PAP

Niedawno media obiegły wyniki sondażu CBOS, w którym po raz pierwszy od 1990 r. liczba młodych osób (18-24 lata) uważających się za lewicowe przekroczyła liczbę tych, które identyfikują się z prawicą, i sięgnęła 30 proc. Wśród ogółu Polaków nadal więcej było osób prawicowych (37 proc.) – ta tendencja utrzymuje się od 2001 r. – ale wzrost liczby respondentów lewicowych też był zauważalny: z 27 proc. w 2019 do 30 proc. w 2020.

Po tygodniach protestów przeciwko orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, które zakazało aborcji ze względu na ciężkie wady i uszkodzenia płodu, interpretacja tych danych nasuwała się poniekąd sama – złamanie kompromisu aborcyjnego przesunęło polską scenę polityczną na lewo. Wyników sondażu nie omieszkały odnotować w swoich mediach społecznościowych partie lewicowe, ogłaszając tryumfalnie, że przyszłość polskiej polityki jest lewicowa.

Problem jednak w tym, że badanie nie zawierało żadnej wyraźnej definicji lewicowości, która dawałaby się ściśle powiązać z programem konkretnej partii lub koalicji. Co więcej, z faktu, że młodzi ludzie między 18. a 24. rokiem życia deklarują się dziś jako lewicowi, nie wynika jeszcze wcale, że będą się za lewicowych uważali za 10 czy 20 lat, ani nawet za 2 lata, w przededniu kolejnych wyborów. Zresztą już teraz ta lewicowość nie przekłada się koniecznie na poparcie na przykład dla Lewicy. W badaniu preferencji partyjnych CBOS z listopada 2020 poparcie dla niej deklarowało 16 proc. ankietowanych w wieku 18-24 lata, tyle samo co dla Konfederacji i mniej niż dla Polski 2050 Szymona Hołowni, która mogła liczyć na 18 proc. głosów.

Skoro tak jest, trudno się dziwić, że domniemany zwrot na polskiej scenie politycznej nie przyniósł masowego wzrostu poparcia dla lewicowych ugrupowań. Największym beneficjentem rozpalenia na nowo sporu o aborcję okazał się Szymon Hołownia i jego Polska 2050, choć liderki protestów kobiet początkowo zdecydowanie go skrytykowały, by potem nieco uspokoić ton swoich wypowiedzi. Na początku października 2020 r., przed ogłoszeniem wyroku TK, Polska 2050 zaczynała notować pierwsze spadki popularności. Dziś ma w sondażach od 13 do 20 proc., a ostatnio zdarzyło się nawet badanie, które dawało jej ponad 31 proc. i status lidera.

Dlaczego zatem, skoro Polska deklaruje się coraz częściej jako lewicowa (zwłaszcza młode Polki, bo wśród kobiet w wieku 18-24 ten odsetek sięga 40 proc.), jednocześnie popularność zdobywa polityk i ugru-

Szymon Hołownia z posłanką Hanną Gil-Piątek i senatorem Jackiem Burym, którzy zdecydowali się reprezentować jego partię Polska 2050. Z tyłu Michał Kobosko, przyszły szef tej partii. Warszawa, styczeń 2021 r.

powanie, którego podstawowym postulatem jest wyjście poza spór między PO a PiS, przełamanie partyjnego duopolu i zakończenie wojny polsko-polskiej?

Lewicowość jako sprzeciw

Pierwsze wyjaśnienie wskazuje, że zmiana ma charakter czysto reaktywny: skoro od dwóch dekad Polacy są raczej prawicowi, a za rządów PiS polska prawicowość stała się bardziej jednowymiarowa i wojująca, wszystko, co nie przystaje do lansowanego przez obóz władzy obrazu kraju, z automatu i zgodnie ze spolaryzowaną wizją świata narzucaną przez rządzących staje się lewicowe. Oznaczałoby to, że nie tyle Polki i Polacy stali się bardziej lewicowi, ile polski rząd przesunął się tak bardzo na prawo, iż jakiekolwiek oznaki wątpliwości czy sprzeciwu kwalifikują wątpiących czy protestujących jako lewicowych.

Jeśli nie zgadzasz się na podważanie niezawisłości sądownictwa, jesteś lewicowcem, bo wspierasz trwanie postkomunistycznych układów w wymiarze sprawiedliwości. Krytykujesz ↦

↦ nienawistny język władzy wobec osób LGBT+? To oczywiste, jesteś lewicowym agentem globalnego homolobby. No i wreszcie przypadek najbardziej karkołomny – wskazujesz, że program 500+ w obecnej postaci uprzywilejowuje zamożniejsze rodziny z klasy średniej, do których trafia więcej środków? Jesteś lewicowcem, bo nie leży ci na sercu dobro polskich rodzin, a jakaś wyimaginowana, abstrakcyjna sprawiedliwość społeczna.

Wątpię jednak, by obywatele i obywatelki zaczęli uznawać się coraz częściej za lewicowych, bo przyjęli cyniczną definicję lewicowości narzucaną przez rządzących. Ostry konflikt, jaki wybuchł po złamaniu przez władze kompromisu aborcyjnego, i lawinowy wzrost deklaracji lewicowości wśród młodych kobiet pokazuje raczej, że instrumentalne traktowanie etykiet „lewica" i „prawica" przez rządzących odbija się rykoszetem. Jeśli prawicowość staje się synonimem podważania praw reprodukcyjnych, rosnąca liczba deklaracji lewicowości zaczyna być głosem protestu.

Ten protest nie oznacza jednak automatycznie poparcia dla całego zestawu lewicowych postulatów i programu lewicowych ugrupowań politycznych. Młoda kobieta, która deklaruje się jako lewicowa, bo czuje, że prawicowy rząd odbiera jej fundamentalne prawa, niekoniecznie musi być na przykład zwolenniczką progresywnego systemu podatkowego. Lewicowość jako sprzeciw nie jest zatem pewną drogą do politycznego poparcia dla lewicy, może iść w parze z szeregiem całkiem nielewicowych poglądów, a na pewno nie unieważnia potrzeby przełamania polaryzacji społecznej, z którego swoje główne hasło uczynił Szymon Hołownia.

Tu nie jest Irlandia

Dlaczego jednak w czasie zaostrzenia konfliktu o prawa reprodukcyjne wzrosła popularność ugrupowania polityka, który jeszcze do niedawna jasno opowiadał się przeciwko dostępowi do aborcji? Czemu spora część wyborców entuzjastycznie przyjęła jego propozycję zorganizowania w tej sprawie referendum, mimo głosów z lewej strony, że nie powinno się organizować referendum w sprawie praw człowieka?

Wysunięcie propozycji referendum w sprawie aborcji, popieranego według różnych sondaży przez ponad połowę Polek i Polaków, to ze strony Hołowni iście salomonowe rozwiązanie. Z jednej strony pozwala mu przyciągnąć do siebie wyborców bardziej zachowawczych, którzy tematu aborcji woleliby w ogóle nie ruszać (propozycja referendum stała się też „wyjściem ewakuacyjnym" dla niektórych bardziej konserwatywnych polityków PO, niezadowolonych z pójścia ich partii „na lewo", a jednocześnie chcących się odróżnić od pisowskich ultrakonserwatystów). Z drugiej strony propozycja ta nie zraża niektórych wyborców bardziej lewicowych, którzy liczą, że Polska w kwestii praw reprodukcyjnych stanie się „drugą Irlandią".

Przypomnijmy, że dwa lata temu, w marcu 2018 r., obywatelki i obywatele Irlandii odrzucili w referendum poprawkę do konstytucji, która 35 lat wcześniej wprowadziła zakaz aborcji. Za zniesieniem zakazu opowiedziało się 66 proc. głosujących. Referendum poprzedziła seria poważnych debat publicznych, a Kościół katolicki, skompromitowany skandalami pedofilskimi, był w kampanii właściwie niesłyszalny.

Strategia irlandzkich zwolenników zakazu stawiała ponadto na zawstydzanie i zastraszanie przeciwników; na plakatach podawano między innymi dane, że w Wielkiej Brytanii 87 proc. aborcji dokonuje się na zdrowych dzieciach. Ten przekaz okazał się jednak nieskuteczny w zderzeniu ze świadectwami, na przykład publicznie opowiadanymi historiami życiowych dramatów kobiet, którym odmówiono przerwania ciąży będącej wynikiem gwałtu. No i najważniejszy warunek – zniesienie zakazu wspierał irlandzki rząd. Żeby sukces referendalny był możliwy, konieczna była wcześniejsza zmiana polityczna.

Przypadek Irlandii jest pod wieloma względami pouczający, ale nie da się przełożyć jeden do jednego na polskie warunki. Polityczna pozycja Kościoła wyraźnie wprawdzie u nas słabnie, ale nadal jest o wiele silniejsza niż w Irlandii, a przy obecnym układzie sił na scenie politycznej zmobilizowanie podobnego poparcia dla zniesienia zakazu byłoby bardzo trudne. Dlatego propozycja Szymona Hołowni jest wprawdzie sprytnym zagraniem, które pozwala pogodzić bardziej umiarkowane części konserwatywnego i lewicowego elektoratu, ale niekoniecznie prowadzi do realistycznego rozwiązania problemu praw reprodukcyjnych w Polsce. Nie kładzie kresu polsko-polskiej wojnie o aborcję, a jedynie odsuwa w czasie jej kolejny wybuch.

Tęsknota za nowym centrum

Może jednak nie chodzi wcale o rozstrzygnięcie fundamentalnych konfliktów społecznych i światopoglądowych, które po kadencjach rządów sprawowanych zgodnie z zasadą „ciepłej wody w kranie" wydobyła na wierzch po dojściu do władzy Zjednoczona Prawica? Może pogłoski o kresie „postpolityki" okazały się przedwczesne, a wobec niemożności pokonania populistycznych polityków (ileż to razy słyszeliśmy ostatnio, że trumpizm nie zniknie wraz z przegraną Trumpa w wyborach) pozostały tylko nadzieje na powrót jako takiej normalności pod postacią przećwiczonego już *status quo*, w którym zbyt ostre konflikty polityczne są wypychane poza nawias demokratycznej sfery publicznej?

To zmęczenie powrotem polityczności można zrozumieć po dekadzie tryumfów „nieliberalnej demokracji" (licząc od powrotu do władzy Viktora Orbána, polityka chętnie sięgającego po to pojęcie do opisu swoich rządów), a także po roku pandemii, która wystawiła na ciężką próbę instytucje publiczne na całym świecie. Co prawda kłam o zmęczeniu polaryzacją w Polsce może zadawać fakt, że w przywoływanym już kilkakrotnie badaniu CBOS liczba osób deklarujących się jako centrowe systematycznie spada od 2015 r., ale podobnie jak w przypadku lewicowości niekoniecznie przekłada się to na poparcie dla lewicowych partii, tak malejąca atrakcyjność centrum jako autodefinicji poglądów politycznych niekoniecznie musi przekładać się na niechęć do postpolityki i marzenie o sferze publicznej, w której konflikty polityczne zostają „przekroczone". Sprowadzając rzecz do bieżącej sytuacji, spadek atrakcyjności centrum niekoniecznie oznacza malejącą atrakcyjność postpolitycznych propozycji w rodzaju Polski 2050 Szymona Hołowni.

Jeśli centrum cieszy się dziś coraz mniejszą popularnością, to przede wszystkim dlatego, że wyborcy nie bardzo wierzą, by siły centrowe zdołały wyprowadzić społeczeństwo z polaryzacji i tchnąć nową jakość w politykę. Dzisiejsze tęsknoty postpolityczne różnią się od wczorajszych tym, że ludzie je wyrażający

nie wierzą już w technokratyczne rządy ekspertów ani w możliwość wyrugowania konfliktów ze sfery publicznej. Po kryzysie ekonomicznym i dojściu do władzy polityków, którzy nie wahają się odmawiać mniejszości praw politycznych, a czasem wręcz praw człowieka, obietnica zapewnienia wszystkim spokoju przez przemilczenie podziałów społecznych i skoncentrowanie się na wiedzy eksperckiej wydaje się mało wiarygodna.

Dziś droga nowego centrum wiedzie nie przez eksperckie zamazywanie podziałów, lecz bardziej przez partycypację obywatelską. Tony'ego Blaira zastąpił Emmanuel Macron, hasło „Cool Britannia" zostało wyparte przez francuską „wielką debatę narodową" jako ideał radzenia sobie z głęboką polaryzacją i konfliktami społecznymi. W Polsce tęsknota za jakościową zmianą polityki przez jej radykalne „uobywatelnienie" przyczyniła się do początkowego sukcesu ruchu Pawła Kukiza, dziś jest jednym z motorów poparcia dla Polski 2050. Z tego punktu widzenia propozycja przeprowadzenia referendum w sprawie aborcji ma dla wielu osób sens nie z racji mniejszych lub większych szans na liberalizację tą drogą dostępu do aborcji, ale po prostu dlatego, że daje poczucie wpływu obywateli na sprawy publiczne bez pośrednictwa partii i zawodowych polityków.

Kojarzone dotychczas z centrową polityką unikanie radykalizmu i niechęć do jasnych deklaracji staje się mniej atrakcyjne, bo taka postawa wydaje się skompromitowana jako droga wyjścia z polaryzacji i podsycanych przez nią konfliktów. Nowe centrum stawia na bezpośrednią komunikację z obywatelem w nadziei, że różne formy włączenia go i dania mu głosu pozwolą uniknąć konfliktów, które politycy wzniecają dla skonsolidowania swojego zaplecza wyborczego.

Być obywatelem – co za trud!

Problem jednak w tym, że prawdziwie obywatelska polityka wymaga ciężkiej pracy i jest zadaniem niejednokrotnie jeszcze bardziej frustrującym niż tradycyjna demokracja przedstawicielska. Nie wystarczy powiedzieć, że „teraz zdecydują obywatele", trzeba zapewnić realne możliwości dokonania wyboru i podejmowania decyzji. A zatem poprawić dostęp do informacji publicznej, zainwestować w edukację obywatelską, zagwarantować słyszalność i dostęp grupom marginalizowanym. I trzeba też jasno wskazać, czego dotyczy decyzja i jakie będzie miała konsekwencje. W przeciwnym razie zamiast referendum na wzór irlandzkiego czeka nas raczej powtórka z referendum rozpisanego w 2015 r. przez prezydenta Bronisława Komorowskiego między turami wyborów prezydenckich, z fatalnymi, wieloznacznymi pytaniami i frekwencją na poziomie niecałych 8 proc.

> Bardziej obywatelska polityka jest trudna i czasochłonna. **Niekiedy może pogłębić podziały,** jak to się stało po referendum w sprawie brexitu.

Bardziej obywatelska polityka jest możliwa, ale trudna i czasochłonna. Nie jest też prostą receptą na podziały społeczne. Niekiedy może wręcz prowadzić do ich pogłębienia, jak to się stało w Wielkiej Brytanii w trakcie referendum w sprawie brexitu. Szymon Hołownia jak na razie proponuje referenda w dwóch wyjątkowo palących sprawach – oprócz aborcji chodzi o podniesienie składki zdrowotnej. W żadnej z tych kwestii nie przedstawił jednak jasnej, dobrze uargumentowanej własnej propozycji.

Sytuacja, w której jakaś siła polityczna przedstawia swoje stanowisko w jakiejś kwestii, ale opowiada się za referendum w tej sprawie, wpływa pozytywnie na legitymizację całego systemu demokratycznego. Natomiast stwierdzenie, że w jakiejś kwestii powinni się po prostu wypowiedzieć obywatele, jest umywaniem rąk i może potencjalnie demokracji bardzo zaszkodzić.

Polska 2050 zyskuje popularność dzięki autentycznej potrzebie nowego, obywatelskiego centrum, które zdołałoby przełamać polaryzację i przywrócić obywatelom wiarę w politykę jako narzędzie załatwiania konkretnych spraw. Tyle że te sprawy są bardzo często polityczne i polaryzujące. Nie wystarczy wsłuchiwać się w głos obywateli. Trzeba z nimi porozmawiać – a żeby być gotowym do tej niełatwej rozmowy, trzeba mieć też coś do powiedzenia od siebie. © PAWEŁ MARCZEWSKI

Autor jest szefem działu Obywatele w forumIdei, think tanku Fundacji Batorego.

POŻEGNANIA

Wyrazy współczucia dla mecenasa Pawła Barty

z powodu śmierci Ojca

prof. Janusza Barty

składa

„Tygodnik Powszechny" i Fundacja Tygodnika Powszechnego

Andrzejowi Dziewałtowskiemu-Gintowtowi

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składa

„Tygodnik Powszechny" i Fundacja Tygodnika Powszechnego

Zwierzę to jest ktoś

DOROTA SUMIŃSKA, LEKARKA WETERYNARII, PUBLICYSTKA:

Nie ma drugiego gatunku, który najpierw się zaprzyjaźni, a potem zabije i zje.

BARTEK DOBROCH: Zwierzęta zaczynają mówić ludzkim głosem?

DOROTA SUMIŃSKA: Myślę, że nawet krzyczą, tylko my nie chcemy słuchać. Gdyby zaczęły mówić ludzkim głosem, usłyszelibyśmy przerażające historie, które starałam się opisać w książce dając głos zwierzętom.

Czy powiedzenie tytułowego „dość" musi się równać niejedzeniu mięsa?

Tak, nie można powiedzieć komuś: zabiję cię humanitarnie. Tymczasem ludzie, którzy są waleczni w boju o zaniechanie uboju rytualnego, bez problemu przyjmują ten normalny. Droga do rzeźni to piekło, ale ludzie wolą nie wiedzieć, bo przecież tak lubią schabowego. Rozczulają się nad swoim psem i kotem, kochają je naprawdę, a przecież tamte zwierzęta się niczym nie różnią.

Nasza empatia jednak się rozwija. Kiedyś nikt nie protestował przeciw łowiectwu. Pani też pochodzi z myśliwskiej rodziny.

To było pokolenie powojenne – ludzie znieczuleni wojną. Gdy wysysamy coś z mlekiem matki, to w głowie nie może się nam pomieścić, by krytykować przodków. Skoro oni to robili, to znaczy, że to nie jest złe. Bardzo wiele zła robił i robi Kościół katolicki. Ciągle podtrzymuje wersję, że człowiek to jest ktoś, a reszta to dodatki. Próbuje się tłumaczyć, że człowiek ma prawo mordować inne istoty – a przecież to też Boże stworzenia. A nie mówi się w ogóle o tym, że patron myśliwych, święty Hubert, odłożył broń i przestał polować.

Mamy jednak proekologicznego papieża Franciszka.

Bardzo się na nim zawiodłam. W swojej encyklice przywołuje wprawdzie dbanie o środowisko, ale to bardziej pochwała tych, którzy segregują śmieci. Spłycam, ale w pewnym sensie tak jest. Znam Tomasza Jaeschke, Animalpastora. To ksiądz katolicki, który odszedł z Kościoła, uznał, że w Piśmie Świętym jest jasno powiedziane, że zwierzę niczym nie różni się od człowieka. Najpierw błogosławił psy na placu Świętego Piotra. Dalej praktykuje obrządek katolicki, ale w poszanowaniu zwierząt. Gdyby taki był Kościół katolicki, ja bym do niego dołączyła. Religia wzmocniła pozycję człowieka jako dominatora. Nie twierdzę, że w innych religiach, jak w buddyzmie, jest mniejsze okrucieństwo, ale to wobec zwierząt jest szczególnie piętnowane.

W Polsce też jest już piętnowane.

Ale my jesteśmy hipokrytami. Tymi, co nad golonką piętnują kogoś innego, kto skrzywdził zwierzę.

Czy istniała w ogóle kiedyś harmonia między człowiekiem a zwierzętami?

Myślę, że ona istniałaby dotąd, gdybyśmy zaczęli wzorować się na starych kulturach, które traktowały człowieka jako część rzeczywistości. Dopiero gdy je zniszczyliśmy, zaczęliśmy to dostrzegać. Zniszczyliśmy cały świat i się tym szczycimy. Nie zmienimy się, jeżeli całkowicie nie zmienimy sposobu wychowania i edukacji dzieci, i nie wrócimy do nauki wartości, tego, co to znaczy być człowiekiem. Bo jeżeli tego nie zrobimy, dalej będziemy bestiami, a nie ludźmi.

A kiedy się nimi staliśmy? Wtedy, gdy sprawiliśmy, że mięso stało się naszym codziennym pokarmem?

Uważam, że z człowiekiem zaczęło dziać się źle w momencie, kiedy zaczął hodować. Nie ma drugiego gatunku, który najpierw się zaprzyjaźni, a potem zabije i zje. Bo nie ma możliwości, by ktoś, kto hoduje jednego cielaczka czy świnkę, nie zaprzyjaźnił się z nimi. Musi zdławić w sobie te wszystkie uczucia, żeby zabić tego przyjaciela i go zjeść.

Z drugiej strony pasterstwo, wędrówki ze stadami miały ogromny wpływ na powstanie naszej kultury.

Człowiek współczesny jest efektem akceptacji różnych sprzeczności, hipokryzji tych, którzy byli twórcami różnych kultur. Do niedawna godziliśmy się na niewolnictwo, bo wielu dało sobie wmówić, że czarni ludzie są gorsi, a teraz tak traktujemy zwierzęta. Umiemy sobie pięknie wytłumaczyć zło.

Ale świat zwierząt też jest pełen okrucieństwa.

Zabicie nie musi być okrucieństwem. Nie jest tak, że lew, który poluje na gazelę czy pawiana, nienawidzi go i chce mu zadać ból. On widzi swój kotlet. Natomiast człowiek podczas masowej rzezi zwierząt zabija w sobie też człowieka. Poza tym polowania zwierząt drapieżnych uwieńczone są sukcesem z reguły w jednym na sześć czy dziesięć polowań. Ofiara ma jakieś szanse – w konfrontacji z człowiekiem nie ma żadnych.

Wszystkie zwierzęta hodowlane czy domowe są naszymi niewolnikami?

Wszystkie moje zwierzęta są moimi niewolnikami i pańskie koty są pana niewolnikami. Decydujemy o każdej chwili ich życia. Zabraliśmy im samodzielność, są takimi niedołęgami w stu procentach uzależnionymi od nas i bez nas sobie nie poradzą. Jeśli mamy możliwość, dajmy im choć namiastkę wolności, żeby miały poczucie, że coś znaczą. Nawet jak mówimy „dobry pies" – to znaczy posłuszny. Tak samo „dobry kot" – taki, który nie zrobi siusiu w kącie.

Nasza miłość też może szkodzić?

Jeśli to miłość, czyli „kochaj i rób, co chcesz", to nie robi krzywdy. Co innego nadgorliwość, zadręczanie zwierząt różnego rodzaju zabiegami czy profilaktyką z sufitu. Miłość to pełna akceptacja inności, a zwierzęta mają zupełnie inny system wartości. Zwierzęta nie patrzą na nas tak, jak my na nie – jest im zupełnie obojętne, czy ktoś jest brzydki, czy śliczny, bogaty czy nie, brudny czy czysty. Ze zwierzętami można zawierać prawdziwe przyjaźnie na śmierć i życie. One są lojalne wobec przyjaciół, a my raczej rzadko.

Stają się zakładnikami naszych oczekiwań?

ALBERT ZAWADA / WYDAWNICTWO LITERACKIE

DOROTA SUMIŃSKA jest lekarką weterynarii i behawiorystką, prowadzi własną klinikę. Jest publicystką, autorką kilkudziesięciu książek dla dorosłych i dla dzieci. W 2020 roku nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazało się jej „Dość. O zwierzętach i ludziach, bólu, nadziei i śmierci". W radiu TOK FM prowadzi audycję „Wierzę w zwierzę".

Niestety: tak bardzo są z nami związane, że zrobią dla nas wszystko, bo chcą widzieć, że jesteśmy zadowoleni.

Stają się też zakładnikami polityki, jak w przypadku „piątki dla zwierząt".

Zwierzęta rzeczywiście ocieplają wizerunek, dlatego są użyteczne w polityce, nawet jeśli nikogo nie obchodzą. Podobnie jak dzieci – używa się ich do pokazania swojego pozytywnego oblicza. Poza tym od zawsze służyły do podwyższania statusu. „Konia z rzędem!". Niedźwiedź na dworze jako pokaz mocy tego, kto „ujarzmił bestię". Dalej to robimy, co gorsza z dumą.

Gdy panowała bieda, jak ta galicyjska w XIX wieku, zwierzęta hodowlane, jako jedyni żywiciele rodziny, cieszyły się większym szacunkiem.

Szacunkiem wyrachowanym. Szacunkiem ze strachu o własny byt. I rzeczywiście, śmierć takiego zwierzęcia była żałobą. Ale to były skrajności. Cały czas próbuje pan nas troszeczkę tłumaczyć i bardzo dobrze, bo ktoś musi. Ale moim zdaniem nie ma wytłumaczenia. Nie musiałoby tak być, gdyby nasza cywilizacja rozwinęła się w innym kierunku.

Podczas spotkań pytam często czytelników, o czym marzą. 99 procent, czy to dzieci, czy dorosłych, marzy o rzeczach. Myśmy wszystko uprzedmiotowili.

Nawet zwierzęta?

Dopóki można je zabić i zjeść, zwierzę nawet wobec prawa będzie rzeczą. Chociaż niektóre kraje idą już w tym kierunku, że nadają zwierzętom prawa osoby nieludzkiej. Oczywiście zaczynając od zwierząt, które nam towarzyszą, naczelnych czy waleni. Ale w przypadku tych ostatnich na innych wodach już ktoś na nie poluje. To musiałoby objąć cały świat, żeby pozwoliło im żyć zgodnie ze swoją gatunkową potrzebą.

Koszt naszego kaprysu posiadania psa czy kota jest też ogromny. Popatrzmy, jak przepełnione są schroniska dla bezdomnych zwierząt. Moim marzeniem jest, żeby w przyszłości w ogóle nie było zwierząt udomowionych.

Trudno mi to sobie wyobrazić. Zwierzęta, które nam towarzyszą, uczą przecież także empatii nasze dzieci.

Uczyć empatii powinni rodzice, a ideałem byłoby, gdybyśmy zamiast zwierząt domowych podziwiali razem z dziećmi zwierzęta wolno żyjące. Moglibyśmy o nich rozmawiać i pomagać w razie potrzeby. Owszem, to rozczulające, gdy dziecko tuli się do psa czy do kota, ale byłoby lepiej, gdyby w tym odspołecznionym świecie bez rodzin wielopokoleniowych dziecko tuliło się do innego dziecka, mamy, babci, taty, pies zaś pozostał wilkiem, a nie skazańcem uwięzionym w schroniskowej klatce.

Niektóre zwierzęta z jakiegoś względu darzymy większą sympatią niż inne. Na przykład konie – w porównaniu ze świniami, które bardzo długo były nam obojętne, albo wręcz traktowane pogardliwie.

Ale czym się przejawia miłość do konia Polaka-ułana? Szpicrutą, ostrogami, popręgiem, wędzidłem albo munsztukiem.

Nie przychodzi nam nawet do głowy, jak psu, którego tak kochamy, trudno żyć w obroży i na smyczy. Oczywiście nie ma wyjścia, musi na niej chodzić, bo żyje w naszym świecie pełnym zagrożeń. On tego wcale nie chce, ale robi to dla nas, bo kocha.

Ale czy zawsze, gdy zwierzę robi coś dla nas, to jest dla niego złe?

Oczywiście, że nie zawsze. Zależy, czego od niego oczekujemy. Są psy, które ↦

↦ kochają spacery poszukiwawcze ze swoim opiekunem, zabawy piłką. Robią to z taką samą radością jak dziecko.

Jest Pani przeciwna braniu zwierząt rasowych. Nie ma jednak chyba nic złego w tym, że biegacze wybierają psa husky, który ma ogromną energię do spożytkowania?

Dobrze, jeśli go biorą ze schroniska. On nie jest winny, że jest rasowy. Każdy powinien brać psa na swoją miarę. Chociaż ja wychodzę z założenia, że trzeba brać tego, który najbardziej potrzebuje. Ze wszystkiego robimy targ niewolników i ze schroniska także. Przeglądamy w ogłoszeniach zdjęcia psów z kokardkami. Ja, gdy biorę psa ze schroniska – a mam tu 6 psów i 15 kotów – nie chcę go w ogóle wcześniej widzieć. Muszę tylko wiedzieć, czy nie jest psem na koty i psem na inne psy.

Czasem spodziewam się kogoś zupełnie innego. A ludzie chcą, żeby był podobny do tego z filmu.

Jak zmienia się na przestrzeni lat Pani praktyki weterynaryjnej traktowanie zwierząt – jak to Pani określa – towarzyszących?

Z jednej strony zmienia się na lepsze, z drugiej, mimo wzrostu świadomości, cały czas rośnie liczba bezdomnych psów i kotów. Z czegoś trzeba je utrzymać. Z naszych podatków. Często w warunkach podobnych do karnych obozów. A więc sami płacimy za cierpienie naszych „najlepszych przyjaciół". W pewnym momencie zabraknie pieniędzy i co? Zginą, a my dalej będziemy kupować rasowca.

Słyszałem historie o wyrzucaniu zwierząt po to, żeby po raz kolejny zostały złapane, z czego schronisko czerpie środki.

To jest biznes. Nie mówię tu o małych przytuliskach, schroniskach gminnych, jak warszawski Paluch. Dopóki będzie można zarabiać na schroniskach, na hycelce, dopóty sytuacja się nie zmieni. Schroniska powinny być małe, do 50 psów, oddzielne dla psów i kotów. Dziś mamy takie, w których jest parę tysięcy zwierząt.

Według Pani z domów w pierwszej kolejności powinny zniknąć zwierzęta egzotyczne, np. papugi.

Rozumiem potrzebę bycia z kotem czy psem, ale po co mieć węża, który naprawdę nie jest społeczny, nie potrzebuje takich kontaktów i nie nawiąże ich z nami? Gdyby w Polsce można było hodować tygrysy, ludzie chodziliby z nimi na smyczy po Marszałkowskiej, żeby wszyscy widzieli, jak radzą sobie z „bestią". Ptak w klatce to już szczyt bezmyślnego sadyzmu. Władca przestworzy, dziecko słońca za kratkami na parapecie. By to zniknęło, potrzeba edukacji i zaprzestania handlu „skazańcami".

> Każdy powinien brać psa na swoją miarę, chociaż ja uważam, że trzeba brać tego, który najbardziej potrzebuje. **Ze wszystkiego robimy targ niewolników** – ze schroniska dla zwierząt także.

Stworzyliśmy pojęcie „zwierzęta użytkowe". Do czego służą nam dzisiaj zwierzęta?

Jak nie do jedzenia, to do ochrony, do zatykania różnych dziur emocjonalnych, do realizowania potrzeb, których nie realizują inni ludzie. Dla dziecka pies jest często najstabilniejszą osobą w rodzinie. Nie rozwodzi się, nie wyjeżdża w delegacje, zawsze ma czas. Pamiętajmy jednak, że krzywdy, których doświadcza zwierzę od nas, działają podobnie jak w przypadku dziecka, w którym raz zabite poczucie bezpieczeństwa już nie powraca.

Czy obcowanie ze zwierzęcą krzywdą uczy życia?

Obcowanie z krzywdą niewinnej istoty uczy tylko tego, że ludzie są źli. Tej krzywdy jest tak dużo, epatuje się nią na wszystkich internetowych portalach. Poza tym myślę, że nawet gdybyśmy przestali być okrutni wobec siebie, to dalej bylibyśmy okrutni wobec zwierząt, tak jak przełożyliśmy niewolnictwo ludzkie na zwierzęce. Musimy kogoś dręczyć, męczyć, narzucać swoją wolę i być władcami. To tkwi w naszej naturze.

Dlatego mówi Pani, że nie obraziłaby się, gdyby ludzkość kiedyś wyginęła?

Kocham pojedynczego człowieka, ale uważam, że ludzkość to straszna zaraza. Jesteśmy jedynym gatunkiem, który jest tu niepotrzebny. Gdyby wyginął, planeta odzyskałaby wolność i nie ucierpiałby żaden inny gatunek. A na przykład gdyby wyginęły komary, byłaby to ogromna tragedia dla całego ekosystemu. Myślę, że niedługo zaczniemy się zjadać, bo zmiany klimatyczne doprowadzą do prawdziwego głodu. Ale nim to nastąpi, najpierw zjemy wszystko inne.

A może w sytuacji wielkiego kryzysu pójdziemy po rozum do głowy i przerzucimy się na dietę roślinną?

Marzę o tym, ale w to nie wierzę. W Chinach w czasie wielkiego głodu ludzie jedli wszystko, nawet wróble. Mam półtorarocznego wnuczka i tylko z jego powodu się martwię. Z jednej strony się cieszyłam, że się urodził, ale z drugiej bardzo martwiłam, że jako młody człowiek będzie musiał żyć w tym świecie, w którym wszystko zniszczyliśmy. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat życie znika znacznie szybciej. Wyginęło, jak obliczono, około 80 proc. biomasy owadów. Widzę to po własnym ogródku. Kiedyś jesienią przylatywały tu niezliczone ilości niedźwiedziówek, czasem po sześćdziesiąt jednego dnia. Te piękne ćmy przybywały do mojego ogrodu, by odejść na wieczny spoczynek. Teraz jak przyleci jedna, to się bardzo cieszę. W moim domu zimowały szwadrony kózek. Te chrząszcze troszkę go niszczyły, bo jest drewniany, ale znacznie oszczędniej niż my niszczymy świat. Od lat nie ma ani jednego. Ani dużych gatunków trzmieli, zostały tylko malutkie. W części ogrodu, której w ogóle nie ruszam, od pająków tygrzyków było całe tygrzykowisko. Dziś to niezwykłe, gdy się spotka jednego. Były żaby trawne, ropuchy zielone i szare, wpuszczałam je do domu. Jednej zakraplałam chore oko. Od lat nie ma tu żadnej.

Gdyby rzeczywiście przemówiły ludzkim głosem, jakie słowa skierowałyby do ludzkości?

Chyba tylko apel: Zlitujcie się! Choć nie lubię tego uczucia, ma w sobie pierwiastek lekceważenia, wyższości. Postawmy na miłość. Litość jest uczuciem pana i władcy. Chociaż lepsze to niż okrucieństwo.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

MARTA BOGDANOWICZ / EAST NEWS

Aktywista klimatycznego ruchu Extinction Rebellion zablokował jezdnię mostu Poniatowskiego. Warszawa, 25 lutego 2021 r.

Dzień dobry, umieramy

MARIUSZ SEPIOŁO

Zakłócamy codzienność i złudzenie, że wszystko jest w porządku – mówią aktywiści klimatyczni z Extinction Rebellion. Ostatnio znów protestowali w kilkudziesięciu miejscach w Polsce.

Czwartek, 25 lutego. Ósma rano. Na moście Poniatowskiego w Warszawie ruch jest spory. Młody mężczyzna z transparentem pod pachą wybiera moment, w którym samochodów jest trochę mniej, i ustawia się na środku jezdni. Kierowcy, którzy zatrzymują się kilkanaście metrów przed nim, z łatwością odczytują napis: „Jestem przerażony, że będę mógł zabić za wodę w wojnie klimatycznej".

Aktywista Extinction Rebellion, międzynarodowego ruchu zapoczątkowanego w 2018 r., zostaje ściągnięty z jezdni przez czterech policjantów. Kontynuuje protest na chodniku.

Dzień wcześniej rozpoczęła się ogólnopolska akcja „Czas na bunt". Aktywiści Extinction Rebellion w większych i mniejszych miastach dokonywali aktów obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Trzy miesiące wcześniej dali rządowi ultimatum: politycy mieli niezwłocznie zająć się sprawami klimatu, a na początek zorganizować ogólnopolski panel klimatyczny. Panelu nie było, ruszyły protesty.

Mówcie prawdę

Wszystko zaczęło się od walijskiego farmera. Roger Hallam miał cztery hektary ziemi w południowej Walii, na której uprawiał rośliny bez nawozów i oprysków. Zapragnął czegoś więcej. Rozpoczął studia doktoranckie na King's College w Londynie. To tam w 2017 r. ogłosił protest głodowy przeciwko używaniu przez uczelnię paliw kopalnych. Odmowa przyjmowania posiłków przez jednego z najlepszych doktorantów przyniosła skutek – w 2020 r. King's College oficjalnie ogłosił, że z paliw kopalnych ostatecznie rezygnuje.

Hallam w 2018 r. założył ruch Extinction Rebellion, którego główną metodą miał być właśnie pokojowy, pozbawiony przemocy, ale przyciągający uwagę protest społeczny. Do ruchu dołączyli też Polacy. Widzą w swojej okolicy wysychające jeziora, w powietrzu czują smog, czytają o zanieczyszczeniu oceanów i topnieniu lodowców. Widzą też, że z postępującą degradacją środowiska robi się mało albo nie robi się nic. Na stronie internetowej diagnozują: „Nasz klimat zmienia się szybciej, niż przewidywali naukowcy. Utrata różnorodności biologicznej. Nieurodzaj. Załamania społeczne i ekologiczne. Czas ucieka, a nasze rządy nie robią nic, by to zmienić".

Od 24 lutego przez kilka dni zorganizowali kilkadziesiąt akcji. W Bydgoszczy zablokowali ul. Jagiellońską, główną arterię miasta. Maciej Kaczmarek był jednym z organizatorów. – Zrobiliśmy blokadę przed urzędem wojewódzkim. Jedenaście osób stworzyło koło poprzez połączenie rąk, unieruchomionych w rurach, by nie dało się nas rozdzielić. Zatrzymaliśmy ruch w okolicy godziny 16.30 – opowiada.

Na ulicy położyli symbol wymierania i upływającego czasu: klepsydrę, logo Extinction Rebellion. Wokół rozłożyli tekturowe płomienie, symbolizujące katastrofę klimatyczną. Blokowali ruch. Do akcji wkroczyła policja. – Policjanci uznali, że aktywiści z unieruchomionymi rękami połączonymi w rurach „udają". Przeszli więc do akcji usuwania nas z drogi. Dla jednej z nas skończyło się to napadem lęku, poobijanymi żebrami i naruszonym barkiem – opowiada Maciej.

Również we Wrocławiu i Poznaniu protestujący zatrzymali ruch. W Łodzi ↦

↦ weszli do Manufaktury. Dziesięciu aktywistów położyło się w centralnym miejscu galerii. Jedna z osób miała ze sobą tablicę z napisem: „Dzień dobry, umieramy". W tłumie przechadzały się „wdowy po ludzkości" – aktywistki ubrane na czerwono. O ile w Bydgoszczy protest brutalnie rozpędzała policja, w Łodzi było spokojnie – tylko ochroniarze próbowali przekonać aktywistów do wyjścia z galerii.

W Toruniu przedstawiciele Extinction Rebellion przywiązali się do bramy Radia Maryja przy ul. Żwirki i Wigury. Mieli ze sobą transparenty: „Nie palcie nam przyszłości", „Siła w ręce ludzi", „Buntujemy się, żeby żyć". Przyjechały radiowozy. Policjanci wylegitymowali protestujących i dali wybór: albo odczepią się od bramy, albo zrobią to strażacy. Chwilę później pod Radiem Maryja był już wóz strażacki. Odkuwanie odbyło się podobno bezboleśnie.

W Warszawie jedna z aktywistek przykleiła swoją dłoń do szklanych drzwi Kancelarii Sejmu. Zrezygnowała dopiero po pięciu godzinach i pertraktacjach z policjantami.

Wybór należy do ciebie

– Odchorowuję. Tak jak większość ludzi, którzy ostatnie dni spędzili na protestach, leżeniu na ziemi w zimnie i deszczu – mówi Jadwiga Klata, jedna z liderek polskiego Extinction Rebellion.

Protest kosztował ją sporo sił, ale z efektu jest zadowolona. – To się działo wszędzie – mówi. – Co godzinę dostawaliśmy wiadomość o akcji w innym miejscu Polski. To była prawdziwa nawalanka z systemem. Wiesz, co mi daje dużo nadziei? To, że bycie niegrzecznym przynosi efekty. Obywatelskie nieposłuszeństwo działa.

Na kogo? Do aktywistów w Warszawie wyszło zaledwie kilku posłów. Na media? Na władze? – Przede wszystkim chcieliśmy pokazać ludziom, że czas bierności się skończył. I to się udało – mówi Jadwiga. – Po naszych akcjach odzywają się do nas nowi ludzie, chcą do nas dołączyć. Co mówią? Ich wiadomości, tak jak nasze transparenty, zaczynają się od tych samych słów: „Boję się", „Jestem przerażony", „Żyję w strachu". Ludzie mówią, że w naszych protestach odnaleźli siebie. A politycy? Myślę, że i tak o nas usłyszeli.

Według Jadwigi każdy dziś stoi przed wyborem: pozostać biernym albo działać.

> Dziesięciu aktywistów położyło się w centralnym miejscu galerii handlowej, **a w tłumie przechadzały się „wdowy po ludzkości".**

– Czas się zdecydować, po której stronie jesteś. Siedzisz biernie czy ratujesz swoją przyszłość? – mówi. – Ale ratować nie przez wpisy w mediach społecznościowych, nie przez nakładki na profilowych zdjęciach. Każde nieskuteczne działanie jest tak naprawdę brakiem działania. Dlatego Extinction to cała struktura, siatka działających ludzi. Na jedną osobę blokującą ulicę przypada sześć innych. Takich, które robią gorącą herbatę, śpiewają i grają na instrumentach, zajmują się pomocą prawną, mediują z policją i wkurzonymi kierowcami. Więc jeśli pytasz mnie, co tzw. zwykły człowiek może zrobić, żeby coś zmienić, odpowiadam: organizować się. Budować oddolne struktury, które przeciwstawią się tym odgórnym.

Ma 20 lat. Nie pracuje (wspierają ją rodzice), pomieszkuje u przyjaciół. Dla ruchu rzuciła studia na uczelni w Berlinie. Dlaczego? – Mam to szczęście, że nie zostałam wychowana w ignorancji – mówi. – Przeciwnie: mam przeświadczenie, że jeśli zna się jakoś prawdę, to nie można jej zignorować. Moja prawda jest o tym, że świat powoli umiera, a my nic z tym nie robimy. Uświadomiłam sobie, że innej możliwości nie mam. Musiałam zrezygnować ze studiów i przyjechać do Polski. Czułam obowiązek, żeby odwalić tu ciężką pracę organizowania ludzi. Jeśli ktoś daje ci narzędzie i mówi: naprawiaj świat, to nie odmawiasz. Bierzesz młotek do ręki i zaczynasz pracować.

Błędy starszych

– Nie mamy legitymacji i zarządu, który zatwierdza nasze członkostwo. Mamy za to zasady i wartości – mówi Ewa Wielewska, aktywistka z Bydgoszczy. – To ruch zrzeszający ludzi, którzy wiedzą, że trzeba działać. Z troski o siebie, swoich bliskich, swój kraj. Dlatego właśnie tu jestem.

– To ruch normalnych ludzi – mówi Maciej Kaczmarek, kolejny bydgoski aktywista. – Każdy daje tu z siebie tyle, ile może dać. Są z nami mamy i ojcowie, babcie i dziadkowie, studentki i studenci, osoby pracujące na etat w bankach, urzędach, dużych firmach, artyści, nauczyciele i ci, którzy zostawili wszystkie dotychczasowe zajęcia. Nie ma wymagań dotyczących ilości poświęcanego czasu, kompetencji czy światopoglądu.

Dominują młodzi. Protestują przeciw „błędom starszych". – Taka czy inna władza wybierana raz na cztery lub pięć lat myślała zawsze o tym, jak zostać na kolejną kadencję. My mówimy wyraźnie: chcemy panelu obywatelskiego, ponad partyjnymi interesami – mówi Ewa Wielewska.

Ale czy politycy chcą słuchać? – Powstała Młodzieżowa Rada Klimatyczna, ale dla mnie to greenwashing, pozorne działanie – mówi. – My już też nie chcemy tylko rozmawiać, chcemy działań.

Dlaczego do ruchu dołączył Maciej Kaczmarek? – W swoim życiu zajmowałem się inicjatywami kulturalnymi i społecznymi, muzyką, potrafię kierować zespołami i projektami IT, mam gdzie pracować. Chciałbym spokojnie spędzać popołudnia na tarasie, popijając herbatę. Ale dzisiaj jako swoje podstawowe zadanie traktuję działanie dla powstrzymania katastrofy klimatycznej – twierdzi. – We mnie jest to po prostu niezgoda na bierność i zwyczajna troska. Mam świadomość, że rządy nie robią nic lub niewystarczająco wiele, by nas chronić. Wszystko w Extinction oparte jest na nauce, danych. Nie na poglądach. To nauka mówi nam, że razem, w masowym wypowiedzeniu posłuszeństwa systemowi jest szansa na ratunek. Dlatego tutaj jestem. Nie mógłbym stać z boku.

Według niego działanie to wyzwanie jego pokolenia – 20-, 30-latków. – Zakłócamy codzienność. Zakłócamy złudzenie, że wszystko jest w porządku i „jak zwykle". Robimy to po to, żeby inni dostrzegli zagrożenie. Świadomość tego zagrożenia rośnie, dołączają do nas kolejne osoby – mówi Maciej.

Zdaniem Jadwigi Klaty najważniejsze wartości Extinction Rebellion to miłość i wściekłość. Miłość do ludzi. I wściekłość na system.

Ale w ruchu jest coś jeszcze: poczucie wspólnoty, przynależności. – My wszyscy przeżywamy żałobę – mówi Jadwiga. – Żałobę po świecie, w którym liczył się „wzrost", „zysk", „rozwój". Mamy potrzebę przeżywać tę żałobę razem.

© MARIUSZ SEPIOŁO

DOROTA

Masłowska: *Informacja*

W KORKU PCHA SIĘ ROZTRZĘSIONA FURGONETKA oklejona reklamami. Oko trochę nie dowierza, ale po komisyjnym przyjrzeniu okazuje się ona samochodem firmowym napoju JEB. Trzeba przyznać, że nazwa energetyka jest w swym okropieństwie cudownie progresywna. Prosta, ale chwytliwa, kompaktowa i napchana po pachy znaczeniami. Harda jak *Harde*. Z jednej strony zadziorno-przekorne Jeb namawia do zignorowania, olania jakichś paprzących się spraw, nastręczających się petentów i natrętów. Z drugiej – zachęca do aktywności seksualnej. Pełni dopełnia design opakowania, charakterystyczna dla energy drinków chłodna, techniczna estetyka puszki ze smarem czy granatu. Bo z trzeciej strony: „jeb!" to przecież nabuzowana, energetyczna onomatopeja, nasza staropolska odpowiedź na angielskie „bang!". Co więcej – dosłownie i metaforycznie rymuje się z PEP – pionierskimi amerykańskimi antydepresantami, tzw. *party pills*, rozweselającymi smutnych, pionizującymi upadłych, przyspieszającymi spowolnionych, ostatnich czyniącymi pierwszymi.

Zwariowany napój o intensywnym smaku nieistniejących, radioaktywnych owoców z Marsa przypomina mi się, gdy przychodzę do urzędu skarbowego dla Warszawy-Śródmieścia. Przez pandemię sporo się tu pozmieniało. Kiedyś interesantów witał w przedsionku pokaźny karton, na którym gorączkowa, choć niewprawna łapka nasmarowała flamastrem dwa przeciwstawne kierunki: kanapki i sushi. Dziś myślę, że raczej jednak kanapki; na pewno kanapki. Z krakowską suchą, z musztardą, tylko mi nie dawaj tam tego zielska, bo nie jestem królik.

Kartonu już nie ma. Poza tym zmiany, zmiany... Antycovidowe ekrany, zasieki, labirynty. Zdezorientowana przekształceniami udaję się do czegoś w rodzaju recepcji, czy też stróżówki, informacji. Siedzi tam człowiek w śnieżnobiałej koszuli plastikowej z licznymi pagonami i firmowymi odznaczeniami; wydaje mi się, że może należeć ona do tych genialnych, nieplamiących się; pachy i kołnierzyk przeciera się tylko od czasu do czasu zmywakiem kuchennym. Mężczyzna ten ustala właśnie przez telefon grafik dyżurów na kolejne dni, sądząc po stopniu podminowania – zaaplikowawszy sobie wcześniej Jeba. Dzięki jego rewitalizującym i zarazem relatywizującym właściwościom, metodą unikania kontaktu wzrokowego utrzymuje mnie, a zwłaszcza siebie, we wrażeniu mojego nieistnienia, a także nieobecności formującej się powoli za mną kolejki. To pozwala mu kontynuować swobodnie rozmowę w tonie i słownictwie, które dla niej wcześniej obrał; nie szukać z tego powodu jakiejś bibułki do tej starej, brudnej, nienawistnej bułki. Swojego zmiennika nazywa notorycznie „prąciem", szukanie terminów zaś – stosunkiem płciowym, gęsto wplatając między zdania potoczne określenie pracownicy seksualnej. Przysięgam, że przeszedł mnie dreszcz niezwykłości, magii. Oto instytucja państwowa, nieskora do żartów, pełna skarbowej grozy, której niezbyt elegancki reprezentant na oczach zdezorientowanych petentów anarchicznie tratuje starą, zaniedbaną rabatkę norm.

Ostatecznie, gdy w języku ciała (ziewanie, wymowne westchnienia, napieranie ciałem astralnym) udaje mi się wbić klin w jego słowotok i zadać swoje pytanie, podnosi na mnie pełne energii, poirytowane oczy i wskazuje mi jakiś abstrakcyjny kierunek twarzą. Maluje się na niej ponadczasowy wyraz: „jak, idiotko, przychodzisz do urzędu, to wpierw sprawdź sobie, gdzie co jest, a nie przyłazisz i głupio się pytasz. Informacja nie udziela żadnych informacji!". Jeb!

Właścicielem marki jest superbokser, wyglądający jakby znalazł puszkę w stogu siana, w którym właśnie odespał jakąś ciągnącą się latami imprezkę. Nie sposób oburzać się na tę nazwę. Jej wulgarność w obecnych warunkach kulturowych może uchodzić za zwykłą figlarność. Puszczenie oczka. A jednak jest w tym jakaś niesamowitość. Lżący się politycy, wulgarne media, bluźniący artyści i klnący urzędnicy – to już znamy, a teraz nowość: produkty spożywcze o obelżywych nazwach. Czekam na Ble! mleko, płatki śniadaniowe Debilki i jakieś wariacje z „kur". Kur! Warkocze Drobiowe.

Przekleństwa, które przechodzą do mainstreamu i najbardziej oficjalnych sfer rzeczywistości są konsekwencją, znakiem i buforem wielu różnych zjawisk. Ale koniec końców wydaje się to niebezpieczne: to tak, jakbyśmy od rana do wieczora, na każdym kroku sami siebie przeklinali. Tempo, rozmach i zapał niesamowite jak na kraj, którego królem od lat przymusowo pozostaje Jezus Chrystus. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny, sygn. akt I Ns 1164/19, toczy się postępowanie z wniosku Towarzystwa Jezusowego Prowincja Polski Południowej w Krakowie, z udziałem Wacława Filipowskiego, Tadeusza Filipowskiego, Franciszka Filipowskiego, Tadeusza Milewicza, nieznanego z miejsca pobytu Jerzego Wyczesanego reprezentowanego przez kuratora r.pr. Natalię Czesak, Elżbiety Kaczor, Barbary Konarzewskiej, Heleny Cierniak, Stanisławy Van-Selow, Wandy Tobias, Leszka Filipowskiego, Krzysztofa Filipowskiego, Sławomira Filipowskiego, Teresy Kleśnej, Pawła Filipowskiego, Jolanty Czuchryty, o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Magdalenie Woda, c. Franciszka i Salomei, która zmarła 24 października 2019 r. w Brzesku. Ostatnim miejscem zwykłego pobytu spadkodawczyni były Mokrzyska. Maria Magdalena Woda w chwili śmierci miała 90 lat, zmarła jako panna. Pozostawiła testament, w którym do całości spadku powołała Towarzystwo Jezusowe Prowincję Polski Południowej w Krakowie.

Sąd Rejonowy w Brzesku, I Wydział Cywilny, wzywa wszystkich spadkobierców, aby zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny, w ciągu 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia i udowodnili nabycie spadku po Marii Magdalenie Woda, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIARA

PAPIEŻ MUSI WIERZGNĄĆ

Buntowniczy i krytyczny wobec kapitalizmu Franciszek podzielił się swoją marką z najprężniejszymi i najbogatszymi tego świata. Czy to ma sens?

RAFAŁ WOŚ

THOMAS MUKOYA / REUTERS / FORUM

Czy pamiętają Państwo „Lamparta" Tomasiego di Lampedusy? Ten klasyk XX-wiecznej literatury (sfilmowany przez Luchina Viscontiego w 1963 r.) opowiada o burzliwych przemianach politycznych i społecznych XIX-wiecznej Italii. Ale „Lampart" to również uniwersalna opowieść o tym, że uprzywilejowane elity nigdy tak po prostu się nie poddają. Nawet gdy nadciąga rewolucja, której nie mogą już w żaden sposób zapobiec. Wówczas zaczynają działać wedle zasady: „Wiele musi się zmienić, by wszystko pozostało tak, jak jest".

Ten refren powtarza się w „Lamparcie" kilkakrotnie i jest wypowiadany przez różnych bohaterów powieści. Gdy książę Salina wyrzuca swojemu siostrzeńcowi, że ten, przechodząc na stronę rewolucjonistów Garibaldiego, zdradził swoją klasę, słyszy: „Jeśli nas tam nie będzie, oni ogłoszą republikę. Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko się musi zmienić. Rozumiesz?" (przeł. Zofia Ernstowa). Potem zaś spowiednik księcia, jezuita o. Pirrone, powiada tak: „Powiem wam od razu, w dwóch słowach, (...) nie było żadnej rewolucji i wszystko będzie tak, jak było przedtem".

Krótko mówiąc: rewolucja rewolucją, zmiany zmianami, zamieszanie zamieszaniem. Najważniejsze, żeby końcowy efekt nie różnił się zasadniczo od punktu wyjścia. Dominujący mają zachować swoją pozycję oraz wpływy.

Ludzki kapitalizm

Papież Franciszek „udzielił błogosławieństwa" (to cytat z doniesień medialnych) grupie o nazwie Rada Inkluzywnego Kapitalizmu. Tę radę tworzy ponad sto bardzo bogatych firm, banków oraz funduszy inwestycyjnych. Dobijali się oni do wrót spiżowej bramy od paru lat. Pierwsze zapoznawcze spotkanie miało miejsce już w 2016 r.

Zrzeszone w Radzie instytucje kontrolują aktywa warte ok. 10,5 bln dolarów (roczne wydatki polskiego budżetu to ok. 1,5 proc. tej sumy) i mają ok. 200 mln pracowników w 163 krajach świata. Twarzą przedsięwzięcia jest baronessa Lynn Forester de Rothschild – trzecia żona sir Evelyna de Rothschilda. Ich wspólny holding inwestycyjny nazywa się E.L. Rothschild i ma w portfelu m.in. wydawcę tygodnika „The Economist" czy holding IHS (największego dostawcę infrastruktury telekomunikacji komórkowej w Afryce). Majątek netto tej gałęzi rodu Rotschildów szacuje się na 20 mld funtów.

Oprócz niej w Radzie znaleźć można prezesów lub wręcz właścicieli takich potęg współczesnego świata jak: Bank of America (drugiego co do wielkości banku w USA i ósmego banku na świecie) czy konsultingowego giganta EY (kiedyś Ernst&Young). Są nafciarze z BP, kosmetyczny potentat Estée Lau-

Nairobi, Kenia, listopad 2015 r.

der, wielobranżowy konglomerat Johnson&Johnson, niemieccy farmaceutycy z firmy Merck, faktyczni monopoliści rynku kart kredytowych Visa i Mastercard, a także Salesforce z Doliny Krzemowej – jeden z największych dostarczycieli software'u z dziedziny tzw. chmury teleinformatycznej. Osobiste majątki członków Rady nierzadko liczone są nie w milionach, ale wręcz w miliardach dolarów.

Rada Inkluzywnego Kapitalizmu jest mocno powiązana ze środowiskiem forum ekonomicznego w Davos. A dyrektor generalny i „dusza Davos", czyli niemiecki ekonomista Klaus Schwab, stał się nawet kimś w rodzaju głównego ideologa Rady. Podczas ostatniego forum Schwab zaprezentował zarysy swojego „wielkiego resetu" światowej ekonomii. Ma ona opierać się na trzech filarach. Po pierwsze, na wyższych podatkach dla najbogatszych. Po drugie, na obcięciu państwowego finansowania paliw kopalnych. Po trzecie, na wypracowaniu ↦

↦ nowego podejścia do bardziej sprawiedliwego światowego handlu oraz poluzowania prawa patentowego.

Również w wypowiedziach innych członków Rady pełno jest wyrazów troski o stan światowej gospodarki. „Bóg nie stworzył korporacji. Korporacja to wytwór społeczny, którego celem jest ograniczenie odpowiedzialności udziałowców. Ale dlaczego społeczeństwo ma godzić się na takie ograniczenie odpowiedzialności, jeśli udziałowcy źle traktują swoich pracowników, trują swoich klientów albo niszczą środowisko naturalne?" – pytała retorycznie Rothschild, inaugurując inicjatywę.

Na stronie internetowej Rady można zobaczyć zobowiązania korporacji na rzecz nowego społecznego kontraktu. Są one najróżniejsze: najczęściej dotyczą klimatycznej neutralności i troski o różnorodność rasową i genderową. Rzadziej – choć i to się zdarza – dotyczą spraw socjalno-bytowych, wsparcia dla projektów budownictwa mieszkaniowego albo lepszych płac. Wszystkie są oczywiście dobrowolne.

Papież Franciszek ma być tego procesu „duchowym przywódcą", ale bez konkretnych kompetencji nadzorczych. Raczej jako dobra marka wzmacniająca całościowy przekaz Rady.

Buntownicza koszula

Można ulec pokusie i zakrzyknąć: nareszcie! Zwłaszcza że wiele mediów (po części – dodajmy to uczciwie – kontrolowanych przez holdingi reprezentowane w Radzie) pełnych jest słów głębokiego uznania dla „wielkiego resetu". Bo oto establishment światowego kapitalizmu zapragnął się podzielić. Więcej nawet: bogaci są w tym obrazie wręcz wystylizowani na buntowników, którzy chcą rzucić wyzwanie „niesprawiedliwemu systemowi" i „wyzwaniom nowoczesności". Dlatego w naturalny sposób muszą połączyć swoje siły z innym buntownikiem. Czyli właśnie z Franciszkiem. Duchownym, który przecież przyniósł ze sobą do Watykanu latynoamerykańską perspektywę wielkich i utrzymujących się przez wiele dekad nierówności społecznych. Nierówności, które nakręcają niekończącą się spiralę biedy, przemocy, wykluczenia, wojny i niesprawiedliwości. Ale także perspektywę tzw. globalnego Południa. Czyli krajów, a nawet całych kontynentów, które cierpią z powodu strukturalnego wyzysku w relacjach z bogatym Zachodem.

Trudno zrozumieć łaskawość Watykanu dla pomysłów Rady Inkluzywnego Kapitalizmu na ratowanie świata.

Te perspektywy zaowocowały dwiema papieskimi encyklikami: „Laudato si" (2015) i „Fratelli tutti" (2020). A także wieloma mniejszymi interwencjami. Jak choćby w kwietniu 2020 r., gdy Franciszek wprost poparł koncepcję „powszechnej pensji podstawowej". Oto więc buntownicy łączą siły z buntownikiem. Czy to nie wspaniałe? Któż może ruszyć z posad bryłę świata, jeśli nie taki tandem?

Problem polega na tym, że taki obraz nie bardzo pasuje do rzeczywistości. Problemów jest bowiem kilka. Pierwszy polega na tym, że ci, co przychodzą do Franciszka z projektem „wielkiego resetu", nie są żadnymi buntownikami. Przeciwnie. Szczerze mówiąc, ich wiarygodność w obietnicy naprawienia gospodarki jest niezwykle niska. Mamy tutaj do czynienia z ludźmi oraz firmami, które bynajmniej nie urodziły się wczoraj. Większość z karier i olbrzymich pieniędzy została pomnożona właśnie na przestrzeni ostatnich 40 lat. A przecież nie był to abstrakcyjny czas, gdy nic się z gospodarką światową nie wydarzyło. Odwrotnie. To właśnie od połowy lat 70. XX wieku nierówności we wszystkich zachodnich społeczeństwach rosną i rosną, osiągając już poziomy XIX-wieczne.

Strażak podpalacz

Kto nie wierzy, niech zajrzy do (aktualizowanych) danych dostarczanych przez twórców World Inequality Database: ekonomistów Thomasa Piketty'ego, Emmanuela Saeza, Gabriela Zucmana i Facunda Alvareda. Dowie się wówczas np., że w roku 2020 na świecie było prawie 220 miliarderów. A ich liczba uległa podwojeniu w ciągu dekady. Ci miliarderzy mają zaś więcej majątku niż w sumie 4,6 miliarda ludzi na Ziemi. 22 najbogatszych mężczyzn świata posiada więcej niż wszystkie kobiety Afryki. Gdyby każdy z nich mógł usiąść na pliku banknotów studolarowych, które posiada, to znalazłby się... w przestrzeni kosmicznej. Podczas gdy większość ludzi ledwie odrywałoby się od podłogi.

Ważne jednak, że obecne nierówności są efektem konkretnych decyzji politycznych i ekonomicznych, które składają się na triumf systemu zwanego neoliberalizmem. Nie jest on – wbrew temu, co powiadają prześmiewcy – jakimś niedefiniowalnym zaklęciem, tylko precyzyjnym opisem procesu zmiany polityczno-ekonomicznego *status quo*. Jego kolejne etapy to najpierw (lata 80. i 90. XX w.) ograniczenie wpływu państw i rządów na gospodarkę i zastąpienie państwa (działającego w interesie wspólnoty) prywatnymi (działającymi w interesie swoich właścicieli) podmiotami gospodarczymi. Potem (po roku 2000) umożliwienie prywatnym podmiotom osiągnięcie pozycji monopolistycznej na wielu rynkach towarów i usług, co pozwoliło im na eliminację konkurencji i akumulację zysków. Mniej więcej w tym samym czasie (lata 90.) model ten został rozszerzony na cały świat w ramach procesów globalizacji.

Przykładem (aktualnym) może być tutaj działanie tzw. sektora Big Pharma – wielkich firm farmaceutycznych, które były jednym z głównych architektów systemu TRIPS, czyli Porozumienia w sprawie Handlowych Aspektów Praw Własności Intelektualnej, wprowadzonego w życie w ramach reżimu Światowej Organizacji Handlu (rok 1995). Jednocześnie ograniczona została siła przetargowa pracowników – głównie poprzez niszczenie związków zawodowych, ignorowanie praw pracowniczych oraz wycofywanie się państw z zadania zapewnienia w kraju tzw. pełnego zatrudnienia.

W tych warunkach, gdy produktywność gospodarki rosła, a płace spadały (lub stały w miejscu), oznaczało to nieuchronnie, że zyski trafiać musiały do biznesu lub wprost do najbogatszych, siedzących na końcu łańcucha tworzenia wartości dodanej. A ponieważ działo się to w warunkach stale spadających krańcowych stawek podatkowych (czyli danin płaconych przez najzamożniejszych), to pieniądze te nie trafiały na inwestycje, lecz były (i są nadal) bunkrowane przez najbogatszych w rajach podatkowych. Ile tam jest? Trudno powiedzieć. Szacunki wahają się między 8 a 35 bln dolarów. To są sumy niewyobrażalne.

I tak wracamy do reprezentowanych w Radzie firm. Oni wszyscy: Big Pharma, Big Finance, Big Tech, wielkie sieci sprzedaży. Wszyscy siedzieli na samym końcu tej rury wysysającej pieniądze od zwykłych, ciężko pracujących ludzi. I to u nich te pieniądze lądowały. Czy teraz będą najlepszymi architektami tego nowego społecznego kontraktu i „wielkiego resetu"? Czy nie mamy tu przypadkiem do czynienia ze strażakiem bohatersko gaszącym wywołane przez siebie pożary?

Kieszenie bogatych

Oczywiście ktoś może powiedzieć, że lepiej późno niż wcale. I że warto skorzystać z koniunktury i brać od bogatych, póki chcą się dzielić. Ale to nie do końca tak. Historia gospodarcza świata uczy raczej, że jedyne momenty, gdy udaje się zresetować system i wyrównać nierówności, przychodzą wtedy, gdy bogaci... nie mają wyjścia. Bo przychodzi potężniejsza od nich siła, zagrożenie, że stracą wszystko. Dopiero wtedy oddają cokolwiek. Dobrze można to pokazać na przykładzie historii podatków. Przez całe wieki fiskalne daniny od bogatych nie istniały. Było wręcz odwrotnie – to podatek był źródłem dochodu dla bogatych (magnateria, Kościół), którzy pobierali go w imieniu monarchy. Płaciły zaś szaraczki, co często było powodem do buntu.

Bardziej trwały wyłom wobec tej zasady uczyniła dopiero rewolucja francuska, ustanawiając kilka pionierskich sposobów opodatkowania bogactwa: podatki od własności ziemskiej, od wykonywanych (prestiżowych) zawodów, od rynkowej wartości wynajmowanych nieruchomości oraz od nieruchomości rezydencyjnych (to ten liczony od liczby okien czy drzwi). Po upadku rewolucji i restauracji wpływów ancien regime'u przestały one jednak odgrywać większe znaczenie praktyczne. W tym samym czasie samoregulacji bogatych (*via* kontrolowany przez nich parlament) próbowała Wielka Brytania. Efekt? Aż do końca stulecia w najbogatszym państwie ówczesnego świata podatek nie przekraczał nigdy 5 proc. A momentami spadał do 1 proc.

Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero w XX wieku. Dlaczego? Zadecydowały dwa czynniki. Po pierwsze konieczność powszechnej mobilizacji w wojnach światowych. Ekonomiści David Stasavage i Kenneth Scheve nazywają to *conscription of wealth* – czyli „wzięciem bogactwa w kamasze". Po roku 1918 w wielu krajach podatki szły dalej w górę. Dlaczego? Tu dochodzimy do drugiego czynnika, czyli strachu przed rewoltą społeczną własnych obywateli. Przypomnieć trzeba, że od roku 1917 w Rosji rządzili już bolszewicy. A niewiele brakowało, by dwa lata później rewolucja socjalistyczna powiodła się w Niemczech czy Austro-Węgrzech. W obawie przed gniewem ludu bogaci zgodzili się na niespotykane wcześniej sięgnięcie do ich kieszeni. Wojenna dogrywka z lat 1939-45 wywindowała stawki podatkowe dla najbogatszych do rekordowych wielkości. Wysokie podatki na Zachodzie utrzymywała potem przez kolejne lata groźba zimnej wojny. Nieprzypadkowo dopiero gdy zagrożenie komunizmem zaczęło znikać (lata 80.), podatki poszły w dół. I są tam do dziś.

Ostatnio w niektórych ekonomicznych kręgach karierę zaczęło robić pojęcie „abolicji bogactwa". Albo „uczynienie bogatych zbędnymi" – według propagatorki takich rozwiązań, amerykańskiej ekonomistki Pavliny Tchernevej. Jej zdaniem „to iluzja, że społeczeństwo potrzebuje bogatych, by zapłacili za socjalne fanaberie biednych". Dlatego szkoła myślenia o gospodarce, z której wywodzi się Tcherneva, to tzw. nowa polityka pieniężna (angielski skrót to MMT – od *modern monetary theory*). Postuluje ona, by odzyskać dla demokratycznych polityków możliwość bardziej odważnego niż dziś finansowania najpotrzebniejszych usług publicznych. Głównie poprzez odejście od zbyt wyśrubowanych limitów zadłużenia publicznego. Koniecznie połączoną z aktywną rolą banku centralnego, który powinien w razie potrzeby pomagać swojemu własnemu rządowi, by nie wpadł w spiralę zadłużenia w walucie obcej.

Tcherneva i MMT powiadają: wtedy nie będzie sensu prosić bogatych, by podzielili się majątkiem. Nie chcą się dzielić? Trudno. Zostawimy im majątki, będą tylko bezwartościowymi symbolami statusu. Zwietrzałą iluzją władzy, której już nie ma.

Watykański listek figowy

Postawmy teraz obok siebie te dwie wizje: z jednej strony uczynienie nadmiernego bogactwa zbędnym. Z drugiej połóżmy propozycje samoregulacji bogactwa na warunkach ustanowionych przez najbogatszych, z którą *de facto* przychodzi Rada. Która z nich jest bliższa duchowemu przesłaniu papieża Franciszka z jego encyklik? Aż głupio pytać, prawda?

Dlatego trudno zrozumieć łaskawość, z jaką o pomysłach Rady Inkluzywnego Kapitalizmu wypowiada się ghanijski kardynał Peter Turkson, który reprezentuje papieża w relacjach z Radą. W opublikowanej w lutym rozmowie z konserwatywnym amerykańskim „National Catholic Register" Turkson mówi o tym, że dla ratowania świata warto sprzymierzyć się z każdym. Choćby i ze środowiskiem multimiliarderów z Davos.

Podobną linię argumentacji zauważyłem, gdy miałem okazję rozmawiać z siostrą Alessandrą Smerilli, koordynatorką „Taskforce Economia" Komisji Watykańskiej ds. COVID-19, powołanej przez Franciszka w marcu 2020 r. Albo z papieskim doradcą ds. ekonomicznych Luigino Brunim (zob. powszech.net/bruni). Obie rozmowy odbyły się pod koniec 2019 r., lecz plany powołania Rady Inkluzywnego Kapitalizmu były już wtedy szeroko omawiane. Wyłaniające się z tych wypowiedzi podejście Watykanu opiera się na założeniu, że oto nareszcie te wszystkie wielkie korporacje chcą Stolicy Apostolskiej słuchać. Należy więc tę szansę wykorzystać.

Takie stawianie sprawy niesie ze sobą jednak poważne zagrożenie. Buntowniczy i krytyczny wobec kapitalizmu *brand* papieża Franciszka zostanie wykorzystany niczym detergent. Do resetu odpowiedzialności za stan społecznego rozkładu, w jakim znalazły się światowe społeczeństwa. Będzie z tego dużo pięknych zdjęć dla działów CSR (angielski skrót od terminu „społeczna odpowiedzialność biznesu") i PR w globalnych korporacjach. Wedle zasady: zmieniło się wszystko, żeby wszystko mogło pozostać tak, jak było.

Aby temu zapobiec, Franciszek powinien wierzgnąć. I to mocno! Dużo bardziej wyraziście przedstawiając to, czego się Watykan po współpracy z Radą spodziewa. Albo jakie konkretne warunki (prócz ich luźnego zobowiązania do samoregulacji czy naskórkowych korekt) stawia bogaczom w ich wizji naprawy świata. Jeśli Watykan tego nie zrobi, to może utracić coś bardzo cennego. Żywe przekonanie, że franciszkowy Kościół jest po stronie pokonanych, jak w Ewangelii.

©℗ RAFAŁ WOŚ

Odnowiony ołtarz Wita Stwosza, bazylika Mariacka w Krakowie, 5 lutego 2021 r.

Niewiasta obleczona w kolory

MAGDALENA ŁANUSZKA

Po konserwacji Ołtarz Mariacki błyszczy dawnym splendorem. Jaskrawej kolorystyki można bronić, odwołując się do teologii.

Po pięciu latach badań i konserwacji na swoje miejsce wrócił w całości Ołtarz Mariacki Wita Stwosza, arcydzieło XV-wiecznej rzeźby, a zarazem największe zachowane do dziś późnogotyckie retabulum szafiaste. Projekt badawczo-konserwatorski związany jest z Międzyuczelnianym Instytutem Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki. Choć wyniki szeroko zakrojonych badań opublikowane zostaną dopiero za jakiś czas, już teraz odwiedzający kościół Mariacki w Krakowie mogą zauważyć, że efekty konserwacji są spektakularne.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Prestiżowe zamówienie

W początkach 1477 r. przybył do Krakowa Wit Stwosz, snycerz z Norymbergi. Sprowadzili go przedstawiciele krakowskiego patrycjatu, zlecając mu wykonanie nastawy ołtarza głównego do kościoła farnego. Można by wiele napisać o ciekawej strukturze tego dzieła (jest to pozorny pentaptyk z nieruchomymi skrzydłami zewnętrznymi), o bogactwie jego dekoracji (nastawa jest w całości rzeźbiona), o innowacyjnych rozwiązaniach ikonograficznych (takich jak narracyjne połączenie Zaśnięcia i Wniebowzięcia Marii w części środkowej – choć nie tylko), o skomplikowanym programie teologicznym, podkreślającym rolę Marii w dziejach zbawienia, czy wreszcie o dynamice twardo łamanych szat oraz ekspresji żylastych rąk i pomarszczonych twarzy. Teraz jednak, po najnowszej konserwacji, warto przyjrzeć się... detalom i kolorom. Oto bowiem niektóre elementy w poszczególnych scenach zostały inaczej umieszczone, a przede wszystkim zmieniła się kolorystyka: tła zyskały głęboki odcień błękitu azurytowego, ramy zaś – przed konserwacją ciemne – dziś uderzają jasną, cynobrową czerwienią.

Ołtarz Mariacki zachwyca intensywnością barw, ale nie brakuje widzów, którzy mają wątpliwości: czy rzeczywiście wielki mistrz, który przyniósł do Krakowa późnogotycki styl w najwspanialszym wydaniu, stworzył dzieło w kolorystyce, którą dziś nazwalibyśmy jarmarczną? A jeśli nawet – to czy należało przywracać taką szatę barwną? Otóż moja odpowiedź brzmi: tak.

Gotyk cenzurowany

Od ponad 530 lat nastawa Stwosza zdobi prezbiterium kościoła Mariackiego (z przerwą w latach 1939–1957); oczywiście przez ten czas niezbędne były jej kolejne naprawy i renowacje. Szczególnie wobec faktu, że w czasach nowożytnych późnogotycka estetyka wypadła nieco z łask odbiorców. W drugiej połowie XVII wieku pojawił się pomysł okrywania rzeźbionych szat wielkich figur w środkowej części tkaninami, które przybijano gwoździami – zapewne aby zatuszować zbyt dynamiczne formy oryginalnego dzieła. Największe zagrożenie przyszło wraz z kompleksową barokizacją wnętrza kościoła Mariackiego w latach 1723–1761. Ówczesny archiprezbiter ks. Jacek Augustyn Łopacki zaplanował usunięcie niemodnego starego ołtarza – miał już nawet przygotowany projekt i model nowej nastawy. Opatrzność jednak czuwała nad dziełem Stwosza: oto bowiem ks. Łopacki zmarł, i dzięki temu wymiana ołtarza nie doszła do skutku.

Dziś trudno nam sobie wyobrazić taką nonszalancję, ale trzeba wziąć pod uwagę, że wówczas Ołtarz Mariacki uchodził za przestarzałą nastawę niewiadomego autorstwa, ponieważ nazwisko Stwosza popadło do tego czasu w niepamięć. Uwagę na wysoką klasę tego zabytku zwrócił dopiero Bertel Thorvaldsen – duński rzeźbiarz, który zwiedzał Kraków w 1822 r. Co ciekawe, artysta ten był wybitnym twórcą rzeźby klasycystycznej, której estetyka była skrajnie odmienna od ekspresyjnej sztuki późnogotyckiej. Ale to właśnie jego uwagi pchnęły starożytnika Ambrożego Grabowskiego do poszukiwania informacji na temat twórcy nastawy z krakowskiego kościoła Mariackiego. W rezultacie Grabowski „odkrył" Wita Stwosza: najpierw w odniesieniu do sygnatury na nagrobku Kazimierza Jagiellończyka (co ogłosił w 1830 r.), a następnie w archiwum Krakowa odnalazł dokument, który zawierał informację, iż Ołtarz Mariacki stworzył Niemiec Wit z Norymbergi.

Grabowski opublikował te rewelacje w 1837 r., cenzurując jednak informacje: ukrył pochodzenie artysty. Tak właśnie narodził się mit „Wita Stwosza Polaka", podtrzymywany przez wielu autorów w ciągu kolejnych dziesięcioleci. Jeszcze w XX wieku byli zwolennicy tej teorii, mimo że stała w sprzeczności z naukowym stanem badań. Ludwik Stasiak np. upierał się, że Stwosz urodził się w Krakowie, a do Norymbergi tylko podróżował („Zrodzony na naszej ziemi Król Duch zaniósł swym katom – Niemcom pochodnie kultury"). Z kolei Jan Sas-Zubrzycki dowodził, że Stwosz urodził się pod Krakowem („Witek z Kleparza"), i że „rzeźby Stwosza to mowa kształtu rdzennie polska, starolechicka". Uważał także, że imię Wit to skrót od słowiańskiego Światowid, nazwisko Stwosz wywodzi się zaś od słowa „stworzyciel".

Niezależnie od nacjonalistycznych poglądów na kwestię ewentualnego pochodzenia Wita Stwosza, w wieku XIX doceniona została w Krakowie klasa artystyczna jego twórczości, przez co zdecydowano się na kompleksową restaurację nastawy. Została ona zrealizowana w latach 1866–1871 pod głównym kierownictwem Władysława Łuszczkiewicza (w składzie zespołu kierującego pracami znalazł się także Jan Matejko). Prace te związane były z bardzo burzliwymi dyskusjami: na ile konserwować zachowawczo, a na ile rekonstruować? Łuszczkiewicz zaprojektował np. odtworzenie niezachowanego zwieńczenia. W gotyckich nastawach ołtarza głównego całość konstrukcji była zazwyczaj projektowana w odniesieniu do wysokości prezbiterium – jednakże w przypadku krakowskiego Ołtarza Mariackiego nie tylko nie zachowało się owo strzeliste zwieńczenie, ale nie przetrwały ↦

↦ także żadne materiały ikonograficzne pozwalające je przekonująco zrekonstruować. Propozycja Łuszczkiewicza byłaby więc neogotycką „fantazją" – ostatecznie nie doszło do jej realizacji.

Z drugiej strony Łuszczkiewicz oraz Matejko przeciwni byli doprowadzaniu kolorystyki dzieła do pełni pierwotnego blasku, twierdząc, że „Świetność barw i złoceń choćby z czasów Wita wyrachowaną była, (...) gusta się zmieniły dzisiaj i jaskrawość dysharmonijna obraża nasz smak", w rezultacie czego „restauracja ma być konserwatywną tylko i wyraźnie zastrzeżono, aby ołtarzowi zostawić szatę poważną starości". I tak jednak pomalowanie i pozłocenie rzeźb ostatecznie wywołało falę krytyki. „Te złocenia błyszczące jak rząd samowarów dobre są dla teatrów i kawiarń" – grzmiał na łamach „Czasu" Lucjan Siemieński, na co komitet odpowiadał, iż „Wina za jaskrawość odnowionego ołtarza leży w duchu średniowiecza, w którym ludzkość mająca gust estetyczny mniej wydelikacony lubowała się w jaskrawych barwach, jak to i dziś widzimy u ludzi z mniej wykształconym umysłem, lub w wieku dziecinnym".

Rzecz gustu

W XX wieku dwukrotnie przeprowadzono znaczące prace konserwatorskie przy Ołtarzu Mariackim: w pierwszej połowie lat 30., a następnie po II wojnie światowej, jako że w czasie okupacji ołtarz został wywieziony do Niemiec, a po odzyskaniu rzeźby były w złym stanie. Dopiero jednak obecny projekt konserwatorski, połączony z kompleksowymi badaniami dzieła, zaowocował przywróceniem nastawy do form najbliższych oryginalnym. Okazało się w sumie, że XIX-wieczne ingerencje – np. w maswerkowe zwieńczenia – były mniejsze, niż się spodziewano. Ogólnie wydaje się, że sporo zmian (np. gęstości zdobień maswerków albo ułożeń elementów takich jak anielskie skrzydła) miało charakter delikatnego stonowania późnogotyckiej dynamiki kompozycji – dziś zmiany te udało się w dużej mierze „odkręcić". To jednak przede wszystkim najnowsza korekta kolorystyki – zwłaszcza teł i ram – zmieniła znacząco całościowy wygląd nastawy.

Bracia Limbourg (przed 1416), Kalendarz bardzo bogatych godzinek księcia de Berry (detal), styczeń, Musée Condé w Chantilly, Ms. 65

R.M.N. / R.-G. OJÉDA ARTIST / WIKIPEMEDIA.ORG

Ale czy rzeczywiście należy uznać, jak twierdzono w XIX wieku, że owa późnośredniowieczna „pstrokacizna" jest dowodem na estetyczny prymitywizm naszych przodków?

Zadajmy sobie raczej pytanie, co kryje się za naszym współczesnym postrzeganiem stonowanej kolorystyki jako eleganckiej. Zapewne wiele czynników, zarówno tych historyczno-kulturowych, jak i tych technologicznych czy ekonomicznych. Po pierwsze, dość głęboko zakorzenione jest błędne przekonanie o nieskalanej bieli klasycznej sztuki starożytnej: to dlatego, że z antyku zachowały nam się głównie kamienne rzeźby, dziś pozbawione pierwotnej polichromii. W rzeczywistości posągi greckie i rzymskie były równie pstrokate jak Ołtarz Mariacki; dziś niektóre galerie prezentujące kolekcje sztuki starożytnej umieszczają obok obiektów hipotetyczną wizualizację ich oryginalnej kolorystyki, co większość zwiedzających wprawia w zdumienie.

Po drugie, w czasach nam współczesnych jaskrawa kolorystyka kojarzy się przede wszystkim z wyrobami z tworzyw sztucznych. Ponieważ są one tanie, to wyrazem prestiżu ekonomicznego stało się używanie – np. w wystroju wnętrz – surowców naturalnych: drewna, kamienia czy lnu. Oczywiście eksponowanie ich naturalnych barw przerodziło się w modę, która wpłynęła na szerszą popularność zgaszonej kolorystyki. A z drugiej strony wrażenie „przytulności" budują raczej żywe kolory; jednym z moich ulubionych kolorystycznie filmów jest „Amelia" (2001), gdzie niemal w każdym kadrze przewijają się akcenty głębokiej czerwieni i intensywnej zieleni. To bardzo tradycyjne połączenie barw dopełniających, stosowane powszechnie w sztuce średniowiecznej, także w Ołtarzu Mariackim. Nie tworzy wcale efektu jarmarcznej krzykliwości, lecz raczej buduje wrażenie ciepła i magiczności.

Generalizując, za główny czynnik kształtujący kanony piękna czy też mody można uznać aspekty ekonomiczne. W dawnych wiekach krągłe ciało i mlecznobiała cera świadczyły o pochodzeniu z wyższych warstw społecznych,

BAZYLIKA MARIACKA W KRAKOWIE X2

Figura Matki Bożej przed konserwacją

...i po konserwacji

których przedstawiciele nie głodowali ani nie pracowali fizycznie w polu. Dziś natomiast o takim statusie świadczy wysportowana, smukła sylwetka oraz opalenizna; klasy pracującej często nie stać na osobistego trenera, dietetyka i egzotyczne wakacje. Podobnie rzecz się miała z kolorami: tak w starożytności, jak i w średniowieczu przedmioty czy też tkaniny o intensywnych kolorach były przede wszystkim w zasięgu ludzi zamożnych: trwałe barwniki były drogie. Dziś zaś jaskrawe kolory kojarzą się nam z najtańszymi wyrobami z tworzyw sztucznych.

Cena kolorów

Znakomitą ilustracją w tym przypadku może być miniatura ilustrująca styczeń w kalendarzu „Bardzo bogatych godzinek księcia de Berry" (Bracia Limbourg, przed 1416 r., Musée Condé w Chantilly, Ms. 65). Przedstawia karnawałową ucztę fundatora: jego komnata dekorowana jest tapiserią ukazującą turniej. Wiele osób dzisiaj błędnie zakłada, że miniaturzysta ukazał ucztę z turniejem w tle – tymczasem to tylko wystrój wnętrza, typowy dla rezydencji XV-wiecznych arystokratów. Na pierwszym planie widzimy gospodarza i jego gości, ubranych w modne wielobarwne stroje: nie tylko wzorzyste, ale także łączące bardzo różne barwy, również w formie zaskakujących może dla nas zestawień (np. każda nogawica innego koloru – tak jest, noszenie skarpet nie do pary nie jest wymysłem XXI wieku!). Najbogaciej jednak prezentuje się sam książę: oto bowiem odziany jest w szatę błękitną, wyszywaną złotem. O ile dziś nie dziwi nas prestiż złota, o tyle mniej oczywiste jest, jak bardzo kosztowny był głęboki niebieski barwnik. To ultramaryna (tzn. kolor „zza morza"), produkowana z lapis lazuli, czyli minerału wydobywanego głównie w prowincji Badachszan (Afganistan) na Jedwabnym Szlaku. Uzyskanie pigmentu o pożądanej głębokiej barwie wiązało się z dość żmudnym procesem wydobywania samego lazurytu z kamienia zawierającego także inne minerały. Koszty produkcji i transportu lapis lazuli do Europy były zatem niemałe – ale warto było, bo barwnik ten był nie tylko piękny, ale też niebywale trwały. Syntetyczną ultramarynę wyprodukowano dopiero w latach 20. XIX wieku.

Prestiż głębokiego błękitu w dużej mierze wynikał właśnie z kosztowności ultramaryny; można go jednak było uzyskać nieco tańszymi sposobami. Równie intensywny, a zdecydowanie łatwiejszy do pozyskania był azuryt – wydobywany głównie w Egipcie węglan miedzi, którego złoża eksploatowano zresztą także w innych krajach (w Polsce np. już od średniowiecza w Miedziance w Górach Świętokrzyskich). To właśnie azurytowe były pierwotnie tła w Ołtarzu Mariackim; w tej chwili, po konserwacji, mają one znów właściwy odcień, w miejsce zbyt jasnego błękitu, który był efektem poprzednich renowacji.

Niewątpliwie jedną z najbardziej zaskakujących (i rzucających się w oczy) zmian jest kolorystyka ram, które z ciemnych zmieniły się w cynobrowe. Oczywiście i tym razem jest to powrót do pierwotnej kolorystyki: wskazały na nią zachowane pozostałości barwnika, ale także praktyka, którą możemy zaobserwować w przypadku innych XV-wiecznych ram – często malowano je na cynobrowo. Cynober to siarczek rtęci, występujący w skałach w połączeniu z różnymi minerałami – jego pozyskiwanie wiązało się z czasochłonnym oczyszczaniem wydobytego materiału. W średniowieczu popularne stało się sztuczne produkowanie siarczku rtęci: pigment ten zwano vermilionem. Ramy malowane na intensywny cynobrowy kolor znakomicie podkreślały blask złota oraz głębię błękitu w obrazach i rzeźbach, które otaczały – i to właśnie była ich główna rola.

Szafirowe niebo

W starożytności lapis lazuli bywał określany jako „szafir" – ten właśnie kamień (a co za tym idzie: specyficznie głęboki odcień błękitu) wielokrotnie pojawia się w Biblii: w opisach fundamentów murów Niebiańskiej Jeruzalem (w Księdze Izajasza i Apokalipsie) oraz objawień Boga (przy zawarciu Przymierza w Księdze Wyjścia i w wizji Ezechiela). Kolor szafirowy wymieniony był wśród barw starotestamentowych szat kapłanów, podkreślając ich bezpośrednie obcowanie z Bogiem. Błękit odnosił się oczywiście do nieba – stąd symbolika związana z Królestwem Niebieskim, ale także ogólniej: z trwałością, wiecznością, niezmiennością. Głęboka niebieska barwa była również postrzegana jako kolor królewski i w takiej właśnie roli została przypisana Matce Bożej.

Podobnie prestiżowe znaczenie miało złoto: symbol bogactwa i władzy, którego blask przede wszystkim odnosił się do światłości Boga oraz aniołów; stąd też wielka popularność tego cennego kruszcu w sztuce sakralnej. Był to także kolor wiązany ze Słońcem, które przez większość kultur i religii kojarzone było z najwyższymi bóstwami; chrześcijanie oczywiście przełożyli kult Słońca na postać Chrystusa. Z drugiej strony wspomniana w Apokalipsie „Niewiasta obleczona w słońce" była odnoszona do Marii, zwłaszcza w późnym średniowieczu, gdy rozkwitał kult Niepokalanego Poczęcia.

Nic zatem dziwnego, że wielki ołtarz poświęcony Matce Bożej pełen był złota i błękitu, których intensywność podkreślały czerwone ramy. A my znów możemy zobaczyć, jak to wyglądało ponad 500 lat temu. © MAGDALENA ŁANUSZKA

Trans z Tischnerem

ARTUR SPORNIAK

Czy to, co pisał filozof z Łopusznej, jest aktualne? Jak dzisiaj czytać jego teksty?

12 marca przypada 90. rocznica urodzin ks. Józefa Tischnera. To okazja do przypomnienia autora wciąż obecnego na półkach księgarskich, choć od jego śmierci minęły już ponad dwie dekady. Nic dziwnego, że wydawcy i tym razem nie zawiedli.

Wydawnictwo Znak zaprezentowało autorską antologię Wojciecha Bonowicza – biografa i znawcy spuścizny Tischnera – „To co najważniejsze", czyli 21 najbardziej aktualnych tekstów Tischnera na XXI wiek; wszystkie były wcześniej publikowane. Z kolei jezuickie Wydawnictwo WAM z niepublikowanych wykładów z filozofii człowieka, wygłoszonych przez Tischnera w roku akademickim 1993/1994 dla studentów Papieskiej Akademii Teologicznej, wykroiło ręką Joanny Podsadeckiej fragmenty odnoszące się do międzyludzkich uczuć, tytułując książkę „Miłość w czasach niepokoju". Dygresji na temat miłości zebrało się ponad dwieście stron!

Piszę o obu książkach z pewną nieśmiałością. Gdy ostatnio wyraziłem na tych łamach entuzjazm dla niedawno wydanego zbioru tekstów Tischnera, pochodzących z trudno dostępnych periodyków, mój dwudziestoparoletni syn zareagował: – Zachwycasz się, tato, Tischnerem, bo go znałeś, a on nie musi dziś do ludzi przemawiać.

Ta uwaga zrodziła we mnie kilka trudnych pytań. Czy to, co Tischner pisał, jest rzeczywiście uniwersalne? Czy będzie aktualne zawsze? Innymi słowy: czy możemy uznać już Tischnera za klasyka, wznawiać co jakiś czas jego dzieła, usilnie je polecać oraz wydobywać z jego spuścizny rzeczy jeszcze nieznane? A może jest tak, że tych, którzy mieli np. przywilej słuchać wykładów Tischnera, uwiodła jego osobowość i kiedy dziś czytają jego niepublikowane wcześniej teksty, wraca w pamięci jego uśmiech i tamten trans? Może bardziej niż o treści chodzi o przeżycie, którego nowi czytelnicy Tischnera już nie doświadczą? No właśnie – czy na pewno nie mogą go doświadczyć i czy przeżycie zawsze przesłania treść?

W istocie to pytanie hermeneutyczne: czy nowy kontekst lektury wzmocni zawarte w niej prawdę i mądrość, czy raczej je przesłoni? Pytanie dla mnie zbyt trudne. Mogę natomiast jako niegdysiejszy słuchacz Tischnera spróbować przybliżyć kontekst dawny.

Rzeczywiście, gdy czytałem fragmenty wykładów dotyczące miłości, wrócił obraz amfiteatralnej sali wykładowej w Collegium Witkowskiego, dziś noszącej imię Tischnera. Wszystkie ławki szczelnie wypełnione, słuchacze – młodzi i starsi – siedzieli, gdzie tylko się dało, także na podłodze pod tablicą, wzdłuż ściany od wejścia do pierwszych rzędów audytorium, na jego schodkach i na najwyższym piętrze za ostatnimi ławkami. Tischner świetnie sobie radził z tym różnorodnym tłumem. Wplatał w swój wywód dowcipy, a robił to tak zręcznie, że nigdy nie było wiadomo, czy przykład, mający za moment zilustrować jakiś ważny fenomen, będzie powiedziany serio. To utrzymywało naszą uwagę w pogotowiu i przeganiało zmęczenie. Dziś podczas lektury te „niepoważne", zaskakujące przerywniki mogą czasem irytować, dlatego dobrze znać ich pierwotną funkcję.

Józef Tischner **MIŁOŚĆ W CZASACH NIEPOKOJU** *Wydawnictwo WAM Kraków 2021*

Józef Tischner **TO CO NAJWAŻNIEJSZE** *Znak Kraków 2021*

Lekturę obu książek proponuję zacząć od „Miłości w czasach niepokoju". Tischner uczciwie przyznaje: „Bardzo dużo pisałem o nadziei, ale o miłości nie. Wydawało mi się, że jakby do tego nie dojrzałem". Powód podaje prosty: „W takim stanie jak mój nie przeżywa się miłości jako ryzyka życia". Już sama definicja miłości – jako „wystawiania życia na szwank" – zapowiada jednak, jak istotną rolę pełni ona w postrzeganiu przez Tischnera życia ludzkiego jako uczestniczenia w dramacie. Nic dziwnego zatem, że nie czyniąc z miłości głównego tematu, ciągle się do niej odwołuje – ona jest przestrzenią, w której analizuje teksty Hegla, Kierkegaarda, św. Jana od Krzyża czy Eckharta. Zasługą redaktorki jest ułożenie z fragmentów spójnej całości: od „Wzajemnego wybrania" przez „Ciemne noce miłości", „Pożądanie cudzych pożądań", „Ryzyko wejścia na manowce" po „Religię zmieniającą sens erotyzmu" i „Dojrzewanie do rozumienia miłości" (tytuły wybranych rozdziałów). Jak to u Tischnera – po drodze znajdziemy mnóstwo zaskakujących dywagacji, np. o roli „paplaniny zakochanych".

Gdy już rozsmakujemy się w żywym słowie Tischnera, warto sięgnąć do antologii Bonowicza, przybliżającej najważniejsze tematy, z którymi filozof borykał się w ciągu życia. Należą do nich nadzieja, wolność, etyka solidarności czy manowce religijności. Ich aktualność pokazuje redaktor we wprowadzeniach do kolejnych rozdziałów.

Tematem spinającym obie książki jest miłość – antologię zamyka tekst napisany przez Tischnera na pół roku przed śmiercią, a opublikowany pod tytułem „Miłość" w bożonarodzeniowym numerze „Gazety Wyborczej" w 1999 r. Tekst jest krótki, niemal zdawkowy. Bez wiedzy o chorobie autora trudno docenić jego moc. Na przykład siłę takiego zdania: „Postęp prawdziwy miłości nie polega na tym, żeby było więcej krzyża, ale na tym, żeby było więcej mądrości". ©℗

ZUZANNA

Radzik: *Odmówcie sobie*

Otóż pewien czytelnik postanowił wyłożyć mi słownikowe znaczenia słowa użytego w felietonie. Mam w domu słownik, dziękuję. Skorygował też odniesienie do historii praw wyborczych kobiet i pochylił się z troską nad moimi życiowymi doświadczeniami, bo muszą być koszmarne, skoro tak mnie uwiera kobiecość. Pudło. Ale on ma córki w moim wieku, więc wie, jak się powinnam czuć. W sumie nie byłoby to nic takiego, gdyby rzeczywistość nie zaatakowała ostatnio naporem „mężczyzn objaśniających świat". Miałam ochotę odesłać ich wszystkich słowami: „Zanim objaśnisz mi świat, przyjrzyj mu się. Idź, przeczytaj Solnit i nie grzesz więcej".

Tytuł eseju Rebeki Solnit sprzed dwunastu lat został szybko przekuty w termin: *mansplaining*. Bezbłędnie opisujący doświadczenia wielu kobiet, a tłumaczony na polski np. jako męsplikacja. Solnit wypiera się jego autorstwa. Jakby sam się wykluł między ludźmi i nazwał rzeczywistość, która się o to prosiła.

Ten spokojny początek eseju o gospodarzu przyjęcia, który opowiadał jej o jej własnej książce ze znawstwem kogoś, kto nie czytał, ale i tak wie lepiej, a na pewno bardziej ma prawo mówić... Ile kobiet odnalazło w nim swoje doświadczenie? „Doświadczenie nauczyło mnie jednak, że całkowita, konfrontacyjna pewność siebie połączona z całkowitą niewiedzą jest upłciowiona – pisze Solnit. – Mężczyźni objaśniają rzeczy tego świata mnie i innym kobietom niezależnie od tego, czy wiedzą, o czym mówią, czy też nie. W każdym razie niektórzy mężczyźni".

Nie wiem, czy amerykańska pisarka miała kiedyś bliższą styczność z Kościołem katolickim, ale tu można by urządzić muzeum żywej historii mansplainingu – i to w wersji, która wymagałaby własnego terminu. Bo tu mężczyźni ochoczo objaśniają kobietom kobietę i kobiecość. A że objaśnianie Boga, Biblii i Kościoła systemowo zastrzegli sobie, to rzecz już zupełnie oczywista i przezroczysta.

Ochoczo objaśniają więc, choć czasem dzielą się wątpliwościami: „Po każdym głoszeniu do kobiet mówię sobie: »nigdy więcej!«, a potem znów się w to pakuję i znów mam dogłębne przekonanie o tym, że to powinien być ostatni raz w życiu. Oczywiście nie myślę tak dlatego, że nie lubię kobiet lub niemiło mi się z nimi przebywa. Nie. Chodzi o to, że gdy próbuję im coś wytłumaczyć, opowiedzieć kim są, to mam doświadczenie totalnej absurdalności i bezsensu tego, co wymyśliłem". Bingo! Tylko dlaczego piszesz to we wstępie do pierwszej z dwóch książek, w których kobietom tłumaczysz, jak być kobietą?

Do księgarń niedawno wjechała kolejna książka cytowanego autora. Idealnie przed świętem kobiet poprzedzonym miesiącami kobiecych protestów. Może objaśniacze mieszkają na innej planecie, na którą wciąż nie dociera, że mogliby się powstrzymać, posunąć. Zamilknąć. Że kobiety również dlatego wychodziły na ulicę. Że mają dość słuchania.

Katoliccy mężczyźni (zwłaszcza ordynowani) objaśniają mi kobiecość, Biblię, Kościół. W dodatku tak, żeby nie było w nim dla mnie miejsca. Wykrzykują teraz zza każdego internetowego węgła, bo głoszą rekolekcje. Niektórzy bardziej głoszą siebie i swoją opowieść. Zajmując całe miejsce. Nie biorąc pod uwagę, że posiadanie głosu nie jest warunkowane wyłącznie święceniami. Jest post, czas na odmawianie sobie. Potraficie odmówić sobie nie internetu i słodyczy, ale głosu i przestrzeni?

Może tylko ja jestem tym zmęczona i przytłoczona objaśnianą przez mężczyzn wiarą, Biblią, światem? Uciec w ciszę? Akurat jest post, więc może właśnie takiego postu mi potrzeba: od tego zgiełku?

Jednocześnie moje uszy głodne są głosu i opowiadania wiary i Biblii oraz towarzyszenia, ale łaknę głosu innego. Kobiecego głosu po polsku objaśniającego mi Kościół, duchowość, Ewangelię. Towarzyszenia kobiet, a nie przewodnictwa mężczyzn. Nie miałam pojęcia, jak bardzo, aż koleżanka po fachu, Agnieszka Piskozub-Piwosz, zdobyła się na opowiadanie o Ewangelii na YouTubie. Gdy pierwszy raz słuchałam, nie mogłam powstrzymać wzruszenia. Jakby deszcz spadł na spękaną ziemię. Banalna metafora, ale tak właśnie czułam: że ktoś trafił do mnie z życiodajnym Słowem. Ton, w którym słyszałam przełamaną niepewność, a nie tę pewność, że oto jestem w prawie, by mówić.

Coś pękło. Magazyn „Kontakt" wydrukował potem kilka odcinków jej rekolekcji na czas zwykły, teraz zaprosił Katarzynę Sroczyńską z rekolekcjami na Wielki Post. Zatem mogę pościć od opowiadaczy, ale jednocześnie zaspokoić głód słuchania. Mogę, bo ktoś zrobił miejsce, dał łamy – jakby megafon – głosowi kobiet. Ale czy ktoś z objaśniaczy podejmie ascezę i sobie odmówi? ©

POŻEGNANIE

Ze smutkiem i ściśniętym sercem
żegnam wielkiego polskiego szekspirologa,
wybitnego naukowca,
niezawodnego przyjaciela

Jerzego Limona

Marta Gibińska

LABORATORIUM CZARNOKSIĘŻNIKA

Dziesięć lat temu zaczęła się wojna syryjska. Czego dowiedzieliśmy się w ciągu tej dekady?

KRZYSZTOF STRACHOTA

ESBU LEYS / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGE

Jedna z dzielnic Aleppo po nalocie przeprowadzonym przez samoloty syryjskie (rządowe) i rosyjskie. Listopad 2016 r.

Niewiarygodnie piękny był marzec roku 2011 dla świata arabskiego. Na fali protestów, które przetaczały się przez region, na fali żądań godności, perspektyw, demokracji – wznoszonych zgodnie przez liberałów i islamistów – padły rządy starców w Tunezji i Egipcie, ruszyła się Libia. Oraz Syria.

Ruszyła lekko, od antyrządowych napisów malowanych przez nastolatków na murach w mieście Dara. Lekko, bo jej prezydent mógł dawać nadzieję: Baszar al-Asad, wcześniej okulista praktykujący na Wyspach Brytyjskich, ściągnięty na siłę do kraju po śmierci brata-delfina, z piękną żoną, brytyjską Syryjką, aktywną zawodowo finansistką. Syryjczycy długo mieli nadzieję, że to oni, Baszar z żoną, sami staną na czele rewolucji, że zrzucą brzemię dyktatury, którą zbudował Hafiz al-Asad, ojciec Baszara. Że będzie dobrze.

Nadzieje takie miał też świat. Jeszcze w sierpniu 2011 r. mediacji próbował przywódca Turcji, ówczesny przyjaciel Baszara. Do sierpnia czekał prezydent USA. Ale dzieci z Dary już były skatowane, już w marcu padli zabici na protestach, już w kwietniu na kipiące miasta ruszyły czołgi. Zaczynała się najstraszniejsza odsłona Arabskiej Wiosny. Ruszało laboratorium, w którym testowano, ile da się wycisnąć z ludzkich nadziei i strachów, ile da się wycisnąć z wojny. Przez dekadę, która minęła od 15 marca 2011 r., przetestowano wiele.

Rewolta

Była wojna w Syrii próbą rewolucji. Protestujący dość skutecznie przejmowali kontrolę nad miastami i regionami. Rewoltował się aparat państwowy, włącznie z armią. Już latem 2011 r. działały antyrządowe siły zbrojne (Wolna Armia Syryjska). Na stronę opozycji przechodzili wysocy urzędnicy, inni ginęli w zamachach. Powstawały – w Turcji i Katarze – emigracyjne ośrodki polityczne.

Rewolta była reprezentowana przez nacjonalistyczne elity, zwykle pochodzenia sunnickiego (arabscy sunnici są w Syrii większością), a jej celem było dotychczasowe kierownictwo państwa, zwłaszcza aparat represji, mający bezwarunkowe poparcie wśród mniejszości alewickiej (to odłam szyizmu). Pozostałe mniejszości – chrześcijanie, Kurdowie – wolały trzymać się z boku lub wybierać znane „zło" (tj. Asada) w miejsce nieoczywistych dla siebie nadziei sunnickiej większości.

Czas grał wtedy na korzyść opozycji, która w ciągu dwóch lat zajęła większość kraju. Władze trzymały się dzięki przewadze technicznej i posiłkom libańskiego Hezbollahu, a z czasem także regularnych sił irańskich. Miarą desperacji Asada było użycie (ponawiane jeszcze kilkukrotnie) broni chemicznej przeciw cywilom w Ghucie (sierpień 2013 r.).

Przy okazji Ghuta pokazała jeszcze jedno: mimo oburzenia i gróźb, ani amerykański, ani brytyjski parlament nie poparły opcji interwencji militarnej w Syrii. Zamykało to pewien rozdział w historii Zachodu po zimnej wojnie (nazwijmy go „mesjanistycznym"). Asad wojny wciąż nie przegrał, ale nie miał nadziei na zwycięstwo.

Wstrząsy

Była wojna w Syrii kolejną odsłoną islamskich ambicji i poszukiwań. Jak w większości państw Arabskiej Wiosny, również w Syrii siły islamskie szybko zdominowały świeckich nacjonalistów, a organizacje córki Al-Kaidy zdominowały Wolną Armię Syryjską. Konflikt nabrał cech walki sunnitów z szyitami (jak w sąsiednim Iraku).

Jednak to w Syrii doszło do rzeczy niezwykłej: podjęto próbę budowy kalifatu, „państwa bożego", o ambicjach globalnych i eschatologicznych. W 2014 r. dokonali tego iraccy rozłamowcy z Al-Kaidy, ludzie z dawnego irackiego wywiadu i ich syryjscy poplecznicy – postkolonialne granice przestawały istnieć. Były szybkie sukcesy w zajmowaniu obszarów Syrii i Iraku, wystudiowane okrucieństwo, był wielki rezonans na świecie (ochotnicy, zamachy).

Fala wstrząsów wywołanych przez wojnę syryjską – zwłaszcza niespotykany napływ uchodźców – wstrząsnęła fundamentami Europy: wspólną polityką Unii, systemem ochrony granic, ale też wartościami i fobiami społeczeństw, poszerzając drogę dla populizmów i dokładając się do brexitu.

Równolegle, także w 2014 r., na drugim biegunie laboratoryjnego spektrum dojrzał inny eksperyment: neutralni w konflikcie syryjskim Kurdowie, zorganizowani przez Partię Unii Demokratycznej (PYD, wyrastającą z radykalnej terrorystycznej PKK), zaczęli realizować swój awangardowy projekt budowy lewicowego parapaństwa w północnej Syrii (i na tej fali także w Turcji). I to Kurdowie wzięli na siebie główny ciężar walki z Państwem Islamskim. Z czasem, dzięki wsparciu USA, przesądzili o jego rozbiciu (2019 r.), a sami wyrośli na drugą siłę w Syrii, kontrolując jedną trzecią jej powierzchni i gwarantując minimum stabilności miejscowym Arabom. ↦

Aktorzy

Stała się wojna w Syrii klasyczną *proxy war*, wojną zastępczą. Co najmniej od 2014 r. na jej terenie operują jednocześnie siły zbrojne Iranu (one pozwoliły przetrwać Asadowi), Rosji (pozwoliły przejść mu do ofensywy i zepchnąć do narożnika w Idlibie resztki opozycji), Stanów Zjednoczonych i ich koalicjantów (głównym ich celem było rozbicie Państwa Islamskiego; incydentalnie atakowano siły reżimu), Izraela (regularne naloty na irańskie instalacje w Syrii), wreszcie Turcji (trzy operacje, których politycznym celem było odepchnięcie Kurdów od tureckiej granicy; obecność militarna w Idlibie).

W każdym z tych przypadków ogromne było pragnienie minimalizowania konfliktów z innymi zewnętrznymi aktorami, ale jego realizacja okazywała się trudna. Wielokrotnie strzelali do siebie Turcy i Rosjanie (równolegle współpracując politycznie), Amerykanie masakrowali rosyjskich „ochotników" i irańskie milicje, a sami byli wielokrotnie przez nie atakowani. Zwalczały się reżimowe milicje proirańskie i prorosyjskie. Izrael miał odpowiadać za zestrzelenie rosyjskiego samolotu, a rosyjskie systemy obrony za zestrzelenie izraelskiego.

Do otwartego konfliktu jednak nigdy nie doszło. W każdym przypadku (poza Izraelem) decyzja o wejściu w konflikt była trudna i ryzykowna – w każdym z przypadków decyzja o wyjściu z konfliktu jest nieporównywalnie trudniejsza i bardziej ryzykowna (o czym świadczy dwukrotna decyzja prezydenta Trumpa o wycofaniu wszystkich sił USA z Syrii; decyzja, która nie została zrealizowana). Koniec końców zasadnicze rachunki płacą Syryjczycy: Aleppo, Homs i wiele innych miast zdemolowało lotnictwo rosyjskie, Rakka (stolica Państwa Islamskiego) była atakowana przez lotnictwo USA, a Afrin przez artylerię turecką. Skala zniszczeń jest porównywalna do skutków nalotów dywanowych z II wojny światowej.

Kręgi piekła

Z tamtych nadziei, z marca roku 2011, nie zostało nic. Każda przerodziła się w swoją karykaturę. Cena, którą zapłaciła Syria, jest niewyobrażalna. Dekadę temu kraj miał 21 mln mieszkańców. Zginęło 400-600 tys. (wskutek walk lub w więzieniach), a prawie 6 mln uciekło z Syrii, na długo naruszając demograficzną strukturę państwa (kosztem sunnitów) i drenując jego kapitał ludzki (najpierw uciekali bogatsi i wykształceni). Kolejnych co najmniej 6 mln ludzi jest uchodźcami wewnętrznymi; zapewne nigdy nie wrócą do domów. Przy czym część z nich może jeszcze uciec za granicę, o ile reżim i jego protektorzy zdecydują się na likwidację Idlibu – ostatniej enklawy opozycji (żyje tam 3 mln ludzi).

> Skala zniszczeń w wielu miastach Syrii jest porównywalna do skutków **nalotów dywanowych z II wojny światowej.**

Kosztów ludzkich i społecznych tej dekady nie da się oszacować. Nie do oszacowania jest bagaż, który dźwigają najmłodsi, stanowiący dziś jedną trzecią społeczeństwa (w przedziale wiekowym do 14 lat; to 7 mln ludzi). Oni nie znają innego świata niż wojna.

Kraj jest wyniszczony instytucjonalnie i materialnie (szacuje się, że do odbudowy potrzebnych byłoby 400 mld dolarów). Jest też przeorany mentalnie: od rewolucji w głowach (np. Państwo Islamskie), przez trwającą na terenach kurdyjskich rewolucję społeczną, po rewolucję prowadzoną na terenach kontrolowanych przez Asada (jednym ze skutków „przesunięć" ludności były zmiany własnościowe dotyczące milionów ludzi).

Pokój dla naszych czasów

Otwarte jest pytanie, czy można w ogóle wyglądać końca tego konfliktu.

Od roku wszak walki mają charakter sporadyczny i lokalny. Reżim kontroluje 65-70 proc. kraju, Kurdowie (stawiający na polityczny dialog z Asadem) 20-25 proc., a opozycja 5-10 proc. (część tego ostatniego obszaru kontroluje Turcja). Militarna przewaga reżimu, wspieranego przez Rosję i Iran, jest niemożliwa do odwrócenia. Rozmowy pokojowe, w tym o nowej konstytucji, prowadzone pod auspicjami ONZ, stoją w miejscu.

Jest więc „nadzieja" (w dużym cudzysłowie), że konflikt się wypali i wejdzie w fazę stabilizacji. Status terenów kontrolowanych przez Kurdów przypominałby wtedy status irackiego Kurdystanu (nieformalnej autonomii z odsuniętym terminem rozstrzygnięć, ale też z powracającymi karnymi operacjami armii tureckiej). W takiej perspektywie opozycyjny Idlib byłby odpowiednikiem Strefy Gazy: przykrym, ale do zarządzania. Z kolei tereny opanowane przez Turcję byłyby przez nią *de facto* inkorporowane (już dziś rynek, waluta i usługi publiczne są tam przedłużeniem państwa tureckiego). W takiej wizji każdy z zewnętrznych aktorów miałby zapewnione minimum swych interesów (i to po niskich kosztach).

Gdyby spytać Joego Bidena (i amerykańskiego podatnika) o opinię w tej sprawie, odpowiedź byłaby zapewne pozytywna: przy całej agendzie demokratyzującej, przy chęci odbudowy autorytetu USA w świecie, akurat Syria nie jest miejscem, gdzie USA mogą coś zyskać. Ogrom zbrodni i krzywd, ciążących zwłaszcza na Asadzie, nie zostałby zapomniany (choć szybko przykurzony), ale wszak na horyzoncie nie ma „policjanta" ani „sądu", którzy mogliby te sprawy należycie zamknąć. Trudno: Syria nie byłaby tu jedyna.

Ferment się nie skończył

Ten „pozytywny" (znów w cudzysłowie) wariant ma jednak fundamentalne słabości. Ich wspólnym mianownikiem jest skala dewastacji porządku instytucjonalnego w państwie. Asad wygrywa na tle słabości innych, ale jest zakładnikiem skomplikowanego układu, który trzyma go przy władzy: sprywatyzowanych struktur wojskowych, partyjnych i urzędniczych; ambicji protektorów z Teheranu i Moskwy (kontrolujących całe korpusy armii syryjskiej, sektory gospodarki i państwa oraz ostro ze sobą rywalizujących); struktur przestępczych, które zapewniają funkcjonowanie gospodarki (w tym handel między stronami konfliktu).

Asad rządzi krajem zrujnowanym, któremu nie pomogą Iran i Rosja (same dotknięte problemami gospodarczymi i sankcjami) ani Unia Europejska, choćby chciała. Bo Asad odrzuca pomoc warunkowaną reformami, bezpiecznym powrotem uchodźców i rozliczeniem zbrodni. Unia wie, że dziś każdym eurocentem wspierałaby reżim i jego patologie. Asad czy Moskwa trzymają za to w rękawie potencjalnych uchodźców z Idlibu – gra wszak trwa.

Wreszcie, *last but not least*: u korzeni Arabskiej Wiosny były realne problemy, które tylko narosły. Państwo Islamskie zniknęło z mapy, ale udowodniło zdolność przetrwania. Jego siły w Syrii liczą 8-16 tys. bojowników, którzy niemal codziennie dokonują lokalnych zamachów, zbierają haracz od biznesu, sądzą i egzekwują wyroki. Ferment ideowy się nie skończył, podobnie jak nadzieje na porządek. Arsenał narzędzi został udoskonalony i czeka.

Tryumf Chaosu nad Porządkiem

Syryjskie laboratorium niesie jeszcze jedną ważną lekcję: o współczesnej wojnie.

Konflikt zimnowojenny i trzy dekady, które minęły od jego zakończenia, przyzwyczaiły nas do myślenia o wojnie w kategoriach zero-jedynkowych. O wojnie, której celem (co najmniej deklarowanym) jest wprowadzenie porządku (lepszego, naszego). Syryjski konflikt jest inny: po raz pierwszy Zachód nie wykazał ani woli, ani możliwości politycznych i militarnych, aby tej wojny uniknąć lub chcieć doprowadzić ją do akceptowalnego końca. Sam został przy tym boleśnie dotknięty i pozostawiony bezradnym.

Natomiast dla kilku innych państw (Rosji, a także niedoświadczonych wcześniej na tym polu Iranu i Turcji) Syria stała się poligonem, jak prowadzić dziś wojnę tanio i bezpiecznie, jak kumulować doświadczenia wojskowe i polityczne, jak samoograniczać się w dążeniu do zwycięstwa w polu, a tym bardziej do zwycięskiego pokoju, skoro wojna i chaos potraktowane zostały jako naturalny i trwały stan rzeczy.

Wojna w Syrii pokazała, jak można osłabiać i omijać reguły światowego porządku. Pokazała też, że jest to bezpieczniejsze i korzystniejsze niż otwarte ich łamanie. Wojna w Syrii (podobnie, ale mocniej niż kilka równoległych jej konfliktów) jest tryumfem Chaosu nad Porządkiem.

Istnieje obawa, że nie ostatnim.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

O Syrii piszemy też w dziale Historia.

Amira i jej syn Lorans w obozie uchodźców w Arsalu, 2020 r.

Matki, żony, wdowy

TEKST I ZDJĘCIA: BARTOSZ RUMIEŃCZYK Z LIBANU

Mieszkają w części miasta, która zwana jest „obozem wdów": osiedlały się tu kobiety, które podczas wojny syryjskiej straciły mężów. Dziś część z nich ponownie wyszła za mąż, ale nazwa została.

Arsal to niewielkie miasto w północno-wschodnim Libanie. Od reszty kraju oddzielają je liczne punkty kontrolne, ustawione przez libańską armię oraz Hezbollah – radykalny ruch szyicki, który posiada własne siły zbrojne. W 2014 r. żołnierze z armii rządowej oraz z Hezbollahu – na co dzień bynajmniej nie sojusznicy – wspólnie odparli ofensywę Państwa Islamskiego, którego sunniccy bojownicy zaatakowali z terenu Syrii.

Pamięć o ataku dżihadystów zapisana jest na murach miasta: gdzieniegdzie wciąż widać malowane farbą symbole Państwa Islamskiego. Żyje też we wspomnieniach mieszkańców: Libańczyków i syryjskich uchodźców. Jednych i drugich jest dziś w Arsalu niemal 30 tys., a przed wojną miasto liczyło 10 tys. mieszkańców. Syryjczycy mieszkają w blaszanych kontenerach lub brezentowych i plastikowych namiotach; w innych częściach kraju wynajmują też pustostany, piwnice, garaże lub ciasne mieszkania. W niespełna siedmiomilionowym Libanie jest ich półtora miliona.

Kontenery i namioty pokrywają dolinę niczym białymi plamami, przeplatają się z domami Libańczyków z piaskowej cegły. Te dwa kolory podkreślają pustynny charakter okolicy.

Sklepy

Iman Harba przyjechała do Libanu w 2013 r. Wdowa z piątką dzieci, uciekła do Arsalu przed wojną w Syrii, trwającą wtedy od dwóch lat. Na początku zamieszkała w murowanym domu, ale przez minione lata wiele się zmieniło. ↦

↦ W ciągu siedmiu lat można wychować dziecko, posłać je do szkoły. Można zrobić maturę, iść na studia, znaleźć pracę. Można zdobyć wszystko albo wszystko stracić. Iman w ciągu siedmiu lat straciła swój murowany dom i wydała córkę za mąż.

Wracamy w rozmowie do roku 2013. – Wtedy w obozie nie było sklepów, po zakupy trzeba było chodzić do miasta, dzieci zostawały same. Teraz jest łatwiej – wspomina Iman.

Obozy dla uchodźców z czasem zamieniają się w miasteczka lub nawet miasta, obrastają tkanką infrastruktury. Powstają sklepy, kawiarnie, zakłady fryzjerskie i krawieckie itd. Miejscowe biznesy prowadzą sami uchodźcy. W Libanie większość obozów to koczowiska w szczerym polu – te w Arsalu są wyjątkiem.

– Z początku w Libanie nie czułyśmy się bezpiecznie, choć w samym obozie dało się żyć spokojnie – mówi wdowa. – Wszystkie pochodzimy z tej samej okolicy, więc czułyśmy się jak jedna rodzina. Co ciekawe, poznałyśmy się dopiero w obozie. No i jakoś musiałyśmy sobie radzić bez mężczyzn.

„Znasz to uczucie, kiedy się cieszysz i smucisz jednocześnie? Dla mnie to był właśnie taki słodko-gorzki dzień" – mówi Iman, gdy wspomina wesele swojej córki.

Pragmatyzm

Iman nie wyszła ponownie za mąż, ale wiele kobiet tak. Jak Amira, która mieszka po sąsiedzku. Z drugim mężem ma dwójkę dzieci, a z pierwszego małżeństwa piątkę. Podczas rozmowy siedzi z nami jej młodszy syn Lorans. Gdy mówię, że trochę zazdroszczę jej dzieciom licznego rodzeństwa, bo jestem jedynakiem, Amira proponuje, abym zabrał chłopca do Polski. – Będziesz mówił, że to twój brat – śmieje się.

– Gdybym nie wyszła ponownie za mąż, nie miałabym jak utrzymać dzieci. Jak miałabym iść do pracy, z kim zostawiłabym moją piątkę? – pyta Amira. – Mąż lubi dzieci z poprzedniego małżeństwa, a ja czuję się z nim dobrze. Miłość? Daj spokój, ważne, żeby ktoś stał za moimi dziećmi i za mną.

Jadąc do „obozu wdów", miałem w pamięci południowosyryjski Jinwar: wieś tylko dla kobiet, zrodzoną z feministycznych idei obecnych w ruchu kurdyjskim. Jinwar miała być schronieniem przed wojną, systemem patriarchalnym, sprzeciwem wobec tradycyjnych ról społecznych. Za to tutaj, w „obozie wdów", rządzi pragmatyzm. – Nie wiem, czy powinno być tak, jak jest. Ale wiem, że na nic mi ta cała wolność i niezależność, jeśli nie będę bezpieczna – mówi Amira.

Dom

Amira mieszka w blaszanym kontenerze. Kiedyś, podobnie jak Iman, żyła w murowanym domu. Zburzyła go libańska armia, gdy w życie wszedł przepis, który zakazał uchodźcom wznosić jakiekolwiek trwałe konstrukcje. Mogą mieszkać w namiotach czy kontenerach, wynajmować od Libańczyków piwnice i garaże, ale budować im nie wolno.

Jak się mieszka w blaszaku?

Iman: – Spójrz na te cienkie ściany, z zewnątrz słychać każdy krok, a w nocy malują się na nich dziwne cienie. Dzieci wtedy proszą: mamo, wyjdź i sprawdź, co to.

Amira: – Gdy pada deszcz i krople dudnią o blachę, dzieci budzą się wystraszone.

Na przekór wszystkiemu kobiety starają się uczynić z kontenerów namiastkę domu. Amira: – Na początku mojego uchodźstwa koczowałam w meczecie, w Arsalu. Ale lepiej mi obozie, wśród swoich. Choć to tylko blaszak, mam tu własną łazienkę. A jak wygląda codzienne życie? Wstajesz, sprzątasz, robisz śniadanie... Czasem ktoś wpadnie, czasem my gdzieś pójdziemy. Potem obiad, kolacja. Rytm dnia.

U jej sąsiadki mieszka w klatce ptaszek, który, jak mówi Iman, ładnie śpiewa. U niej na ścianie wisi telewizor. – To dla dzieci. Jak nie ma ładnej pogody, oglądają kreskówki.

Szkoła

W obozie nie ma wielu atrakcji dla dzieci. Najlepszą rozrywką jest więc szkoła. Choć na razie szkoły nie ma, bo jest koronawirus. Iman tłumaczy: – Dla dzieci wyjście do szkoły to wyjście z obozu.

Amira doprecyzowuje: – Wyjście do szkoły to wyjście do normalności. Tu w obozie dzieci nie mają nawet placu zabaw.

Do trzeciej klasy szkoły podstawowej dzieci mają finansowany dowóz do szkół przez organizacje pomocowe. Za dowóz starszych dzieci trzeba płacić. Aby nie być uzależnionymi od edukacji libańskiej, uchodźcy postanowili sami założyć szkołę.

O tym, jak to się zaczęło, rozmawiamy w „obozie nauczycieli", gdzie grupa syryjskich nauczycielek i nauczycieli obiecała sobie, że żadne z syryjskich dzieci nie może stracić nawet roku nauki. Aleksan-

dra Rutkowska z Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej pisała na łamach portalu Onet o ich determinacji. Szkoła powstawała tu równocześnie z obozem: nauczyciele wydzierżawili ziemię, ruszyli z budową szkoły. Skąd wzięli pieniądze? – Zebraliśmy wśród rodziców. To oni cały czas finansują działanie placówki – opowiadają.

– Ludzie nas znali i nam zaufali. Rozumieli, jak ważna jest edukacja – tłumaczy mi jeden z założycieli szkoły, oprowadzając po klasach. Są skromne, ale pojemne: łącznie może się tu uczyć 300 uczniów. Ale na razie stoją puste, bo jest koronawirus. Nauki zdalnej nie ma, no bo jak?

Telewizor

Jest na wyposażeniu wielu blaszaków czy namiotów, gdzie stereotypowo nie powinno być nic: ani telewizorów, ani uśmiechu czy optymizmu. Tak widzimy uchodźstwo. Ale uchodźstwo to także upór, aby żyć normalnie.

Wysiłek ten widać również w nielegalnym obozowisku, położonym w innej części Libanu. Niedawno ucierpiało w wyniku pożaru. Na szczęście spłonęło tylko kilka namiotów – w takich obozach pożary potrafią pochłonąć wszystko (tak było w ostatnich dniach 2020 r. w obozowisku pod Trypolisem).

Pożar w obozie, który odwiedzam, wybuchł w styczniu 2020 r., ale ludzie mówią o nim tak, jakby był wczoraj. – Wieczorem siedziałam w namiocie u znajomych, gdy usłyszeliśmy, jak ludzie wołają: pali się! Pobiegliśmy pomóc, ale było wietrznie i ogień rozprzestrzeniał się szybko. Z mojego namiotu zdążyłam zabrać tylko dzieci i telefon. Przez dwa miesiące nie mieliśmy własnego dachu nad głową – opowiada mi Shams.

Straciła w pożarze wszystko, także telewizor: – Pewnie, że szkoda. Człowiek zawsze miał jakieś zajęcie. No i dzieci mogły oglądać bajki. Poza jednym synem, który w Syrii stracił wzrok.

Zimą, gdy w Libanie panuje koszmarny ziąb, głównym źródłem ciepła w namiotach są piecyki na olej opałowy, od których często wybuchają pożary. Tym razem jednak ogień zaczął się od elektrycznego spięcia. Z kolei obóz pod Trypolisem podobno ktoś podpalił.

Nowy namiot Shams dostała od organizacji pomocowej. Urządziła go po swojemu: ma już kwiatki i zioła. Skąd bierze optymizm? – Od Boga. Dzieciom powtarzam: wasza przyszłość będzie jasna, zobaczycie. Nam z ojcem jest ciężko, ale wam będzie lepiej. To samo mówię też ludziom w obozie.

Słuchają? – A to już bywa różnie... – Shams się uśmiecha.

Wesele

Iman uśmiecha się, gdy opowiada o weselu córki.

– A wesele zorganizowaliście gdzie, u was? – dopytuję, mając w pamięci Darashakran, obóz dla uchodźców w irackim Kurdystanie. Gdy wieczorem chodziliśmy po uliczkach, minęło nas kilka aut przystrojonych balonami i kokardami, jadących w stronę placu za meczetem. Grała muzyka, a dzieci biegały podekscytowane między tańczącymi gośćmi młodej pary.

– Nie, u męża. Było chyba 200 ludzi, u nas wesela trwają dwa dni – Iman wraz z tłumaczem, który, jak się właśnie dowiaduję, ożenił się kilka dni temu, objaśniają mi ślubne zwyczaje w Syrii i Libanie. – Pierwszego dnia malujemy henną na dłoniach miłosne wyznania. – Nasz tłumacz pokazuje wzory na własnych rękach. – Potem są wieczorne tańce. Następnego dnia jest uroczysty obiad, a resztę wesela małżonkowie spędzają już razem.

Do oczu Iman napływają łzy. – To moja najstarsza córka. Wyprowadziła się z domu i urodziła już wnuka – opowiada o tym, co dla każdej matki jest pewnie wielkim przeżyciem. Ale łzy ociera z innego powodu. – Nikt z naszej rodziny nie był na weselu. Jedni zostali w Syrii, a ci, którzy są w Libanie, mieszkają w innych obozach i nie mogli przyjechać.

– Tak, córka była szczęśliwa, więc i ja byłam szczęśliwa – dodaje. – Ale znasz to uczucie, kiedy się cieszysz i smucisz jednocześnie? Dla mnie to był właśnie taki słodko-gorzki dzień.

© BARTOSZ RUMIEŃCZYK

Korespondencja powstała dzięki wsparciu Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, które od lat działa w Libanie na rzecz ofiar wojny w Syrii. Więcej na stronie: pcpm.org.pl/liban

Syria: zrujnowana gospodarka

POGRĄŻONY OD 10 LAT w wojnie kraj zmaga się właśnie z kryzysem ekonomicznym, jakiego nie widziano nawet w czasach najbardziej zaciętych walk. Dziś to tracąca na wartości waluta i wynikające z tego konsekwencje są dużo większym zagrożeniem dla prezydenta Baszara al-Asada niż pozostałe jeszcze w kraju siły antyrządowe.

– W ciągu ostatnich tygodni ceny strasznie podskoczyły. Za nieduże zakupy trzeba płacić o dolar więcej czy dwa. Ludzie są biedni, nie stać ich na to – mówi mi mieszkaniec Damaszku (prosi, by nie ujawniać jego tożsamości).

Kryzys gospodarczy najbardziej widać po tym, jak spada wartość syryjskiego funta w stosunku do amerykańskiego dolara. W marcu 2011 r., w przededniu wojny, za jednego dolara trzeba było dać w Syrii ok. 50 funtów. W latach 2017-18 dolar kosztował już ok. 450 funtów. Pod koniec 2019 r. – 750 funtów. Rok później – 2800 funtów. Dziś na czarnym rynku jeden dolar kosztuje 4000 funtów, a jego wartość spada z dnia na dzień i nie wydaje się, by kryzys miał zostać szybko zażegnany.

W efekcie pensje tracą na wartości, a zdobycie nawet żywności staje się coraz trudniejsze. W ciągu roku jej ceny wzrosły ponad dwukrotnie. Według Światowego Programu Żywieniowego (ŚPŻ) aż 12,4 mln Syryjczyków – niemal 60 proc. przedwojennej populacji – jest narażonych na głód.

– Niektórzy zarabiają tutaj 30 tys. funtów miesięcznie, teraz to niecałe 8 dolarów. Danie z kurczakiem kosztuje ok. 7 tys. funtów – mówi mieszkaniec Damaszku.

Jak zaznaczono w komunikacie ŚPŻ, jedna rodzina na podstawowe produkty spożywcze (jak chleb, ryż, soczewica, oliwa i cukier) potrzebuje 120 tys. funtów syryjskich miesięcznie. To kwota znacznie wyższa niż średnie pensje. Kryzys jest wypadkową wielu czynników: wyniszczenia kraju wojną, klientelistycznego systemu politycznego, bezrobocia, licznych sankcji nałożonych przez państwa zagraniczne, a także wstrząsu wywołanego przez COVID-19.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Protesty i race na ulicach miasta Terrassa, 26 lutego 2021 r.

Katalonia w ogniu

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z TERRASSY I BARCELONY

Uwięzienie buntowniczego rapera okazało się iskrą: na ulicach hiszpańskich miast protestują młodzi ludzie. Chodzi o granice wolności słowa. Ale nie tylko.

Carlos wychodzi przed klatkę schodową swojego bloku. 74-letni mężczyzna, ubrany w koszulę w kratę i wełniany sweter zapinany na guziki, jest niespokojny. Chodzi tam i z powrotem, oczekując na to, co za chwilę może się wydarzyć. Obok Carlosa kręci się grupa kilkunastu dziennikarzy i fotoreporterów. W kaskach i pomarańczowych kamizelkach z napisem „prasa", dla bezpieczeństwa.

– Całe życie tu mieszkam i zawsze to wszystko dzieje się akurat przed moim oknem! Tak teraz, jak i ponad trzy lata temu! – mówi mi Carlos, nawiązując do protestów, które odbyły się po referendum w sprawie niepodległości Katalonii (przez władze w Madrycie uznanym za nielegalne).

Tymczasem zaczyna się dziać. Zbliża się tłum, idący na przodzie niosą transparent z napisem w języku katalońskim: „Walka o przyszłość młodzieży. Przyszłość naszego miasta". Początkowo pokojowa, demonstracja błyskawicznie zamienia się w zamieszki, gdy tylko naprzeciw demonstrantów – akurat na wysokości bloku Carlosa – staje policyjna blokada. Tworzą ją funkcjonariusze ze specjalnego oddziału katalońskiej policji Mossos d'Esquadra. Na ich widok demonstranci, których średnia wieku wydaje się nie przekraczać 20 lat, jakby wpadli w furię. W ruch idą butelki, kamienie, jajka i petardy – to wszystko leci w kierunku policjantów. Większość nie dolatuje, spada pod ich nogi.

Terrassa, piątek, 26 lutego

Po wezwaniu do rozejścia się policjanci przechodzą do czynów. Carlos łapie mnie za rękę i ciągnie na klatkę schodową. Dalsze wydarzenia na ulicy obserwujemy zza szyby.

– Nie rozumiem, przecież oni nie robili nic złego! – denerwuje się Carlos, gdy funkcjonariusze Mossos d'Esquadra okładają pałkami protestujących. Carlos uważa, że to, co miało być przejawem niezależności Katalonii, teraz jest jej przekleństwem. Bo tylko Katalonia i Kraj Basków mają własne oddziały policji. Carlos uważa, że o ile Policía Nacional i Guardia Civil, ogólnohiszpańskie formacje policyjne, łagodzą napięcia społeczne, to Mossos d'Esquadra zawsze prowokuje. – Kiedy tworzyli tę formację, brali wszystkich bez sprawdzenia i obiecywali duże pieniądze – przekonuje.

Jesteśmy w Terrassie, 200-tysięcznym mieście oddalonym o jakieś 30 km od Barcelony. Dziś mija 10 dni, od kiedy do więzienia doprowadzony został Pablo Hasél, 33-letni raper.

Za nawoływanie do terroryzmu i obrażanie rodziny królewskiej w 2018 r. Hasél został skazany na dziewięć miesięcy więzienia i 30 tys. euro grzywny. Był to jego drugi wyrok. Pierwszy, skazujący go na dwa lata więzienia, został zawieszony, bo Hasél nie był wcześniej karany. Ten drugi musiał już odsiedzieć. A ponieważ się uchylał, został zatrzymany – po tym, jak wcześniej na 24 godziny zabarykadował się ze zwolennikami na Uniwersytecie w Lleidzie (to także Katalonia). Od tego momentu na katalońskich ulicach jest niespokojnie,

Przed witryną zniszczonego sklepu w Barcelonie, 27 lutego 2021 r.

a do protestów przyłączają się też młodzi ludzie z kolejnych miast w różnych miejscach Hiszpanii.

Protest w Terrassie trwał zaledwie kilkanaście minut. Początkowo grupy młodzieży gromadziły się na głównej ulicy miasta La Rambla. Ale gdy po kilku minutach pokojowy marsz napotkał policyjną blokadę, zaczęły się zamieszki. Uciekający demonstranci podpalali śmietniki wzdłuż La Rambli i chronili się na najbliższej stacji kolejowej. Mossos d'Esquadra aresztowała tego dnia siedem osób, w tym jedną nieletnią.

– Wiesz, co jest najgorsze? Że nikogo to nie interesuje. Ludzie chyba myślą, że protesty są u nas codziennością... – powie mi Carlos. Jego tezę wydaje się potwierdzać wydawany w Barcelonie dziennik „La Vanguardia". Protesty w Terrassie zostaną odnotowane zaledwie w kilku zdaniach na czternastej stronie sobotniego wydania.

Barcelona, sobota, 27 lutego

– *Buenas, qué tal*, jak się masz? – zagaduje Pedro w lokalu przy Plaça de la Universitat. Jest tu właścicielem. Ale zanim zapyta, co zamawiam, zaczyna mnie ostrzegać. – Lepiej nie wychodź dziś z domu po osiemnastej! – instruuje. – Na tym placu ma być wielki protest, największy od aresztowania Haséla. Zapowiada się coś poważnego. Zaparkowałem dziś auto w innym miejscu, ale boję się o moją kawiarnię...

– Frustrację czuć było od dawna – Pedro wydaje się jednak rozumieć młodych ludzi. – I nie chodzi tylko o wolność słowa. Oni chcą, żeby ktoś ich usłyszał. Snują się całymi dniami ze słuchawkami po mieście i nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Część chce zacząć studia, ale są przekonani, że i tak nie znajdą później pracy.

Informacje o planowanych protestach znajduję w internetowym komunikatorze Telegram – uchodzącym za bardziej odporny na ingerencję państwowych służb; najwyraźniej jest on popularny nie tylko na Białorusi. Tego dnia na ulice mają wyjść mieszkańcy kilku miast Katalonii, m.in. Girony, Tarragony, Sabadell i Lleidy. Największe demonstracje planowane są w Barcelonie.

Internetowa komunikacja funkcjonuje najwyraźniej dobrze: od godzin popołudniowych ludzie istotnie będą się zbierać w trzech punktach miasta, aby następnie przemaszerować na Plaça de la Universitat i tu zacząć wspólną demonstrację. – To niesamowite, ta różnorodność. Spójrz na flagi, symbole! Są tu przedstawiciele różnych, czasem zupełnie skrajnych grup światopoglądowych – będzie się zachwycać Carmen, gdy po osiemnastej spotkamy się w miejscu połączenia się trzech kolumn.

Nic do stracenia

„Godzina 20.16: jak dotąd obyło się przez większych incydentów" – informuje twitterowy komunikat Mossos d'Esquadra. Istotnie, przez pierwsze dwie godziny protest przebiega pokojowo. Demonstrujący niosą plakaty: „Uwolnić Haséla", „Chcemy wolności słowa", „Nie mamy nic do stracenia". Ich przemarsz nadzoruje helikopter, policja nie ingeruje. Jest obecna, ale trzyma się w znacznej odległości.

– Nie ze wszystkim, co mówi Hasel, się zgadzam i wcześniej nie słuchałam jego piosenek. Ale to niesprawiedliwe, że ktoś trafia do więzienia za to, co mówi – tłumaczy mi 23-letnia Saioa, która na protest przyjechała z Kraju Basków.

– Choć pochodzę z Chin, mieszkam w Barcelonie już wiele lat, tu kończyłam turystykę. To cudowne, że ci ludzie mogą demonstrować swoje uczucia. Ale są niestety momenty, gdy pojawia się wandalizm. Hasél? Znam go dopiero od niedawna, jak się zaczęły protesty. Niezależnie od tego, co śpiewa, muzyka nie powinna mieć granic – przekonuje 26-letnia Mei-chen.

– Aresztowanie Haséla, od tego wszystko się zaczęło! Ale spójrz na ludzi i na charakter tych protestów, jak intensywne się stają. Tu nie chodzi już tylko o jednego rapera – uważa 40-letni Antonio.

Patrzymy, jak młodzi ludzie malują sprayem na pobliskich budynkach. Działają grupowo: zakapturzona grupa wyłania się z tłumu, jedna osoba tworzy napis w języku katalońskim, a reszta pilnuje, by nikt nie robił malującemu zdjęć.

Przy Carrer de les Tàpies, w pobliżu komisariatu, część protestujących szuka konfrontacji z Mossos d'Esquadra. Ale mimo lecących butelek i petard policja nie reaguje. Kilka minut później rondo zostaje zablokowane przez kontenery na śmieci. Grupka nastolatków wdrapuje się na nie, z głośników dobiega *song* Haséla. Protestujący klaszczą, poruszają się w jego rytm. Po chwili na ulicy gasną niszczone lampy, płonie kolejny kontener.

Tego dnia spłonie ich jeszcze wiele. Będzie też wybijanie szyb w sklepach, przewracanie donic z kwiatami, niszczenie kolejnych miejskich lamp. Wielu ↦

↦ właścicieli małych biznesów będzie drżeć o swoją własność. Choć ich sklepy i kawiarnie wieczorami muszą być zamknięte, pozostaną w nich, licząc, że uchronią je przed zniszczeniami. Jednak grupy wandalów najbardziej upodobają sobie bankomaty i siedziby banków, zwłaszcza na barcelońskiej La Rambla. Tu petardy lecą na samochód La Guardia Urbana, Straży Miejskiej. Gdy zacznie płonąć, do akcji wkroczy Mossos d'Esquadra.

Dzień zakończy komunikat policji o aresztowaniu trzynastu osób.

Wyrok na rapera

„Ile milionów splądrowali i roztrwonili przez tyle lat... Ale ich lata są policzone... Zbliża się republika ludowa..." – to fragment utworu, który Pablo Hasél poświęcił emerytowanemu dziś już królowi. Nosi tytuł „Juan Carlos el Borbón" i pochodzi z 2016 r. Pozytywnym bohaterem jednego z jego tweetów był z kolei Joseba Arregi: słynny członek baskijskiej organizacji terrorystycznej ETA (Kraj Basków i Wolność), zamęczony na śmierć w 1981 r. przez policjantów. „Zabijasz policjanta? Szukają cię nawet pod kamieniami. Policja zabija? Nikt tego nie wyjaśnia" – śpiewa Hasél.

Hiszpański Sąd Najwyższy obliczył, że w ciągu dwóch lat Hasél opublikował łącznie ponad 1900 tweetów ze słowami „ETA", „terroryzm", „bomba", „policja", „Guardia Civil", „monarchia" czy „Burbonowie" (dynastia panująca). To na ich podstawie osądzono rapera.

Obok tekstów, które miały obrażać instytucje państwa i zawierać groźby wobec rodziny królewskiej, znalazły się takie, w których raper miał gloryfikować terroryzm (*enaltecimiento de terrorismo* podlega pod osobny paragraf) i osoby związane z ugrupowaniami terrorystycznymi. Sąd Najwyższy uznał w swoim wyroku, że tweety Haséla to podżeganie do działań terrorystycznych („generują wysokie i realne ryzyko, że followersi na portalach społecznościowych oskarżonego będą próbowali je powtórzyć").

– Trudno się dziwić hiszpańskiemu wymiarowi sprawiedliwości, który reaguje tak ostro na wychwalanie ETA. Oczywiście mamy tu głos świata artystycznego, jest to wolność ekspresji. Ale z drugiej strony musimy pamiętać, jak wyglądała historia Hiszpanii od końca lat 50., od momentu powstania tej organizacji. Za sprawą działalności terrorystycznej ETA zginęło prawie 900 osób. Dla Hiszpanii to wciąż ogromna trauma – mówi prof. Małgorzata Myśliwiec z Uniwersytetu Śląskiego.

Obawy przed powrotem terroryzmu widać też w innych orzeczeniach hiszpańskich sądów. Od 2011 r., kiedy to ETA ogłosiła, że zawiesza działalność, znacznie więcej osób zostało skazanych za nawiązywanie do niej niż w czasach jej aktywności.

Protesty na ulicach Barcelony, 27 lutego 2021 r.

Granice wolności

W 2015 r. w Hiszpanii przeprowadzono reformę kodeksu karnego. Od tego momentu za przekroczenie granic wolności słowa skazano 75 osób – to głównie piosenkarze, dziennikarze i aktywiści. Większość ukarano grzywnami.

Amnesty International uważa, że hiszpańskie przepisy dotyczące gloryfikacji terroryzmu są zbyt ogólnikowe i że granice wolności wypowiedzi powinny zostać doprecyzowane. – Nikt nie powinien być skazywany za to, co powie, opublikuje na Twitterze czy zaśpiewa. Nawet jeśli wydaje się to nieprzyjemne lub skandaliczne, można skazywać dopiero, gdy mamy do czynienia z bezpośrednim podżeganiem do przemocy – przekonuje Eduard Martinez Guaita z katalońskiego oddziału Amnesty International.

Kolejny paragraf, z którego skazano Haséla, dotyczy rodziny królewskiej. Instytucje Unii Europejskiej wielokrotnie wskazywały, że karanie przez hiszpańskie sądy osób, które krytykują króla, nawet ostro, narusza międzynarodowe standardy.

– Gdy podczas protestów w 2007 r. spalono zdjęcia króla Hiszpanii, osoby, które to zrobiły, zostały skazane. Spotkało się to z reakcją Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – przypomina Mar Aguilera-Vaqués, profesorka prawa konstytucyjnego z Uniwersytetu Barcelońskiego. – Trybunał stwierdził wówczas, że ich czyn mieścił się w granicach wolności słowa, bo obrażana była instytucja, a nie bezpośrednio osoba. To oczywiste, że król Hiszpanii powinien być szanowany. Ale obywatele mają prawo do krytyki i nawet do obrażania każdej instytucji.

Przemoc kontra przemoc?

Demonstracje, które zaczęły się w połowie lutego, coraz częściej zamieniają się w zamieszki. W samej tylko Barcelonie w ciągu dwóch tygodni zniszczono mienie o wartości przekraczającej milion euro. Zatrzymano tu ok. 200 osób. Kilkanaście trafiło do szpitala, w tym dziennikarz i kobieta, która straciła oko od policyjnej gumowej kuli. Środki używane przez funkcjonariuszy, zwłaszcza na początku protestów, spotkały się w kraju z krytyką. Na protestach słychać dziś wezwanie, aby rozwiązać Mossos d'Esquadra.

Była policjantka Sonia Vivas, dziś działaczka lewicowej partii Podemos, uważa, że w policji potrzebne są zmiany, bo wrogość do tej instytucji jest powszechna. – Powinniśmy odrobić lekcję z przeszłości. Spójrzmy na Niemcy, które oczyściły swoje służby z nazizmu. Musimy zrobić to samo z faszystami w naszych strukturach. Właśnie stąd bierze się brak zaufania do służb. A protestujący na przemoc odpowiadają przemocą – przekonuje Vivas.

Tymczasem policja reaguje nie tylko na ulicy. Związek Zawodowy Policjantów (CEP) złożył skargę na Pabla Echeniquego, parlamentarzystę z partii Podemos, za tweet, który ten opublikował, gdy w Madrycie trwał protest w obronie Haséla: polityk miał zachęcać do przemocy i udziału w zamieszkach. Z kolei izba adwokacka w Madrycie wszczęła na wniosek CEP postępowanie wobec adwokatki Haséla: w swoich wypowiedziach w mediach Alejandra Matamoros miała nazywać policjantów „oprawcami"; miała też powiedzieć, że nie zamierza potępiać przemocy, której dopuszczają się protestujący.

Ogień na ulicach

Hiszpański rząd centralny premiera-socjalisty Pedro Sáncheza zapowiedział zmiany legislacyjne dotyczące wolności słowa. Jednak protesty nie słabną.

Sánchez jest w trudnym położeniu. Wybory regionalne, które odbyły się 14 lutego w Katalonii, nie wyłoniły oczywistego zwycięzcy. Trwają negocjacje w sprawie utworzenia nowego rządu autonomicznego. Tyle samo mandatów (po 33 w 135-osobowym parlamencie lokalnym) zdobyły dwa ugrupowania: Partia Socjalistów Katalonii (powiązana z partią Sáncheza) i Republikańska Lewica Katalonii, która chce niepodległości regionu. – Premier Sánchez zdaje sobie sprawę, że jest zakładnikiem katalońskiej lewicy republikańskiej – uważa prof. Myśliwiec.

Tymczasem Pablo Hasél z więzienia zagrzewa sympatyków. Opublikował wiersz zatytułowany „Ogień na ulicach". Pisze w nim, że płonące barykady ogrzewają jego zimną celę.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ZIV KOREN / EAST NEWS

Z okazji nadchodzącego święta Purim przebierańcy przybyli także na oddział covidowy szpitala Sheba Medical Center, aby dodać otuchy pacjentom. Ramat Gan, Izrael, 16 lutego 2021 r.

Kulturalne odmrożenie

INGA ROGG Z JEROZOLIMY

Tak zwany zielony paszport służy jako karta wstępu do teatrów czy na koncerty. Jednak do normalności jest jeszcze w Izraelu daleko.

Izraelczycy nareszcie mogą pójść do muzeum albo odwiedzić galerię – przynajmniej teoretycznie. Przez cały długi rok w kraju panowała kulturalna posucha. Z powodu epidemii zamknięte były muzea, teatry, galerie sztuki, sale koncertowe i kina. W ostatnim tygodniu lutego mogły wreszcie otworzyć swoje podwoje, choć pod pewnymi warunkami.

Kto chce pójść na przedstawienie, koncert albo imprezę sportową, musi mieć tzw. zielony paszport. Ściśle rzecz biorąc, „paszport" to kod kreskowy, który zaszczepieni otrzymują z ministerstwa zdrowia poprzez aplikację w tydzień po otrzymaniu drugiej dawki szczepionki. Również ten, kto przechorował COVID-19, może wnioskować o stosowne zaświadczenie.

Do piątku 26 lutego pierwszą dawkę szczepionki otrzymało 4,65 mln mieszkańców Izraela, czyli dwie trzecie dorosłych powyżej 16. roku życia; prawie 3,3 mln z nich dostało już dwie dawki i jest w pełni odpornych.

Podróże? Pieśń przyszłości

Galeria Koresh 14 w centrum Jerozolimy przyciąga wystawą prac, których autorem jest Roee Rosen, artysta konceptualny. Wprawdzie w ostatnich latach twórczość Rosena można było oglądać w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu czy Berlinie, ale w Jerozolimie ostatni raz wystawiał w 1997 r. Prawicowi aktywiści domagali się wówczas wycofania jego instalacji „Live and Die as Eva Braun" („Żyć i umrzeć jako Eva Braun"), która w nowatorski sposób podejmowała temat Holokaustu.

Potencjalni zwiedzający muszą jednak uzbroić się w cierpliwość. Otwarcie ↦

↦ wystawy odbywa się jedynie online – czytamy na kartce wywieszonej na wejściu do bloku mieszkalnego, w którym galeria ma siedzibę. Niewiele lepiej jest w większości innych galerii i muzeów, przynajmniej na razie.

Zamkniętych jest wciąż wiele hoteli. Bo dla kogo miałyby się otwierać? Od prawie roku do Izraela nie mogą przyjeżdżać turyści. Aby rozkręcić na nowo turystykę, rząd premiera Beniamina Netanjahu podpisał umowy z Grecją i Cyprem o wzajemnym uznaniu certyfikatów poświadczających szczepienie. Jednak podróżowanie to pieśń przyszłości. Lotnisko imienia Ben Guriona jest od stycznia w znacznej części zamknięte. Aby wyjechać z kraju lub do niego wjechać, specjalnej zgody potrzebują nawet sami Izraelczycy.

W Izraelu epidemia zaczęła się niemal dokładnie rok temu – na krótko przed świętem Purim, podczas którego Żydzi wspominają uratowanie przed grożącą im eksterminacją w czasach staroperskiego imperium. Tradycją Purim, które w tym roku zaczęło się 25 lutego, jest przebieranie się w kolorowe stroje i imprezy obficie zakrapiane alkoholem.

Dziś jednak nastrój do świętowania był umiarkowany, na ulicach Jerozolimy rzadko spotykałam przebierańców. Na Jaffa Street – pełnej sklepów ulicy handlowej – drogę przebiegło nam dwóch żołnierzy z koszykami purimowymi, wypełnionymi łakociami, szampanem i flaszkami piwa. Sklepy z ubraniami i butami, już otwarte, zachęcały do zakupów dużymi rabatami, do 50-70 proc. na towary z sezonu zimowego, których z powodu trzeciego lockdownu pozostały pełne magazyny. Mimo to kupujących można było policzyć na palcach jednej ręki.

Purim w kręgu rodziny

Restauracje i kawiarnie nadal mogły oferować serwis tylko na wynos. W dzielnicy Emek Refaim można było odnieść wrażenie, że życie toczy się jak w starych dobrych czasach – prawie wszystkie stoliki i krzesła, wystawione pod gołym niebem, były zajęte. Jednak na Starym Mieście nie było tłumów, nawet na niezwykle popularnym wcześniej targowisku Mahane Yehuda Market.

Jeśli szczepienia będą postępować w obecnym tempie, być może w kwietniu lub maju coś się ruszy: taką prognozę usłyszałam od Nissama Pereza, który w swoim sklepie oferuje podobno najlepszy syrop sezamowy w mieście. – Mam nadzieję, że nie będziemy musieli znowu się zamykać – powiedział mi Perez, który przebrał się za hobbita, z długimi uszami i zieloną czapką, spod której wystawały bujne czarne kędziory. Przyznał jednak, że w tym roku Purim świętuje tylko w kręgu najbliższej rodziny.

> Dopóki Palestyńczycy nie są zaszczepieni, dopóty Izraelowi nie uda się **osiągnąć wymarzonej odporności zbiorowej.**

W knajpce kilka metrów dalej jej właścicielka była skwaszona. Od dwóch miesięcy w Jerozolimie nie wolno serwować alkoholu. Łamiącym zakaz grożą wysokie kary. Właścicielka przyznała, że musiała już „wybulić" 5 tys. szekli grzywny [równowartość 5,7 tys. zł – red.]. Ponadto, aby nie dopuścić do hulaszczych imprez purimowych, do niedzieli 28 lutego obowiązywała nocna godzina policyjna.

Palestyńczycy wciąż czekają

Liczba nowych zakażeń, pod koniec lutego wynosząca ok. 4 tys. dziennie (w prawie dziewięciomilionowym kraju), wciąż pozostawała wysoka. Netanjahu musiał zrewidować niegdysiejszą zapowiedź, że już w marcu „korona" będzie przeszłością.

Premier musiał tłumaczyć się też z planów dostarczenia szczepionek innym państwom. Naśladując Rosję i Chiny, chciał przekazać 100 tys. dawek kilkunastu krajom w ramach, jak potem zaznaczył, „symbolicznego" gestu (miały to być kraje, które ostatnio znormalizowały stosunki z Izraelem bądź uznały jego roszczenie, iż stolicą państwa jest cała Jerozolima). Po tym, jak zaprotestował jego partner koalicyjny Benny Ganc, który zarzucił premierowi samowolne działanie (i napisał na Twitterze, że Netanjahu zachowuje się, jakby rządził monarchią), prokurator generalny czasowo zakazał wywozu szczepionek.

Pod koniec lutego służba ratownictwa medycznego Magen David Adom rozpoczęła szczepienia Palestyńczyków mieszkających w dzielnicach i wioskach, które według oficjalnej wykładni zaliczają się wprawdzie do Jerozolimy, ale leżą poza tzw. murem bezpieczeństwa. Zorganizowano je w checkpoincie w północnej części miasta. Jednak Palestyńczycy na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy wciąż muszą czekać na większe dostawy szczepionek. Do końca lutego na Zachodni Brzeg i do Gazy trafiło tylko 30-40 tys. dawek; większość podarowały Rosja i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Izrael na początku lutego przekazał władzom Autonomii Palestyńskiej 2 tys. dawek i obiecał kolejne 3 tys., aby można było szczepić medyków i pracowników domów opieki.

Ponieważ to władze Autonomii odpowiadają formalnie za ochronę zdrowia na części terenów okupowanych, Izrael stoi na stanowisku, że odpowiadają one także za zaszczepienie 5 mln Palestyńczyków.

Izraelscy obrońcy praw człowieka, część opozycji i lekarze krytykują taką postawę jako niehumanitarną. Ze zdrowotnego punktu widzenia jest ona w każdym razie krótkowzroczna: dopóki Palestyńczycy nie są zaszczepieni, dopóty Izraelowi nie uda się osiągnąć wymarzonej odporności zbiorowej. A wśród Palestyńczyków liczba zakażeń ostatnio szybko rośnie.

■■■

Tymczasem instytucje kulturalne zmagają się z problemem, jak wdrożyć nowe przepisy. Muzeum Izraela w Jerozolimie, gdzie znajdują się m.in. słynne rękopisy z Qumran, początkowo otworzyło się dla zwiedzających w określone dni. Zielony paszport nie jest tu wymagany, zainstalowana przy wejściu kamera termowizyjna mierzy temperaturę. – Ale tylko niewielu Izraelczyków o tym wie – mówi mi pracownica muzeum. I dodaje: – Musi jeszcze trochę potrwać, zanim zapanuje normalność.

© INGA ROGG

Przełożył WP

Autorka jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung", specjalizuje się w tematyce bliskowschodniej. Stale współpracuje z „TP".

Stan zapaści

PATRYCJA BUKALSKA

Trzecia fala epidemii doświadcza Czechy. Kilkanaście tysięcy nowych zakażeń dziennie to taka skala, jakby w Polsce było ich 60-70 tysięcy.

DAVID W. CERNY / REUTERS / FORUM

Dezynfekcja trotuaru na moście Karola w Pradze, 1 marca 2021 r.

Mapa Czech jest dziś czerwono-fioletowa: te kolory sygnalizują najwyższe ryzyko zakażenia. Najgorzej jest na północy, w krajach (odpowiednik województw) ołomunieckim, hradeckim, libereckim i usteckim. W rejonie Pardubic w pierwszych dniach marca lekarze w szpitalach musieli wybierać, komu najpierw udzielić pomocy. W całych Czechach liczba osób hospitalizowanych w ciężkim stanie jest najwyższa od początku epidemii.

Sytuację śledzą kraje sąsiednie, zastanawiając się, kiedy Czesi przekroczyli czerwoną linię dzielącą ich od katastrofy i czy można było tego uniknąć. Oferowana jest pomoc: czescy pacjenci mogą trafić do Niemiec, Szwajcarii i Polski.

Szansa po szansie

„Mamy tylko jedną szansę, którą musimy skutecznie wykorzystać, abyśmy znów jako naród opanowali epidemię" – mówił w październiku premier Andrej Babiš, informując o zaostrzeniu restrykcji. Czechy, dotknięte drugą falą epidemii, zdecydowały się wtedy na nowy lockdown. Teraz, pod koniec lutego, Babiš znów prosił obywateli, aby dali „jeszcze jedną szansę" i wytrzymali kolejne trzy tygodnie stanu wyjątkowego. Przyznał, że popełniono wiele błędów.

Tylko jakich? Bo przecież na początku epidemii Czechy radziły sobie dobrze: szybko się zamknęły i potem szybko otworzyły. Pożegnanie z restrykcjami było spektakularne: tłum ludzi zasiadł do wspólnej kolacji przy wielkim stole na moście Karola w Pradze. Potem było lato i rozluźnienie. Jesienią krzywa zaczęła piąć się w górę, ale tym razem władze zwlekały z decyzjami np. o ponownym obowiązku noszenia masek na ulicy. Otworzono za to szkoły. W końcu restrykcje zaostrzono, ale przed Bożym Narodzeniem poluzowano; otworzono sklepy. A potem pojawiła się na masową skalę tzw. brytyjska mutacja, bardziej zaraźliwa.

Aby ukazać skalę obecnego dramatu, można przypomnieć, że wiosną 2020 r. w najgorszych dniach notowano po 350 zakażeń dziennie. Jesienią zaczęły padać rekordy: powyżej 10 tys. dziennie. Dziś jest ich po kilkanaście tysięcy, np. we wtorek 2 marca prawie 16 tys. (to tak, jakby w Polsce było ich 60 tys.). 11-milionowe Czechy mają najwyższy w Europie wskaźnik infekcji liczonych na 100 tys. mieszkańców w ciągu 14 dni: 1395. Na Słowacji, też w kryzysie, to „tylko" 561. Do 3 marca w Czechach zmarło prawie 21 tys. osób – to tak, jakby w Polsce liczba zgonów była prawie dwukrotnie wyższa, niż jest obecnie.

W cieniu polityki

Dlaczego jesienią Czechy reagowały z opóźnieniem? Krytycy Babiša twierdzą, że chodziło o październikowe wybory samorządowe i wybory do Senatu: lockdown nie pomógłby rządzącym. Premier odrzuca te zarzuty. Opozycja zresztą nie jest bez winy, bo też nie chciała powrotu masek. Tymczasem jesienią 2021 r. Czechów znów czekają wybory, tym razem parlamentarne – ta perspektywa może wpływać na kolejne decyzje polityków.

Poza polityką krajową do głosu w Czechach dochodzi też ta globalna. Prezydent Miloš Zeman poprosił prezydenta Putina o dostawę rosyjskiej szczepionki i oświadczył, że ten mu ją obiecał. Na razie minister zdrowia Jan Blatný zapowiada, że dopóki jest ministrem, nie dopuści do użycia żadnej szczepionki niemającej akceptacji Europejskiej Agencji Leków. Sputnik V takiej nie ma, więc nasiliły się spekulacje o zmianie ministra. Podobno Blatný jest „wypalony" i powinien odpocząć. Byłaby to kolejna zmiana na tym stanowisku od początku epidemii.

Na Słowacji samolot ze Sputnikiem V już wylądował, witany przez premiera Igora Matoviča, który decyzję o sprowadzeniu rosyjskiej szczepionki podjął w tajemnicy i bez wiedzy koalicjantów. Teraz zmaga się dodatkowo z kryzysem w rządzie.

Wbrew zasadom

Do końca marca w Czechach obowiązuje stan wyjątkowy. Zamknięte są szkoły i wszystkie sklepy poza tymi z artykułami pierwszej potrzeby. Obowiązuje godzina policyjna (od 21 do 5 rano). Jeśli ktoś musi w tym czasie wyprowadzić psa, to tylko do 500 metrów od domu. Nie wolno wyjeżdżać poza granice powiatu. Przestrzegania zasad pilnuje policja.

Czy to wystarczy? Miesiąc temu opublikowano sondaż zlecony przez Światową Organizację Zdrowia, z którego wynikało, że tylko 46 proc. Czechów z objawami COVID-19 pozostaje w domu. Aż 33 proc. przyznało, że nie przestrzega zasad sanitarnych, a 44 proc. stwierdziło, że nie boi się zakażenia. Być może także to są powody, dla których epidemię tak trudno opanować. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE x2

Porządkowanie dzielnicy to sposób na aktywizację osób bezdomnych; drugi z lewej Scott Alani Apio. Honolulu, luty 2020 r.

W duchu Aloha

JUSTYNA MATKOWSKA
Z HONOLULU (HAWAJE, USA)

Według hawajskich wierzeń jest obecny w każdym człowieku, jako połączenie umysłu i serca. Dla pewnego artysty stał się też motywacją do walki o ratowanie dawnej tożsamości wysp.

Urodziłem się w czasach, gdy hawajskie imię nie było wystarczająco dobre – mówi Scott Alani Apio, artysta, aktor i działacz społeczny. Ma 56 lat, jest wysportowanym mężczyzną o hawajskiej urodzie i posturze surfera. Nosi podwójne imię. – Pierwsze jest amerykańskie, a dopiero drugie hawajskie. Przez całe dekady nasze korzenie były postrzegane jako brzemię. Nawet w szkołach zakazywano nam mówić we własnym języku – wyjaśnia.

Zmieniło się to dopiero wiele lat później. Dziś młodzież nosi najczęściej jedynie hawajskie imiona. Ale Alani wciąż powtarza: – To, co zdarzyło się w przeszłości, niesie smutek, który wielu z nas odczuwa głęboko. Byliśmy asymilowani, a konsekwencje tego trwają do dziś.

Ostatni monarchowie

Swoją opowieść Alani zaczyna od ojca: – Wychowałem się w Pu'uloa na wyspie O'ahu, w rodzinie o tradycjach rybackich i surferskich. Z ojcem uczyliśmy się tworzyć tradycyjne hawajskie wyroby z drewna. Specjalizowałem się w robieniu *'umeke*, drewnianych mis, w których kiedyś przechowywano i podawano jedzenie.

Rodzina artysty posiada trzy zabytkowe *'umeke*. Jego przodkowie wyrzeźbili je w XVIII w. za pomocą kamiennego ciosła. – Tworzyli w ten sposób, zanim jeszcze w 1778 r. na Hawaje dotarł James Cook – mówi Alani.

Cook był angielskim żeglarzem i odkrywcą, zorganizował trzy wyprawy dookoła świata. Podczas pierwszej, w latach 1768-71, dotarł do Melanezji, Nowej Zelandii i Australii oraz przepłynął cieśninę Torresa. W trakcie drugiej wyprawy (1772-75) dopłynął do Fidżi, Nowej Kaledonii i Polinezji. Celem trzeciej wyprawy było odnalezienie przejścia morskiego z Pacyfiku na Atlantyk. Cook i jego załoga dotarli wtedy to wybrzeży Alaski, na Morze Czukockie – oraz właśnie na Hawaje. Podróżnik zginął w 1779 r. podczas próby porwania Kalani'ōpu'u-a-Kaiamamao – lokalnego monarchy wyspy Hawai'i.

Wtedy historia tego archipelagu, położonego na środku Pacyfiku, przyspieszyła. W 1795 r. powstało Królestwo Hawajów. Jego założycielem i pierwszym władcą był Kamehameha I. Panowanie jego rodu trwało prawie 80 lat, do śmierci króla Kamehameha V, który nie pozostawił potomka. W 1873 r., w wyniku elekcji, szóstym monarchą Hawajów został Lunalilo. Zmarł jednak już rok później, również bezdzietnie. W kolejnych wyborach wybrano na króla Kalākaua. Po siedmiu latach na tronie zastąpiła go jego siostra Lili'uokalani – ostatnia monarchini Hawajów, która panowała aż do obalenia Królestwa w 1893 r.

Rzeźbiarz i dramaturg

Nawet o historii swojego rękodzielnictwa Alani opowiada tak, jakby przez całe życie toczył zmagania ze skutkami tamtych wydarzeń – i stopniowego zwiększania się na Hawajach obcych wpływów, przede wszystkim amerykańskich. – W latach 90. XX w. pracowałem jako profesjonalny, pełnoetatowy tokarz – opowiada. – Ja i mój ojciec musieliśmy od nowa uczyć się sztuki przodków. Z pokolenia na pokolenie, z powodu zachodnich wpływów, niemal całkiem utraciliśmy tę tradycyjną formę artystyczną.

Dziś jego dzieła trafiają do kolekcji na całym świecie, są m.in. w zbiorach rodziny książęcej Monako czy w Muzeum Nowej Zelandii Te Papa Tongarewa. – Zestawy moich *'umeke* zostały zamówione przez rządy Filipin i Chin. Zlecono mi też stworzenie rękodzieła dla prezydenta Obamy – mówi z dumą.

Uczył się w elitarnych Kamehameha Schools, do których mogą zapisywać się wyłącznie rdzenni mieszkańcy wysp. Studia aktorskie i teatralne skończył na Uniwersytecie Hawajskim. Pierwszą sztukę sceniczną – przeznaczoną dla dzieci „Nā Keiki o ka 'Āina" („Dzieci naszej ziemi") – napisał w wieku 25 lat. Opowiadał w niej o wywłaszczeniu ziemi, turystyce, ekonomicznej eksplo-

atacji Hawajów, a także wpływie kapitalizmu i kolonializmu na tradycyjne wartości hawajskie. Mówi, że już wtedy wiedział, iż jego zadaniem będzie wskrzeszanie lokalnych tradycji.

Sztuka jak terapia

Zanim jednak to się stało, upłynęło dużo czasu. Napisanie najważniejszego dzieła zajęło mu kolejnych 25 lat. Tak powstała trylogia: „Kāmau" („Idź dalej pomimo ciężaru, który niesiesz"), „Kāmau A'e" („Kontynuacja") i „Ua Pau" („To jest skończone i zniszczone"). Premiera ostatniej części odbyła się w 2019 r. w honolulskim Kumu Kahua Theatre.

Podobnie jak poprzednie, okazała się sukcesem. Bilety na spektakle Alaniego sprzedają się w zawrotnym tempie. Sale są wypełnione, a przed teatrem stoją kolejki osób liczących na wejście (na Hawajach nie jest przestrzegany standardowy *dress code*; dominuje luźny i nieformalny hawajski strój).

Alani prezentuje własną perspektywę historii Hawajów i smutnych, traumatycznych losów rdzennych mieszkańców. Podczas naszego spotkania przyznaje, że stworzenie trylogii było dla niego sposobem zrozumienia i podzielenia się własnym życiem oraz przedstawienia losów jego bliskich. Czyli – rozliczenia się z przeszłością.

Z drugiej strony jego twórczość skłania do dyskusji o samych Hawajczykach. Przyznaje, że posłużył się sztuką w celu uśmierzenia swojego bólu, smutku i frustracji. Jego twórczość przełamuje utrwalony w świadomości społeczeństwa amerykańskiego – ale też na świecie – wyidealizowany wizerunek Hawajów. Ukazuje tragiczne losy ich mieszkańców, ich zmagania o utrzymanie tożsamości.

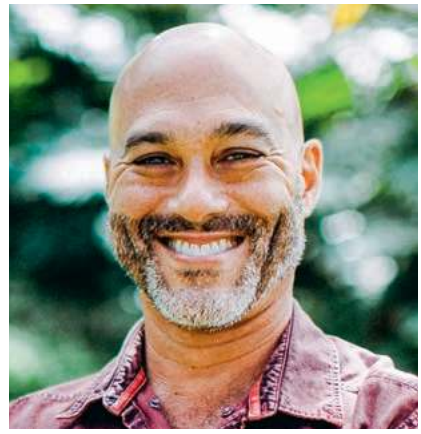

Scott Alani Apio

„Trzeba być dobrym"

Alani często powraca do obalenia hawajskiego królestwa w 1893 r. Wtedy właśnie nastąpił zamach stanu przeciw królowej Lili'uokalani. Pięć lat później, mimo protestów Hawajczyków, Stany Zjednoczone zaanektowały wyspy. W 1959 r. Hawaje oficjalnie zostały 50. stanem USA. – Nie zaproponowano nam alternatywy – mówi Alani. – Nie mieliśmy znaczącego wpływu na to, co dzieje się na naszej ziemi. Wszystkie te wydarzenia wpłynęły negatywnie na nas, rdzennych mieszkańców.

W trakcie naszej rozmowy Alani wspomina, że Hawajczycy jako mniejszość osiągnęli największy procent samobójstw w USA.

Na Hawajach żyje obecnie prawie półtora miliona ludzi. Szacuje się, że Hawajczycy stanowią najwyżej jedną czwartą mieszkańców. Około połowa z nich żyje poza archipelagiem. Jednym z częstych powodów emigracji są wysokie – w porównaniu do innych stanów USA – koszty życia. Ceny nieruchomości są horrendalne. Rozwój turystyki i koszty transportu towarów sprawiają, że żywność jest droga. Wyspy są przeludnione. Na miejsce Hawajczyków przybywają imigranci z Azji.

Problemem Hawajów jest też bezdomność. Na osoby w kryzysie bezdomności można natknąć się tu prawie wszędzie. Przechodząc przez centrum Honolulu, np. dzielnicę Chinatown, spotykamy setki osób leżących na chodnikach. Inni ciągną wózki z supermarketu ze skromnym dobytkiem. – Około 40 proc. bezdomnych na Hawajach to rdzenni mieszkańcy wysp – mówi Alani. – Postanowiliśmy się tym zająć. Razem z grupą znajomych założyliśmy organizację Hui Aloha zajmującą się wsparciem potrzebujących i skupiającą się na niesieniu Aloha. Duch Aloha jest według hawajskich wierzeń obecny w każdym człowieku. Stanowi połączenie umysłu i serca. Pozwala odnaleźć siebie.

– Trzeba myśleć dobrze o pozostałych i być dobrym wobec innych – tłumaczy artysta. I chwali się ostatnim sukcesem organizacji: zbiórką pieniędzy na zakup ziemi i budowę mieszkań dla ponad 250 bezdomnych. W Pu'uhonua o Wai'anae, największym ich skupisku na Hawajach, przebywa wciąż kilkadziesiąt dzieci.

Alani Apio mediuje też w sprawach dotyczących lokalizacji nowych inwestycji w miejscach starożytnych pochówków Hawajczyków. Jest na wyspach jednym z najbardziej aktywnych działaczy społecznych.

NA KONIEC NASZEJ ROZMOWY pytam Alaniego o przyszłość Hawajów.

– Będziemy wciąż starać się podtrzymywać hawajską tożsamość, w tym język i tradycje, oraz stawiać czoło nowym problemom. Tak, aby zachować naszą wyjątkową kulturę, wypełnioną duchem Aloha. ©

TP JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK SPECJALNY NA

70. urodziny s. Małgorzaty Chmielewskiej

a w nim:

- Katarzyna Kubisiowska rozmawia z s. Chmielewską o rodzicach, macierzyństwie i paleniu.
- O jej zaangażowaniu społecznym piszą kard. Konrad Krajewski i ks. Adam Boniecki.
- Mariusz Sepioło odwiedza Domy Wspólnoty Chleb Życia i podopiecznych Funduszu Stypendialnego.

PARTNERZY WYDANIA SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO POZnań

GRAŻYNA MAKARA

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Suwerenni

Paweł Bravo, Joanna Mazur-Polańska, Anna Dziurdzikowska, Bartek Dobroch, Jacek Ślusarczyk, Edward Augustyn, Iwona Kuciel, Katarzyna Kubisiowska

Monika Ochędowska, Łukasz Lamża, Marcin Żyła, Agnieszka Iskra, Marta Filipiuk-Michniewicz, Artur Strzelecki, ks. Adam Boniecki, Grzegorz Jankowicz, Edyta Płachta

Tomasz Fiałkowski, Agnieszka Grzywa, Grażyna Makara, Patryk Stanik, Zuzanna Radzik, Karolina Przewrocka-Aderet, ks. Jacek Prusak, Michał Kuźmiński, Maciej Müller

1%

W 2020 r. przekazali nam Państwo rekordowe **309 938,71 zł** w ramach odpisu jednego procenta podatku.

Dziękujemy!

To bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność

jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania"), kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Wdzięczność

wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za potwierdzenie, że „Tygodnik" jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

Wyzwanie

Początek roku 2021 postawił przed nami kolejne, nieoczekiwane wyzwania. Redakcja „Tygodnika" po 76 latach musi opuścić swój dotychczasowy adres – Wiślną 12. Od pierwszych dni stycznia trwają poszukiwania nowej siedziby, w którym to procesie bardzo Państwo pomagają.

OGŁOSZENIE OPP // FOT. GRAŻYNA MAKARA / POSTPRODUKCJA EDWARD AUGUSTYN

dzięki Wam!

Ewelina Burda, Michał Okoński, Sylwia Frołow, Przemysław Wilczyński, Grzegorz Bogdał, Piotr Sikora, Anna Goc, Wojciech Pięciak, Wojciech Jagielski, Aleksander Kardyś

Kalina Błażejowska, Andrzej Leśniak, Anna Karolewska, Mateusz Gawron, Gabriela Rosińska, Marek Rabij, Anita Piotrowska

Artur Sporniak, Rafał Woś, Anna Pietrzykowska, Marta Bogucka, Piotr Mucharski, Maciej Szklarczyk, Maja Kuczmińska, Łukasz Kwiatek, Marek Zalejski

Ale przeprowadzka to nie jedyne wyzwanie, jakie stawia przed nami nowy rok. Przede wszystkim będziemy zajmować się tym, co jest podstawową misją Fundacji.

Plany

W nadchodzącym roku jeszcze bardziej chcemy skupić się na ochronie i zabezpieczeniu dziedzictwa „Tygodnika Powszechnego" – poprzez cyfryzację archiwów oraz powstanie nowej strony internetowej. Dzięki nim będą mogli Państwo czerpać ze stale powiększającego się zbioru tekstów, które przez lata ukazały się na łamach „Tygodnika Powszechnego".

Czekają nas festiwale – Conrad i Copernicus. Rozwijamy nasz autorski ogólnopolski projekt wspierania czytelnictwa, czyli „Lekcje czytania".

Podjęliśmy także kolejną produkcję filmową – „Ukos światła" w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Misję

realizujemy także przez tematyczne dodatki do naszego pisma, współwydawanie wydań specjalnych „TP", współprodukcję Podkastu Powszechnego, a także różnych innych multimedialnych form publicystyki.

Najważniejszy

jednak dla nas jest „Tygodnik", pismo, które dzięki Państwu co roku zwiększa swój zasięg. To Wy – nasi Czytelnicy – dajecie nam niesłabnące wsparcie oraz pokazujecie, że warto. „Tygodnik" jest suwerenny dzięki Wam.

Zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego oraz „Tygodnika Powszechnego"

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego".

Wpisz w zeznaniu podatkowym

nr KRS 0000125605

Więcej informacji:
powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

Santander Bank Polska S.A.
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

1%

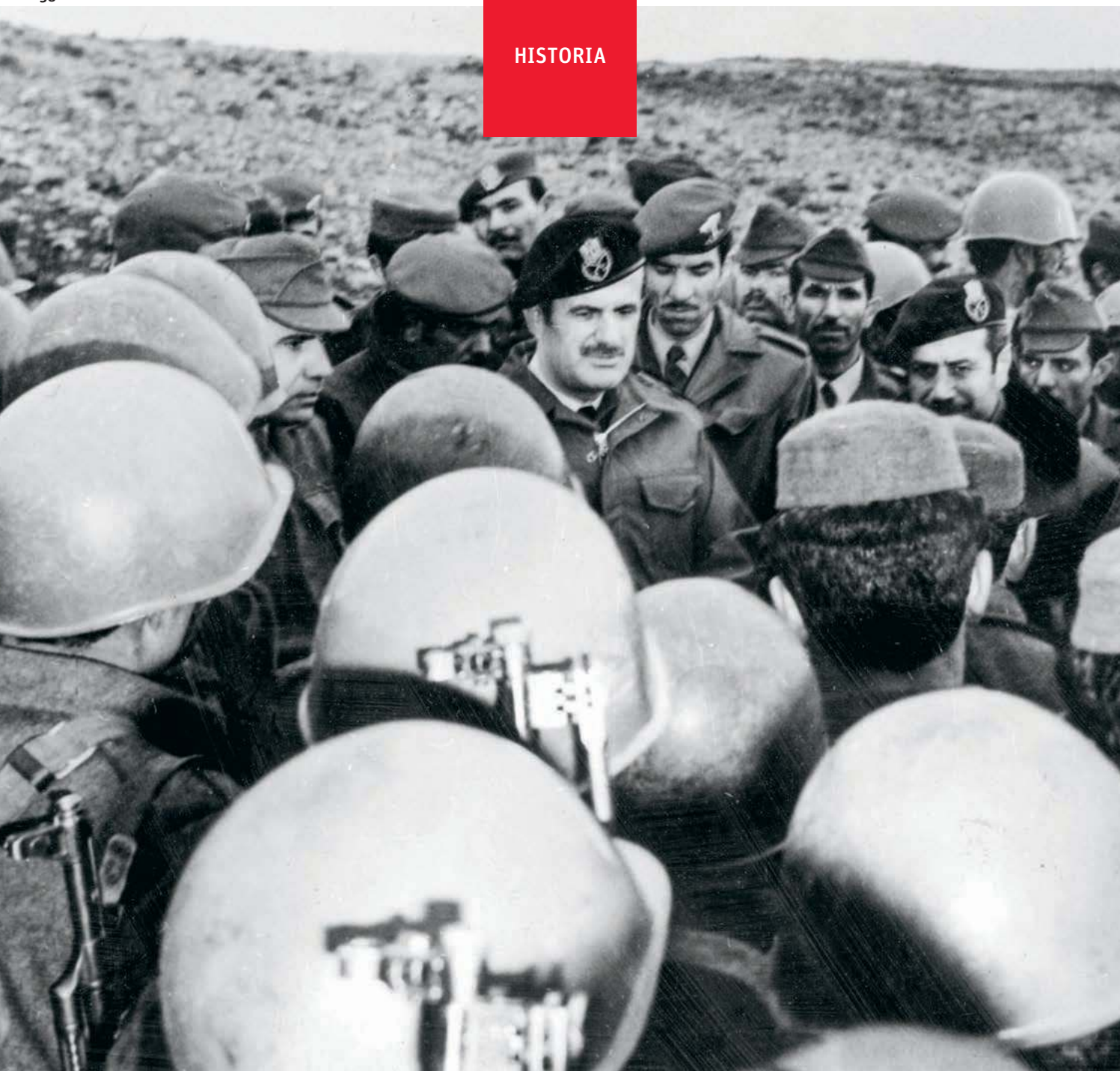

Generał Hafiz al-Asad na froncie podczas wojny z Izraelem w 1967 r.

KRWAWE LWY DAMASZKU

Rodzina Asadów rządzi Syrią od półwiecza. Mimo popełnionych zbrodni, trwającej od dekady wojny i strasznej sytuacji humanitarnej, dyktator czuje się pewnie.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Trwał trzeci rok wojny w Syrii, gdy tłumy gości zjawiły się w pałacu prezydenckim w Damaszku, syryjskiej stolicy. Wybrany w fikcyjnych wyborach Baszar al-Asad chciał, by jego zaprzysiężenie na kolejnych siedem lat odbyło się z pompą. Zależało mu, by ceremonia wyglądała tak jak zaprzysiężenie Władimira Putina dwa lata wcześniej.

Baszar al-Asad zachwycał się prezydentem Rosji, zanim jeszcze ten stał się jego kluczowym sojusznikiem i wybawcą. Szedł więc teraz po długim czerwonym dywanie – jak wcześniej Putin – wzdłuż którego stali na baczność żołnierze. Triumfalnie wkroczył do pałacu, minął oklaskujących go gości, a następnie udał się na scenę, gdzie złożył przysięgę.

Chciał być postrzegany jako silny przywódca i tego dnia mógł pokazać się w takiej roli. Z nieśmiałego młodzieńca wyrósł na dyktatora, trzymającego kraj żelazną ręką – jak wcześniej jego ojciec Hafiz, zmarły w 2000 r. Nie zmiotło Baszara powstanie, które wybuchło w połowie marca 2011 r. i przerodziło się w wojnę z udziałem innych krajów. Ogromną większość z przynajmniej pół miliona jej ofiar zabili żołnierze Baszara oraz jego sojusznicy, zwłaszcza Rosjanie i Irańczycy.

W tym roku mija nie tylko 10 lat od wybuchu tej wojny, ale także 50 lat, od kiedy klan Asadów rządzi Syrią.

Młody kraj w burzliwych czasach

Był rok 1930, gdy w wielodzietnej i ubogiej alawickiej rodzinie w pobliżu Latakii przyszedł na świat Hafiz al-Asad. Alawici to jedna z mniejszości religijnych w Syrii; przed wojną stanowili mniej więcej jedną dziesiątą populacji. Alawizm wywodzi się z szyickiego islamu, ale czerpie z różnych religii Bliskiego Wschodu. W przeszłości jego wyznawcy często byli poddawani represjom, bo nieufnie patrzą na nich ortodoksyjni przedstawiciele głównych nurtów islamu – sunnickiego i szyickiego.

Hafiz chodził do szkoły średniej, gdy w 1946 r. Syria uzyskała niepodległość. Zwijające się w pośpiechu imperia pozostawiały młode państwa w Afryce i Azji w nieładzie, po czym nowe klasy polityczne z reguły pogrążyły je w chaosie. Syria nie była wyjątkiem: szybko następowały po sobie kryzysy polityczno-gospodarcze.

W tym czasie władza koncentrowała się w rękach posiadaczy ziemskich i miejskich elit. W Syrii składały się one głównie z sunnickiej większości lub z chrześcijan. Do tego wszystkiego niedługo po ogłoszeniu niepodległości Syria przegrała wojnę z powstałym po sąsiedzku Izraelem.

Burzliwa sytuacja, w której znalazł się jego kraj, wywarła ogromny wpływ na młodego Asada.

Wojsko szansą na awans

Polityka zainteresowała go już w szkole średniej. Trafił do nowo powstałej partii Al-Baas (ostatecznie przyjęła nazwę Hizb al-Baas al-Arabi al-Isztiraki, Socjalistyczna Partia Odrodzenia Arabskiego – choć pełna nazwa nie jest powszechnie stosowana). Była to egzotyczna na pozór mieszanka ideologii nacjonalistycznej i socjalistycznej, zakładająca zjednoczenie wszystkich Arabów bez względu na religię i pochodzenie.

Idee równości i bardziej sprawiedliwej dystrybucji dóbr trafiały zwłaszcza do ludzi, którzy nie należeli do wpływowych środowisk – czyli takich jak Hafiz. Nastolatek angażował się w życie partii i z czasem stał się jej wschodzącą gwiazdą. Zdolny i pilny, chciał studiować na uniwersytecie, ale nie mógł sobie na to pozwolić. W jego zasięgu pozostawała jedynie akademia wojskowa. Taką ścieżkę wybierało wielu alawitów, którzy w armii upatrywali jedną z niewielu szans na awans społeczny.

Początki kariery partyjnej i wojskowej Asada zbiegły się z nieudaną próbą zaprowadzenia demokracji parlamentarnej. W 1949 r. doszło do pierwszego przewrotu wojskowego. W tym samym roku wojsko obalało władzę jeszcze dwukrotnie. Od tego czasu pucze stały się nieodłączną częścią życia politycznego Syrii. Przynajmniej do czasu.

Zwycięstwo mimo porażki

W międzyczasie Hafiz al-Asad stawał się coraz ważniejszą figurą w partii. Dlatego gdy związani z Baas wojskowi doszli wreszcie do władzy, on na tym skorzystał: piął się na kolejne szczeble w państwie. Po jednym z przewrotów został ministrem obrony; był rok 1966. Krajem rządził wtedy faktycznie – nie obejmując formalnie żadnego stanowiska – inny wojskowy, Salah Dżadid. Obaj byli alawitami i współpracowali przy organizacji przewrotu, ale zarazem rywalizowali o wpływy i władzę.

Każdy przewrót wiązał się z tym, że kolejni wojskowi byli usuwani ze służby, a państwo przeżywało wstrząs za wstrząsem, co osłabiało potencjał armii. Miało to wpływ na przegranie kolejnej wojny z Izraelem – wojny sześciodniowej, w 1967 r. – w rezultacie której Syria utraciła wzgórza Golan.

Mimo tej porażki odpowiadający za resort obrony Hafiz al-Asad nie tylko utrzymał stanowisko, ale trzy lata później aresztował Dżadida i przejął niepodzielnie władzę. To był ostatni udany przewrót w historii niepodległej Syrii.

Syndrom Hamy

Swoje rządy sformalizował: został prezydentem. Po raz pierwszy od ćwierćwiecza Syria wkroczyła w czas stabilności i rozwoju gospodarczego. Jednak Syryjczycy zapłacili za to wolnością.

Prezydent usunął ze swojego otoczenia wszystkich, którym nie ufał. Większość kluczowych stanowisk otrzymywali odtąd alawici – w polityce, wojsku, tajnych służbach. Pod jego rządami Syria zamieniała się w państwo policyjne. Nie było wyborów, bo startował jeden kandydat. Tajna policja Muchabarat miała wszystkich na oku. Podejrzanym o sprzeciw wobec reżimu groziły więzienie, tortury i śmierć. Wszelki sprzeciw był krwawo tłumiony.

Tak stało się również na początku lat 80., gdy na skutek kryzysu gospodarczego doszło do protestów. Najpierw represje dotknęły pracowników, związkowców i działaczy lewicy. Wreszcie jedyną zorganizowaną grupą pozostali islamiści. W kraju narastała przemoc, na celowniku znaleźli się przedstawiciele władz i alawici, za co reżim dokonywał odwetów.

W 1982 r. siły rządowe spacyfikowały Hamę, jedno z największych syryjskich miast. Był to przyczółek rebelii fundamentalistów. Według niepewnych szacunków zginęło 10 tys. ludzi; mieszkańcy Hamy zaznali egzekucji, tortur, gwałtów. Znaczną część miasta zrównano z ziemią. Po Hamie nie było już miejsca na bunt. Przynajmniej dopóki rządził Hafiz.

Asad po arabsku znaczy „lew". O Hafizie mówiono „lew Damaszku" ze względu na jego długoletnie rządy. Jawił się jako przywódca świata arabskiego, choć nie udało mu się go zjednoczyć ani nawet odzyskać wzgórz Golan, do dziś okupowanych przez Izrael. ↦

TALLANDIER / RUE DES ARCHIVES / FORUM

Stalin w wersji mini

↦ Brutalne rozprawianie się z własną ludnością przez Hafiza al-Asada nie wzbudzało zainteresowania na świecie, który skupiał się na zagrożeniu terrorystycznym pochodzącym z innych miejsc regionu (w Europie częste były wtedy zamachy organizowane przez Palestyńczyków).

Choć Asad uzależnił Syrię od wsparcia Kremla, pozostawał w dość ciepłych relacjach także z Zachodem. Po upadku Związku Sowieckiego chętnie współpracował ze zwycięzcami zimnej wojny. Był dla nich – jak wielu despotów – gwarantem stabilności, szczególnie odkąd zrezygnował z planów zaatakowania Izraela.

W Syrii panował względny spokój, szczególnie gdy porównało się ją z innymi państwami Bliskiego Wschodu. Choć sytuacja w kraju nie zmieniała się na lepsze, to otwierał się on na świat zewnętrzny, stawał się też coraz popularniejszym kierunkiem turystycznym. „Syryjski prezydent Asad wciąż jawi się jako mini-Stalin, ale poza tym niepochlebnym wizerunkiem w zachodnich media jest to kraj o ogromnym bogactwie historycznym i bardzo gościnnych ludziach" – pisali autorzy przewodnika Lonely Planet z 1999 r.

Dziedzic

Starzejąc się, Hafiz podupadł na zdrowiu. Zdawał sobie sprawę, że musi przygotować następcę. Od połowy lat 80. pozbywał się tych, którzy mogliby utrudnić operację przekazania władzy. Miał ją przejąć jego najstarszy syn Basal, który był typem przywódcy.

Jednak w 1994 r. Basal zginął w wypadku samochodowym. Na dziedzica został więc wyznaczony drugi syn, który zdawał się niezbyt nadawać do tej roli. Wycofany, wstydliwy i stroniący od wojska, Baszar al-Asad (rocznik 1965) pozostawał zawsze w cieniu starszego brata. W tamtym czasie kształcił się na okulistę w Londynie. Gdy zginął Basal, musiał porzucić marzenia o karierze medycznej.

Do roli prezydenta był szykowany w tempie ekspresowym. Błyskawicznie awansowano go w hierarchii wojskowej i pracowicie budowano jego wizerunek: machina propagandowa głosiła, że zajmie się komputeryzacją, promocją biznesu i przyciąganiem inwestorów zagranicznych.

SANA / HO / AFP PHOTO / EAST NEWS

Prezydent Baszar al-Asad w czasie spotkania z żołnierzami armii syryjskiej w Al-Habit w prowincji Idlib. Syria, 22 października 2019 r.

Hafiz zmarł w 2000 r. Naprędce zmieniono konstytucję, aby umożliwić Baszarowi bezzwłoczne objęcie urzędu prezydenta (do ukończenia 35 lat, wymaganych wcześniej, brakowało mu kilku miesięcy). Młody wiek, wykształcenie zdobyte za granicą, obietnice reformy i demokratyzacji, a także subtelna krytyka rządów ojca – wszystko to sprawiało, że nadzieje wiązało z nim i wielu Syryjczyków, i wielu na Zachodzie.

Zmiany, ale inne

Przez krótki moment wydawało się, że takie zmiany są realne. Zamknięto jedno z okrytych złą sławą więzień, zwolniono setki więźniów politycznych. Przebąkiwano, że nadeszła damasceńska wiosna. Rychło nastał jej kres. Syria pozostała królestwem Muchabaratu. Demokratyczni aktywiści, zachęceni deklaracjami nowego prezydenta, szybko spotkali się z represjami. Więzienia znów się zapełniły.

Choć powstały pierwsze prywatne media, były związane z otoczeniem prezydenta. Sektor pozarządowy okazał się być bardzo rządowy. Na czele działań pomocowych stała pierwsza dama – Asma, Brytyjka pochodzenia syryjskiego, która do wybuchu wojny wzbudzała zachwyt na Zachodzie.

Liberalizacja gospodarki nastąpiła, lecz skutkowała głównie tym, że to rodzina i otoczenie prezydenta obrastały bogactwem. Większość obywateli nie odczuła pozytywnych zmian. Ale choć Syryjczycy zrozumieli, że demokratyzacji nie będzie, Baszar długo cieszył się popularnością. Wciąż panowała stabilność, którą doceniano po tym, jak w 2003 r. USA zaatakowały irackiego dyktatora Saddama Husajna, a w kolejnych latach Irak pogrążył się w chaosie.

Arabska Wiosna

Organizacja Human Rights Watch określiła pierwszą dekadę rządów Baszara al-Asada mianem straconej. „Podczas gdy turyści odwiedzający Damaszek mogą zatrzymać się w eleganckich hotelach butikowych i zjeść posiłek w lśniących nowych restauracjach, zwykłym Syryjczykom nadal grozi więzienie za samo krytykowanie swojego prezydenta, założenie bloga lub protestowanie przeciw polityce rządu" – pisali autorzy raportu HRW.

Gdy musiał, Asad tłumaczył się, że na razie skupia się na gospodarce, albo że sytuacja w regionie utrudnia przeprowadzanie zakładanych zmian. W istocie syryjskie władze pozostawały głuche na oczekiwania ludzi – i pewnie trwałyby w swojej beztrosce, gdyby nie rozlewające się od końca 2010 r. po Afryce Północnej i Bliskim Wschodzie fale protestów, które nazwano Arabską Wiosną. Wywołały ją zamordyzm, bezrobocie, korupcja i brak nadziei na przyszłość, cechujące liczne kraje w tej części świata.

Podczas gdy w Egipcie i Tunezji ulica obalała dyktatorów, Asad wydawał się początkowo niewzruszony. Był przeko-

nany, że jego kraju protesty nie dotkną. W wywiadzie, którego pod koniec stycznia 2011 r. udzielił amerykańskiemu „Wall Street Journal", mówił, że tamte protesty sygnalizują „nową erę" na Bliskim Wschodzie, i że rządzący muszą brać pod uwagę rosnące oczekiwania polityczne i ekonomiczne ludności. Sytuację w krajach ogarniętych protestami przeciwstawił Syrii. Przekonywał: „Syria jest stabilna. Dlaczego? Dlatego że musisz [jako prezydent] być bardzo blisko związany z przekonaniami ludzi. To podstawa".

Przekroczona linia

Półtora miesiąca po publikacji tego wywiadu sytuacja w Syrii eskalowała. Iskrą stało się aresztowanie nastolatków za malowanie antyrządowych haseł na murach. Było to w mieście Dara, uważanym dotąd za bezpieczną twierdzę reżimu.

Nastolatkowie byli torturowani, władze nie chciały ich wypuścić mimo narastających protestów. Oburzeni mieszkańcy domagali się początkowo tylko dymisji burmistrza Dary, a także dymisji Atefa Nadżiba, prywatnie kuzyna prezydenta, który odpowiadał za tajne służby w Darze. Potem ruszyła fala, a Syryjczycy zaczęli domagać się już czegoś więcej: wolności od zamordystycznego systemu. Demonstrowali pokojowo. Ich protesty tłumiono z użyciem ostrej amunicji.

Przemoc rodziła przemoc. Coraz częściej ruch antyrządowy sięgał po broń. Kraj pogrążał się w chaosie, poszczególne regiony przechodziły pod kontrolę antyasadowskich powstańców (w kolejnych latach w relacjach medialnych będzie się używać wobec nich różnych określeń: powstańcy, rebelianci, bojownicy).

W pierwszych latach wojny rebelianci przypuszczali ofensywy na Damaszek. Choć nie udało im się osiągnąć celu, reżim chwiał się w posadach i wydawało się, że jego upadek to kwestia czasu. Szczególnie po tym, gdy armia rządowa użyła broni chemicznej przeciw rebeliantom w Ghucie; zginęło tam prawdopodobnie ponad 1,4 tys. ludzi. Użycie broni chemicznej było przekroczeniem czerwonej linii, którą Asadowi wyznaczył ówczesny prezydent USA Barack Obama. Jednak po Ghucie Obama – i wraz z nim świat – pozostał bierny. Asad trwał, choć był w defensywie.

Asad odbija Syrię

Wybawieniem dla prezydenta-dyktatora stały się dwie okoliczności.

Po pierwsze, pomoc Putina: jesienią 2015 r. Rosja włączyła się do wojny po stronie Asada i wysłała silny kontyngent lotniczy oraz lądowy. Także fakt, że armia rządowa zachowała zdolność bojową (po tylu latach walk i strat, również materialnych), zawdzięczała w dużym stopniu rosyjskim dostawom sprzętu.

Po drugie, jeszcze przed decyzją Putina na rozległych terenach Iraku i Syrii powstał nowy twór. Początkowo miał charakter ekstremistycznej organizacji muzułmańskiej (tworzonej przez sunnitów), po czym latem 2014 r. jej lider proklamował powstanie „państwa bożego". Państwo Islamskie miało aspiracje wykraczające poza region, zaczęło organizować zamachy w Europie. Dżihadyści popełniali też spektakularne zbrodnie, wręcz ostentacyjnie. I choć liczba ich ofiar stanowiła ułamek liczby ofiar reżimu Asada, w efekcie świat skupił się na walce z Państwem Islamskim. W wojnę w Syrii zaangażowały się bezpośrednio także Stany Zjednoczone – choć tylko przeciw dżihadystom.

Gdy więc świat skupiał uwagę na Państwie Islamskim, Asad – wspierany przez Rosję, Iran, libański Hezbollah i irackie milicje szyickie – brutalnie wykańczał bardziej umiarkowane pozostałości rebelii. Permanentne naloty (również na obiekty cywilne) i następujące po nich ofensywy lądowe łamały ogniska oporu w kolejnych miastach i regionach. Na ruinach miast jego żołnierze pisali hasło: „Asad – lub spalimy kraj".

Prezydent uzależnił się od Rosji bardziej niż kiedyś jego ojciec od Związku Sowieckiego, ale najwyraźniej taka cena jest dla niego do przyjęcia – wszak utrzymał się przy władzy. Dziś kontroluje na powrót znakomitą większość kraju. Reszta pozostaje w rękach mniej lub bardziej radykalnych grup antyrządowych, a także sił kurdyjskich. Oni nie stanowią już dla niego zagrożenia.

W tym roku odbędą się kolejne niedemokratyczne wybory. Zwycięzca jest już znany. Baszar al-Asad może spokojnie planować swoje kolejne zaprzysiężenie. Być może z większą pompą niż poprzednie.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Korzystałem z książek: Sam Dagher „Assad or We Burn the Country" (New York 2019); David W. Lesch „Syria" (Cambridge 2019); Robin Yassin-Kassab, Leila Al-Shami „Burning Country. Syrian in Revolution and War" (London 2018); Jerzy Zdanowski „Historia Bliskiego Wschodu w XX wieku" (Wrocław 2010).

REKLAMA

JESTEŚ TYM, KTÓRY PISZE I KTÓRY JEST PISANY

Edmond Jabes, *Księga Pytań*

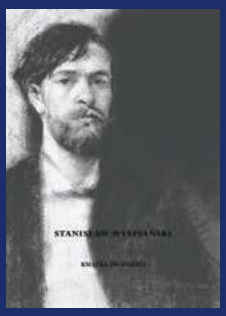
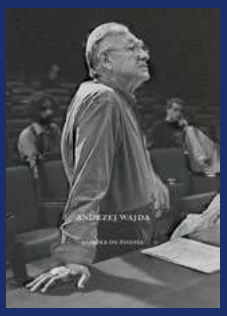

AUSTERIA

Książkę do pisania zamów na

austeria.eu
austeria.pl

Z ODDECHEM

UCZUCIA SPRZECZNE

ORA DRESNER, PSYCHOTERAPEUTKA:

Niekiedy jest tak, jakbym miała 15 lat, a nie 72. Wie pani, że dziś trzeba się solidnie napracować, żeby kogoś znaleźć? Nie bardzo sobie wyobrażam randkowanie w ciemno.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Jak się Pani czuje?

ORA DRESNER: To zależy. Są dni, kiedy czuję, że mój czas się już kończy, że już starczy tego tu bycia. W takich chwilach czuję się raczej stara, mam dość i jestem gotowa spokojnie się pożegnać. A niekiedy czuję się zupełnie jak dziewczynka. Wtedy jestem tym dzieckiem, którym byłam kiedyś, i które nie ma o niczym żadnego pojęcia. Tym, które tęskni za mamą, które się boi różnych rzeczy, na przykład tego, że je zostawią, które bardzo różne rzeczy przeżywa.

Wciąż czuję się winna wobec mojej mamy, która umarła ponad 30 lat temu. Myślę: a dlaczego ja wtedy zrobiłam tak, a nie inaczej?! A dlaczego to jej powiedziałam, a tamtego nie?! Wracam często do mamy w myślach. Prawda, że jak małe dziecko? Chociaż w pewnych sprawach jednak dojrzałam emocjonalnie.

W jakich?

W zawodowych. Mam większą pewność siebie. Jestem szefową sporej kliniki terapeutycznej w Londynie i niekiedy muszę kogoś zwolnić, pożegnać się, powiedzieć coś niezbyt miłego. Kiedyś to było dla mnie trudne nie do wyobrażenia, teraz jest mi łatwiej. Być szefową nie zawsze jest miłe, ale radzę sobie i nawet mnie tam lubią.

Poza tym w życiu prywatnym nie wstydzę się już komuś powiedzieć, że coś mi się nie podoba, że chciałabym inaczej. Na przykład jestem już w stanie w restauracji powiedzieć, że danie, które dostałam, jest zimne i niejadalne.

Co pomogło dojrzeć?

Kiedy byłam mała, to cała byłam w głowie, myślałam, że jestem mądrzejsza od rodziców. Ale tak naprawdę, od kiedy siebie pamiętam, byłam bardzo nieśmiałą, skrępowaną dziewczynką z emocjonalnymi trudnościami. Wyjazd z Polski w 1964 r. jeszcze pogłębił moje kłopoty.

A te momenty, kiedy Pani czuje, że dość już tego życia? Z czym one się wiążą?

To są takie błahe, banalne chwile. Czasem budzę się rano, o tej ciemnej, zimowej godzinie i wiem, że znowu czeka mnie to samo: muszę wstać, ubrać się, zjeść, iść do pracy... Wtedy bywa, że mi się nie chce. 40 lat już to robię. Wystarczy, myślę. Po co to ciągnąć? Przecież nie zniknę tak całkiem, coś po mnie zostanie – syn dostanie dom, przyjaciele będą pamiętać. Niech pani nie robi takiej smutnej miny, to nie depresja, raczej znużenie. Nic poważnego.

Miała Pani niedawno wypadek. To było poważne.

Tak. Zdarzyło się tu, w domu, między sesjami. Upadłam, bardzo bolało, bo złamałam miednicę w kilku miejscach, nie mogłam się ruszyć. Niech pani sobie wyobrazi: leżę na podłodze, za parę minut ma przyjść kolejny pacjent, a ja jestem zupełnie bezradna. Nie wiedziałam, co będzie, pomyślałam:

ORA DRESNER
(ur. 1948 we Wrocławiu) w 1964 r. wraz z rodziną wyemigrowała do Izraela. Studiowała filozofię i psychologię na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Od 1977 r. mieszka i pracuje w Londynie. Prowadzi poradnię Camden Psychotherapy Unit, która oferuje m.in. niskopłatną psychoterapię osobom dorosłym. Wykłada w Tavistock Clinic. Od lat szkoli i superwizuje psychoterapeutów w Polsce, m.in. w ramach seminariów obserwacji niemowląt.

MARCIN MAZUR DLA „TP"

„A może właśnie tak wygląda koniec?". I to wcale nie było takie straszne.

I co Panią wyciąga z łóżka o tej ciemnej, zimowej godzinie?

Łatwiej jest, jak zaświeci słońce. Wtedy chętnie wstaję, robię sobie kawę. Są dni, kiedy z łóżka wyciąga mnie obowiązek wobec pacjenta, który ma zaraz przyjść. Myślę o nim czy o niej i to zmienia perspektywę.

Wie Pani, że psychoterapeuci żyją i pracują najdłużej?

Nie wiedziałam o tym! Ale rzeczywiście znam wielu, którzy pracowali do dziewięćdziesiątki albo i dłużej. Ciekawe, z czego to wynika... Z jednej strony jesteśmy depresyjni, zazwyczaj mamy za sobą jakieś trudne przeżycia, z czymś się zmagamy. Ale dzięki temu, że cały czas jesteśmy w głębokim kontakcie z innymi, ta intensywna interakcja nas ożywia. W każdym razie ja dzięki tej pracy czuję się bardziej żywotna, zaangażowana, potrzebna. Czasami muszę sobie powiedzieć: Ora, pamiętaj, pacjenci nie są po to, żebyś ty się czuła dobrze, tylko żebyś im pomagała.

Myśli pani, że jesteśmy pasożytami? A może jednak nie tylko bierzemy, ale również coś dajemy? Mam pacjenta skrzypka, on z kolei żyje muzyką, ale tylko żywą. Musi mieć kontakt z publicznością i teraz, w czasie lockdownu, bardzo cierpi. Dobrze go rozumiem.

Może chodzi o wymianę?

O tym właśnie mówię! Jest taka bardzo ciekawa książka terapeutki Anne Alvarez „Live Company". Ona tam pisze o dzieciach autystycznych i o tym, że praca z nimi polega na wprowadzaniu światła do ich wewnętrznego świata, na byciu ich „kompanem". Podoba mi się to słowo. Myślę, że w naszej pracy jesteśmy właśnie kompanami innych ludzi. Mamy ogromny przywilej uczestniczenia w czyimś życiu i wnoszenia tam światła. W kontakcie między terapeutą a pacjentem jest coś bardzo witalnego – otwartość, uczciwość, poszukiwanie prawdy. To jest esencja tej relacji.

Teraz sobie pomyślałam: a może nas ożywia to, że pracując musimy przyjmować wiele perspektyw? Wychodzić poza sztywne ramy? Bo zwykle w życiu rozmawiamy z tymi, którzy myślą podobnie. A w tej pracy – wręcz przeciwnie. ↦

↦ **Musimy ciągle uaktualniać wewnętrzne mapy, żeby móc wejść w dialog z innym.**

Ja bym powiedziała inaczej. Mamy wewnątrz coś więcej niż mapy, mamy różne wielowymiarowe schematy i żeby je przezwyciężać, musimy mieć w sobie ciekawość drugiego człowieka. Tak jak malarz musi być ciekaw kolorów i poszukiwać światła, oglądać to, jak jedno na drugie wzajemnie wpływa. Podobnie w tej pracy – jesteśmy w procesie nieustającej zmiany i to jest bardzo ożywiające! Czasem się zastanawiam: co ja bym robiła, gdybym nie miała pacjentów?

Jest Pani teraz sama?

Tak, od kilkunastu lat jestem sama. Niekiedy mi z tym dobrze, a niekiedy czuję się, jakbym miała znowu 15 lat i chciała znaleźć partnera... Wie pani, że dziś się trzeba solidnie napracować, żeby kogoś znaleźć? Jednocześnie trochę się tego wstydzę. Bo jak by to miało wyglądać? Mam iść do pubu i spotkać się tam z obcym mężczyzną? Nie bardzo sobie wyobrażam randkowanie w ciemno. Z drugiej strony czasem jest mi smutno. Taka ambiwalencja.

Niech pani tak nie patrzy, przecież my ciągle przeżywamy różne wewnętrzne konflikty. Od nowa i od nowa. To się nigdy nie kończy, na tym życie polega. Samotność ma swoje cienie, ale ma i blaski. Po rozstaniu z moim partnerem przez wiele lat mieszkałam sama. Dopiero ostatnio, w związku z wypadkiem, wprowadził się do mnie mój 33-letni syn. I akurat nastał covid, więc postanowił zostać dłużej. Opiekował się mną.

I jak się mieszka z dorosłym synem?

Trudno uwierzyć, ale znowu mam te same kłopoty, co wtedy, gdy był nastolatkiem. Chodzę i się zastanawiam: zwrócić mu uwagę czy nie zwrócić? Dlaczego on się tak złości? Dlaczego się zamyka w pokoju? Dlaczego ma taką minę? Może ma mnie dość? Uwierzy pani? Ja mam 72 lata! Opowiadam o tym, żeby panią przekonać, że te konflikty są z nami cały czas. Zazębiają się i nakładają na siebie – nieważne, ile mamy lat, kim jesteśmy i w jakiej sytuacji. Gdy jest trudno, to, co kiedyś bolało, odzywa się na nowo. Następuje regresja.

Jeśli gdzieś w przeszłości utknęliśmy, nieświadomie tam wracamy, żeby to rozwiązać?

Nic się nigdy nie rozwiązuje do końca. Cały czas mierzymy się z emocjonalnymi wyzwaniami. Ale jeśli gdzieś po drodze było bardzo trudno, to potem – w podobnych sytuacjach – wracają dawne uczucia. Więc teraz, kiedy znowu zamieszkaliśmy razem, syn też się stał nastolatkiem. Spędzał większość czasu w swoim pokoju, ze słuchawkami, przy komputerze.

Dzieci samym swoim byciem obok wzbudzają w nas bardzo silne uczucia. Nie tylko przypominamy sobie ich dzieciństwo, ale własne też. Jestem tego dziś bardzo świadoma i mogę sobie z tym radzić w nieco bardziej dojrzały sposób dzięki psychoanalizie.

> Wiemy różne rzeczy nawet wtedy, kiedy nie wiemy. A traumy objęte tajemnicą są jak trucizna, która nas osłabia. Bo przeczuwamy, że coś jest, a ktoś nam mówi: **nie, tam nic nie ma, nie interesuj się.**

Dlaczego została Pani psychoanalityczką?

O, widzę, że pani bardzo chce usłyszeć o mojej neurozie!

Jak już wspominałam, w 1964 r., cztery lata przed Marcem ’68, moja rodzina wyemigrowała z Polski do Izraela. To było dla mnie bardzo trudne doświadczenie. Marzec był tragiczny dla polskich Żydów, ale oni przynajmniej byli razem, nawet jak się rozjechali po świecie, to pozostali w kontakcie, do dziś mają swoje gazety i swoje reuniony. A myśmy wyjechali całkiem sami i dla mnie to było dramatyczne.

Byłam samotnym, zamkniętym w sobie dzieckiem. Rodzice postanowili mieć jeszcze jedno dziecko, moją siostrę, to też mi się bardzo nie podobało. Ale jak miałam 14, może 15 lat, poczułam, że jest mi trochę lepiej, widziałam siebie wychodzącą ze skorupy, zakochałam się...

I wtedy właśnie wyjechaliśmy. Byłam załamana. Moje poczucie zagubienia, odosobnienia i niezadowolenia z siebie pogłębiło się. I jeszcze wszędzie w Izraelu ten niezrozumiały hebrajski! W szkole było mi okropnie ciężko, w wojsku też czułam się obco. Dopiero kiedy poszłam na uniwersytet, los się nade mną zmiłował, bo po wojnie sześciodniowej do Izraela przyjechało na studia wielu młodych, amerykańskich Żydów. Dzięki temu poznałam pewną wyzwoloną Żydówkę i bardzo się z nią zaprzyjaźniłam. Ona była w terapii chyba od piątego roku życia. I pewnego dnia mówi do mnie: „Ora, jesteś najbardziej zahamowaną i zamkniętą w sobie dziewczyną, jaką znam, musisz iść na psychoanalizę”. Nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. Zaprowadziła mnie do Instytutu Psychoanalitycznego w Jerozolimie i tam zapisałam się na analizę. Ten analityk zmienił moje życie. Poczułam, że w końcu jestem w swoim świecie. Pamiętam swoją myśl, że nareszcie zaczynam rozumieć to, czego jeszcze niedawno byłam całkiem nieświadoma.

Proszę opowiedzieć o tym więcej.

W pewnym momencie terapeuta powiedział, że przeżywam w jakiejś sprawie ambiwalencję... Ha! To było dla mnie jak odkrycie Ameryki, nie miałam pojęcia, że można mieć mieszane uczucia. Wtedy poczułam, że chcę lepiej poznać język emocji i chcę zacząć go używać. Byłam pięć lat w analizie w Izraelu, potem wyjechałam do Londynu i tu miałam kolejne pięć lat. Jakoś w trakcie zdałam sobie sprawę, że właściwie zawsze chciałam pomagać ludziom, zwłaszcza dzieciom.

Dlaczego akurat dzieciom?

Dziś wiem, że to przekazał mi ojciec. Był bardzo wrażliwy na ból dziecka. Jak usłyszał gdzieś płacz, w środku nocy biegł na ulicę, sprawdzał, co się dzieje. Czytał Korczaka, opowiadał mi o nim. To był niezwykle dobry, skromny i subtelny człowiek. Niech pani zobaczy: zawsze, jak go wspominam, to płaczę, właśnie tak. Płaczę też dlatego, że dopiero kiedy umarł, poznałam jego historię. On na jakiś czas przed śmiercią miał udar, czasem krzyczał, wołał: „Gdzie są moje trzy

ARCHIWUM RODZINNE ORY DRESNER / REPR. MARCIN MAZUR

Rodzice Ory Dresner Anna i Abraham. Zdjęcie z okazji ślubu rabinackiego w Wałbrzychu, 8 grudnia 1946 r.

dziewczynki!?". Myślałam, że majaczy, że coś sobie wyobraża, a okazało się, że on przed wojną, we Lwowie, miał żonę i córeczkę. Kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka w 1941 r., to go Sowieci wzięli do Czerwonej Armii. Ta córeczka miała wtedy trzy lata. Wkrótce potem obie z matką zginęły w getcie lwowskim.

Ojciec nigdy mi o tym nie opowiadał. Wiedziałam tylko, że miał siedmiu braci i że pięciu z nich zamordowano.

Mama też miała swoje tajemnice. Jej matka umarła przy porodzie, a ojciec ponownie się ożenił i chyba miał dzieci z drugą żoną. Nigdy o tym nie mówiła, ale kiedyś przypadkowo się zapomniała, coś jej się wypsnęło... Może dlatego wybrałam psychoanalizę? Terapia polega przecież na tym, żeby pacjentom pomóc nawiązać kontakt z ich „tajemnicami", z tym, czego nie chcą wiedzieć, co wyparli.

Nie dziwię się, że Pani często myśli o śmierci.

Wcale nie tak często. Na co dzień jestem pogodna i czuję, że mam bardzo fajne życie. Ale jednocześnie zawsze czułam, że w naszej rodzinie są jakieś tajemnice. Dobrze pamiętam z dzieciństwa to poczucie nieokreślonego zagrożenia, które wisiało w powietrzu.

Pamiętam, jak szukałam czegoś w sekretarzyku rodziców i znalazłam tam zdjęcie taty, na którym idzie pod rękę z bardzo przystojną panią. Pamiętam swoje podniecenie: z kim ten tato tam idzie? Zapytałam mamę, bo taty nie było w domu, i od razu poczułam, że to pytanie bardzo się mamie nie spodobało. Powiedziała: „A, to jakaś jego znajoma". Wiedziałam, że to kłamstwo, ale pomyślałam, że może to jakaś jego dziewczyna sprzed wojny, może mama jest zazdrosna. A to była żona.

Myślę, że my wiemy różne rzeczy nawet wtedy, kiedy nie wiemy. A traumy objęte tajemnicą są jak trucizna, która się sączy i nas osłabia.

Dlaczego to jest trucizna?

Bo nie da się żyć w kłamstwie. Możemy się rozwijać i stawać lepszymi ludźmi tylko pod warunkiem, że jesteśmy karmieni przez naszych bliskich emocjonalną prawdą. Jeśli dziecko płacze, a ktoś mu mówi: nie masz co płakać, nic się nie stało, to w świecie wewnętrznym dziecka tworzy się zakłócenie, zniekształcenie. No bo wtedy nie wiadomo, czy ja czuję to, co czuję, czy inni wiedzą lepiej? Niekiedy to zakłócenie jest większe, niekiedy mniejsze. To zależy, kto jest tym dzieckiem, zależy jak często to słyszy, zależy jakie ma inne doświadczenia, ale zniekształcenie jest. I utrudnia życie. Z tajemnicą jest podobnie – bo z jednej strony przeczuwamy, że coś jest, a ktoś nam mówi: nie, tam nic nie ma, nie interesuj się.

Ale ja nie chcę, żeby nasza rozmowa była taka smutna!

To nie jest smutne. To jest ciekawe.

Czy pani wie, że willa Karpowiczów we Wrocławiu, na Krzyckiej 29, w której Olga Tokarczuk stworzyła swoją fundację, to jest mój dom rodzinny?

Nie wiedziałam.

Tam się wychowałam. Myśmy byli z Karpowiczami bardzo blisko, przyjaźniliśmy się. Jak się dowiedziałyśmy z siostrą, że tam będzie Fundacja, strasznie się ucieszyłyśmy – to wspaniała wiadomość, że ten dom będzie teraz żywy, pełen ludzi, że będzie powstawało coś nowego. Wzruszam się. To porusza we mnie te dziecięce struny: przywiązania do rodziców, do dzieciństwa, do tego domu. Powraca też ból tęsknoty. Jednym z powodów, dla których przez wiele lat nie wracałam do Polski, był właśnie ból. Myśmy wyjechali, jak byłam bardzo młoda, wtedy niesłychanie boli zrywanie więzi. Teraz to się zagoiło, mogę wracać do dobrych momentów.

Oboje rodzice już umarli, brakuje mi ich, bardzo za nimi tęsknię. I ten dom chyba to reprezentuje. Te dobre wspomnienia. One są wyraźnie oddzielone od trudnych uczuć wobec Polski, od doświadczania antysemityzmu. Moja mama była tłumaczką z jidysz, byli razem z Tymoteuszem Karpowiczem w Związku Literatów, wracają mi teraz wspomnienia tej przyjaźni.

Jest możliwa jednak jakaś ciągłość?

No właśnie. Jest możliwa, a więzi nie znikają. Bardzo możliwe, że tu też chodzi o Zagładę.

W jakim sensie?

Tylu ludzi zniknęło bezpowrotnie, tyle historii... Te wszystkie dokumenty, listy, zdjęcia, domy... Wszystko spłonęło... A jednak coś powraca – jak ten dom. Coś straciliśmy, teraz jakbyśmy coś odzyskiwali. Wiem, to jest willa Karpowiczów, ale Dresnerowie też tam mieszkali i między naszymi rodzinami było powinowactwo. Oni się cudem uratowali i moi rodzice się ↦

↦ cudem uratowali... Wszyscy przeszli przez rzeczy niewyobrażalne, dużo o tym opowiadali.

Zresztą te ich traumy – nie do opisania – jakoś się wlewają w naszą duszę, drugiego pokolenia. Nieświadomie i bardzo głęboko. To gdzieś zapada. Przeżycia naszych rodziców tlą się w nas. Myślę o tym prawie codziennie.

Czy pani wie, że willa Karpowiczów we Wrocławiu, na Krzyckiej 29, w której Olga Tokarczuk stworzyła swoją fundację, **to jest mój dom rodzinny?**

Jak to się konkretnie tli?

W szczegółach? Na przykład mój wujek opowiadał, że jego dwaj synowie – jeden miał trzy lata, a drugi pięć – zostali wywiezieni przez Rosjan ze Lwowa w głąb Rosji i słuch o nich zaginął. Może zostali zaadoptowani? Nie wiadomo. Wiadomo, że nikt już nigdy ich nie znajdzie. Dla mnie słuchanie tej historii było straszne, strasznie pomyśleć, że dziecko można zgubić.

Inna historia dotyczyła zdjęcia. Tato miał w Ameryce dalekich krewnych, kiedyś przysłali mu przedwojenne zdjęcie jego rodziny. Powiększył je i powiesił na ścianie w sypialni – jego mama w peruce, wszyscy bracia, jeden przy drugim, pobożni, w czapkach. Jak ktoś przychodził, tato zawsze pokazywał to zdjęcie i mówił: „Zobacz, ośmiu nas było".

Jaki ślad zostaje w dziewczynce, która słucha takich historii?

Zostaje strach przed nagłą utratą. I trudność w mówieniu o tym. Z jednej strony nie chcę o tym mówić ani pamiętać, z drugiej potrzebuję jakiejś fabuły, bo czuję, że to jest ważne.

Ale jak o tym opowiadać? Nasz dom od zawsze był wypełniony książkami, większość była po żydowsku. Zresztą one nadal tu ze mną mieszkają. Trudno uwierzyć, ile tego wydano po wojnie. Dziesiątki, setki świadectw w jidysz. Ci, którzy przeżyli, pisali o sobie i o tych, którzy zostali zgładzeni. Ja w tym dorastałam. Nie czytałam, nie umiem po żydowsku, ale dużo o tym myślałam, te książki mnie przecież otaczały. Myślałam: jak oni mogli dalej żyć po tej strasznej tragedii... Niemal wszystko potracili, a jednak nie załamali się, pisali, opowiadali. Te opowieści otaczały mnie ze wszystkich stron.

Lusia, mama mojej najbliższej przyjaciółki, opowiadała, jak się ukrywała po aryjskiej stronie przed Polakami. Kiedyś kolega z klasy zobaczył ją w tramwaju i zaczął krzyczeć: „To Żydówka!". Wyskoczyła, uciekła... Maryla Birenbaum opowiadała, że zostawiła swojego siedmioletniego synka u przyjaciółki. Dała jej dużo pieniędzy, żeby tamta miała na utrzymanie. Przyjaciółka po kilku dniach zaprowadziła chłopca na gestapo. A ja tego słuchałam...

I co się z Panią działo?

Czułam złość, może nawet nienawiść, ale najbardziej ból i strach. To wszystko jest bardzo pomieszane. Lusia uciekła z tamtego tramwaju i wskoczyła do jakiejś piwnicy, tam był węgiel i stróż, Polak. Spojrzał na nią i powiedział: „Możesz się tu schować".

Jaki to ma wpływ na mnie dzisiaj? Nie wiem. Zastanawiam się. Może stąd jest we mnie ten strach, że to się może powtórzyć? Pani też to ma? To dla mnie za dużo. Dopiero niedawno zaczęłam troszeczkę czytać. Boję się tego dotykać.

To jest lęk przed otchłanią?

Chyba tak. Za bardzo się z tym identyfikuję. To moja słabość, bo ten temat wchodzi mi od razu do środka, nie mam tu wystarczająco grubej skóry. W innych tematach tak nie jest, potrafię mieć dystans, rozumieć. A tu klops. Niosę to dalej. Na przykład ten lęk przed rozdzieleniem – ojciec nigdy nie lubił, jak wyjeżdżałyśmy z domu. Kiedy już byłam dorosła, po studiach, chciałam mieszkać osobno, on szału dostał. Nawet jak mieliśmy małe rozstania, było mu smutno. I to przeszło na mnie – też mam z tym trudności. Jestem tego świadoma, więc udaję, że jest okej. Pani też udaje? Bo tak naprawdę to dla mnie jest zawsze bardzo trudne.

Pyta pani, jak to wszystko na mnie wpłynęło... Teraz, jak o tym rozmawiamy, to myślę, że mam w sobie stale lęk przed przedwczesną śmiercią bliskiej osoby. To tkwi bardzo głęboko. Że coś się stanie, że dziecko zginie, że młody człowiek zginie, że nagle życie się przerwie, że wszystko zostanie utracone. Z perspektywy doświadczenia moich rodziców życie nigdy nie kończyło się naturalnie i niemal nikt z ich rodzin nie dożył późnej starości.

Robi Pani bilans? Podsumowuje?

Staram się nie. Widzi pani, znowu to samo. Widocznie jest we mnie obawa przed zetknięciem się zbyt blisko z bólem. Może gdybym zaczęła robić bilans, zrobiłoby mi się smutno? Ten smutek jest też stąd, że my dźwigamy ciężar utrat poniesionych przez naszych rodziców. Jak się wyrasta w takim domu, to ma się skłonność, żeby iść w tym samym kierunku. Wiem, że gdzieś w głębi jestem takim dzielnym żołnierzem. Ale ta strona może być destrukcyjna i muszę na nią bardzo uważać.

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, sygn. akt I Ns 288/20, prowadzi postępowanie z wniosku Wiesława Guzowskiego, zam. 37-500 Jarosław, ul. Kruhel Pełkiński 103, o uznanie za zmarłego zaginionego Ryszarda Adama (2 im.) Guzowskiego, s. Adolfa i Julii rod. Goryl, ur. 7 lutego 1970 r. w Radymnie, rozwiedzionego, a wcześniej żonatego z Iwoną Marią (2 im.) Guzowską rod. Ozga, ostatnio zamieszkałego 37-500 Jarosław, ul. Kruhel Pełkiński 99. Zaginiony wyjechał z miejsca zamieszkania do Francji w 1996 r. Od 2004 r. przestał kontaktować się z rodziną. Nie udało się ustalić miejsca jego pobytu i nie są znane jego dalsze losy.

W związku z powyższym Sąd Rejonowy w Lubaczowie wzywa Ryszarda Guzowskiego, aby do 30 czerwca 2021 r. zgłosił się w sądzie, gdyż w przeciwnym razie może być uznany za zmarłego. Sąd wzywa również wszystkie osoby, które mają wiadomości o zaginionym, aby do 30 czerwca 2021r. przekazały je sądowi.

A druga strona?

Skoro mówimy o bilansie, to jestem też szczęśliwa, że udało mi się zbudować rodzinę dla naszego syna, że mieliśmy wiele bardzo dobrych lat razem. Mam nadzieję, że udało mi się uchronić go przed niesieniem tych ciężarów dalej. I że nie musi się o mnie martwić. Nie mogę narzekać. Żyję dobrze, mam dom, piękny ogród i wszystko, co mi potrzebne.

I nie zapominam o tym, co mnie dobrego spotyka. Na przykład ten wypadek wiele mnie nauczył. Mnóstwo ludzi do mnie przychodziło do szpitala. Nawet sąsiedzi, z którymi przedtem zamieniłam może jedno, dwa zdania. Płaczę, jak teraz o tym mówię. Z jednej strony mieszka bardzo pobożna żydowska rodzina. Kiedy już byłam w ambulansie, to sąsiadka wybiegła, zapytała, co się stało, poszła do domu, wróciła, dała coś do jedzenia na drogę. Z drugiej strony mieszka katolicka rodzina z RPA. Ta sąsiadka przychodziła do mnie do szpitala, prała bieliznę, przynosiła jedzenie. Zupełnie się tego nie spodziewałam! Odwiedzali mnie też przyjaciele, ale to co innego. To mi skrystalizowało refleksje o wdzięczności. Ludzie potrafią być bardzo dobrzy.

Być może im jesteśmy starsi i bardziej świadomi śmierci, mocniej doceniamy czyjąś emocjonalną szczodrość?

A o pogrzebie Pani myśli?

W czasie lockdownu pojechałam z synem na cmentarz. Tam jest pochowanych wielu moich znajomych. Było spokojnie, pięknie, pusto. Mówię synowi, że nie wiem, jaki pogrzeb chcę, czy żeby mnie spalili, czy żeby mnie włożyli do drewnianej trumny, czy chcę do przodków wrócić, bo po drugiej stronie ulicy jest cmentarz żydowski. Synowi to się nie spodobało. Nie chciał słuchać, już nie poszedł ze mną drugi raz. A ja chciałabym wszystko zawczasu przygotować, żeby on nie miał tego potem na głowie. Nie chcę zostawić po sobie bałaganu. Ale też nie mogę się zabrać do tych porządków. Do tej masy żydowskich książek, o których wspominałam. Zawalają dom, powinnam się ich pozbyć, a nie mogę. Chyba ten bałagan życia musi tu po prostu zostać.

Zostawię mu jakieś drogowskazy i zrobię porządek finansowy.

Co Panią teraz cieszy najbardziej?

Jestem zadowolona, że jest tak wielu ludzi, których bardzo lubię, i mam nadzieję, że oni mnie też. Cieszę się także, że nie mam takich silnych potrzeb, żeby odwiedzać cały świat, presji, żeby przed śmiercią zobaczyć Indie czy południową Amerykę. W ogóle mnie to nie interesuje, lato na Mazurach mi w zupełności wystarcza.

Niekiedy wstaję rano, słońce świeci, mój ogród wygląda pięknie i to mi daje uczucie spokoju. Nawet gdy za oknem czarna zima, ciemno od wpół do czwartej, lockdown, to jednak kiedy idę na spacer i widzę te piękne angielskie drzewa i zieleń, czuję spełnienie.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA

REKLAMA

PARTNER GŁÓWNY LOTTO

MECENAS ORLEN

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena

Filharmonia Narodowa

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

instytut muzyki i tańca

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka", realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca

dwójka POLSKIE RADIO

INSTYTUT ADAMA MICKIEWICZA

CULTURE.PL ADAM MICKIEWICZ INSTITUTE

TVP KULTURA

EUROPEJSKIE CENTRUM MUZYKI KRZYSZTOFA PENDERECKIEGO

SINFONIETTA CRACOVIA

PWM EDITION

HEXELINE

VOGUE

pap

STRÖER

RZECZPOSPOLITA

BEETHOVEN MAGAZINE

www.beethoven.org.pl

ANDRZEJ

Stasiuk:
Odnaleziony notes (4)

8 czerwca. Pustawy embraer z Okęcia. Rzuca. Rosjanin w dresie z wielkim napisem „Russia". Nad Moskwą burze i 17 stopni. Lądujemy w porywistym wietrze i deszczu. Banał, nuda latania, cena prędkości. Łapię się na tym, że tęsknię za Rosją. Brzmienie rosyjskiego sprawia mi przyjemność. Zainfekowany przez komunizm? Ale przyjechałem do tego kraju jako dorosły człowiek, gdy teoretycznie wiedziałem wszystko o jego dawnej i dzisiejszej grozie.

Airbus 300. Jekaterynburg, Tiumeń, Nowosybirsk, Ułan Ude, Ulaangom, Ułan Bator. To wszystko wyświetla się na ekranie nad przejściem. Lecimy pod prąd nocy. W ciemnościach. Kiedyś widziałem pożar tajgi, gdy leciałem nad Syberią. Czerwoną plamkę w czarnej otchłani.

5 czerwca. Pekin. Od początku mi się spodobało. Siwa mgła jak rozpylony gaz w drodze z lotniska. Szare topole. 80 juanów. Dokładnie tyle, ile w Lonely Planet. Kierowca uchyla okno i pali. Forbiden City Hostel. Pokój z wielkim, okrągłym czerwonym łożem i lustrem na ścianie, ale bez okna. *Jet lag.* Do Tiananmen trzy minuty. Burza. Wszystko szare od deszczu. Ludzie kryją się w przejściu podziemnym. Podchodzą, robią sobie z „białym" zdjęcia. Bez pytania, uśmiechają się. Na trybunie wielki portret Mao z brodawką. Chodzę i też się uśmiecham. Podoba mi się. Ani ja dla nich niezupełnie jak człowiek, ani oni dla mnie. Ciekawa sprawa. Kto kogo małpuje i będzie małpował w przyszłości? Oni z głębi nędzy, upadku i zarazem z głębi dziejów, których nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Co chwilę podchodzi ktoś, żeby ćwiczyć angielski. O północy ucywilizowane targowisko z jedzeniem. Sto straganów. Węże, duże robaki, coś ze szczypcami, trudno zgadnąć. Biorę jakieś pierożki, dobre. Kilkadziesiąt starszych osób tańczy, chociaż może bardziej się gimnastykuje do magnetofonu stojącego na chodniku. Ten kraj niczego nie udaje.

10 czerwca. Pekin. Rano zmienili nam pokój. Jest okno. Wychodzi na szary mur. K. poszli zwiedzać Zakazane Miasto. My do hutongów na południe od placu. Nagie, białe, tłuste plecy facetów przy stolikach, jedzących, pijących, grających. Białe mięso w półmroku. Zasiedziałość. Gdy tak siedzą prawie w kucki na niskich stołeczkach i jedzą pałeczkami, prawie w kuchni. A dalej szkło, aluminium, pięćdziesiąt pięter. Chudy facet coś piecze na rożnie, na ulicy. Jakieś małe, podłużne zwierzę. Dla siebie. Bolą nogi od chodzenia.

11 czerwca. Znowu chodzenie. Bez przerwy. Przysiadanie, żeby patrzeć. Rano do grobowca Mao. Kolejka na tysiąc osób. Ale idzie szybko, bo się tylko przechodzi, nie można stanąć. Leżał pod szkłem jak w akwarium. Przykryty czerwonym sztandarem i jakiś jakby wzdęty. Trzeba być Chińczykiem, żeby coś z tego zrozumieć. W Muzeum Narodowym przy wejściu każą oddawać zapalniczki. Wszędzie żołnierze na baczność, z czerwonymi gaśnicami u nóg, jak z karabinami. Żeby się ktoś nie spalił. Wszystko przewidziane. Im dalej od placu, tym normalniej. Niosą, pchają, ciągną i cały czas gadają przez telefony. W tanich knajpach pełno. Zgiełk. Okropna wódka, którą piją wszyscy. Dobre jedzenie, chociaż nie wiadomo z czego. Chodzenie. Trochę kupowania. Notes, długopis i można się targować nawet w dużych sklepach. Gdzieś kościół z krzyżem na fasadzie. Kanciasty barak. Wieczorem w nocnym supermarkecie. Wielki i pustawy, i wszystko bardzo równo poustawiane. Pionowe, poziome linie towarów. Nic nie wystaje. Geometria postępu. Za czasów Wielkiego Głodu jedli trawę, korę i glinę. Szukam czerwonego wina. Oczywiście Great Wall. Ma dziwny smak.

13 czerwca. Rano na pociąg do Ułan Bator, na północ, w stronę Gobi. Przez Mongolię Wewnętrzną. Płasko, pyliście, żółtawo. Puste dworce, pusty pociąg. Puste wielkie miasto z blokami na dziesięć – dwanaście pięter. Jeden samochód w perspektywie szerokiej ulicy. Wszystko czeka, aż przyjdą, zasiedlą i zaczną pracować. Podobno węgiel w okolicy. Można patrzeć bez końca na pylistą żółć. Czasem osady w tym pyle. Zagrody z jakiegoś iłu i trzciny. Tak samo płaskie jak krajobraz. Zostawią i pójdą od razu do tych dziesięciopiętrowych bloków. Od razu wysoko. Dostaną zawrotu głowy, jak popatrzą. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Sanoku, Wydział I Cywilny, sygn. akt I Ns 360/20, toczy się postępowanie z wniosku Agaty Adamek i Michała Adamka o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Sanoku, Obręb Posada, składającej się z działki oznaczonej numerem ewidencyjnym 1548 o pow. 0,0182 ha, dla której w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00084313/9.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, a w szczególności Jana Gadomskiego i Mieczysława Łotawskiego, s. Ludwika i Władysławy, bądź ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa do wskazanej wyżej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie wykazane.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy – Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 383/19 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy – Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami w dzielnicy Wola m. st. Warszawy, o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Elżbiecie Duczyńskiej, c. Antoniego i Wandy, ostatnio zwykle przebywającej w Warszawie przy ul. Karolkowej 64 m. 29, ur. 14 lipca 1966 r. w miejscowości Końskie, zm. 23 stycznia 2015 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 11/2021

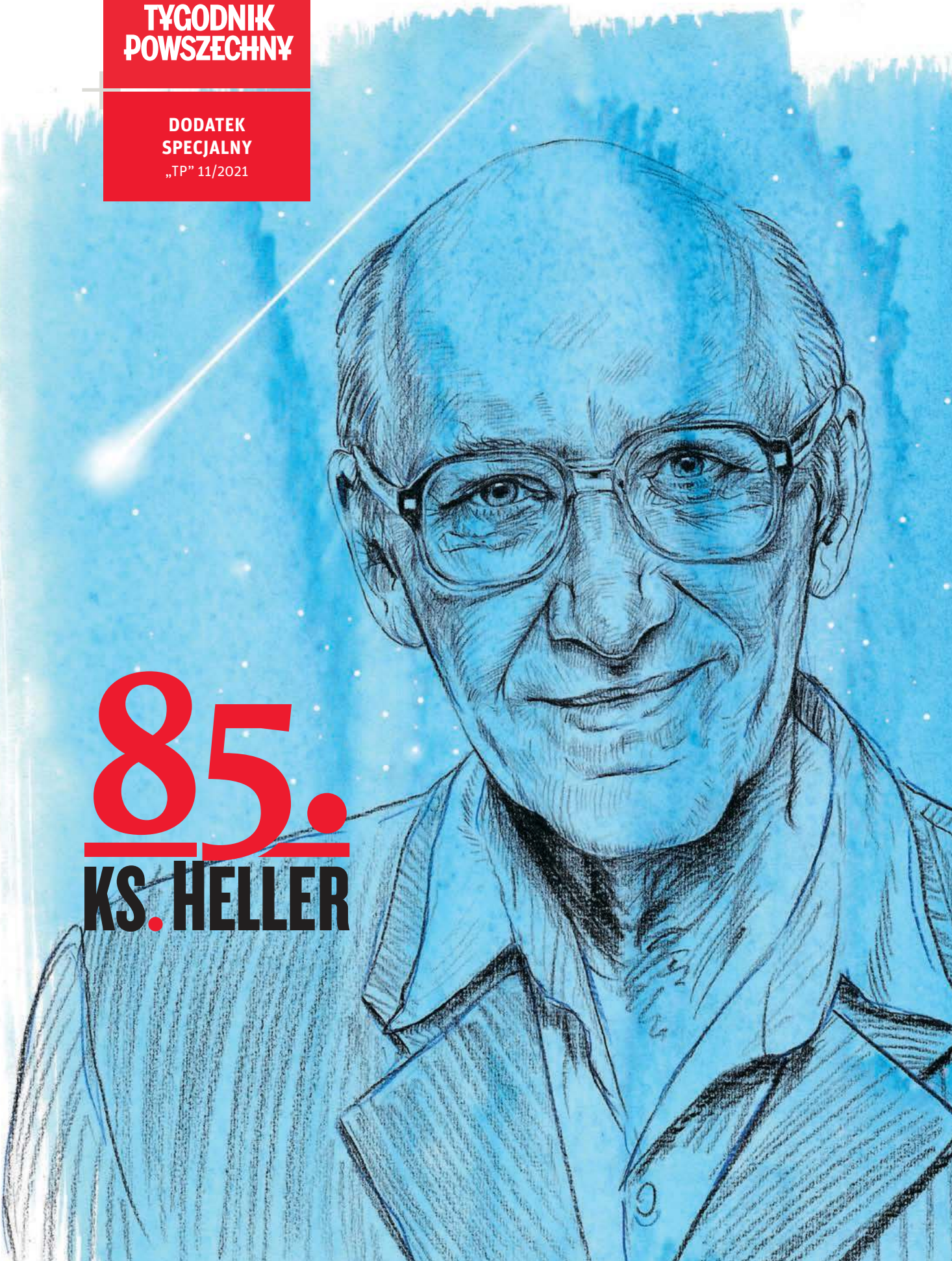

85. KS. HELLER

TEORIA STRUN ZAKŁADA, że rzeczywistość ma bardzo wiele wymiarów. Michał Heller w poszukiwaniu najbardziej fundamentalnego opisu wszechświata wprawdzie preferuje inne teorie, ale też osobiście potwierdza założenia teorii strun – bo sam ma wiele wymiarów.

Od 1959 r. ksiądz katolicki, z wykształcenia filozof, w działalności naukowej kosmolog. Z pasji: popularyzator nauki. Autor kilkudziesięciu książek – filozoficznych, kosmologicznych, teologicznych. W (rzadkich) wolnych chwilach: pilot pasażerskich samolotów w komputerowych symulatorach. Wielokrotnie nagradzany – w tym w 2008 r. Nagrodą Templetona. Czytelnikom „Tygodnika" znany od przeszło półwiecza. Założyciel Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych, z którym współpracujemy przy wielu przedsięwzięciach.

Szanowny Jubilacie, Drogi Księże Profesorze!
Dziękujemy za Twoją przyjaźń i życzliwość. Życzymy przede wszystkim – także sobie i naszym Czytelnikom – jeszcze wielu okazji do wzbudzania naszych fascynacji nauką i racjonalnością wszechświata. I cieszymy się, że 12 marca 1936 r. wszechświat dał wyraz swojej głębokiej racjonalności.

A naszych Czytelników zapraszamy do lektury tego dodatku, w którym opowiadamy o najważniejszych zmaganiach ks. Hellera – z ostatecznym wyjaśnieniem wszechświata, z matematyką, z Bogiem, z poszukiwaniem sensu. Ale także do lektury licznych tekstów Jubilata oraz o Jubilacie, które można znaleźć w specjalnym serwisie: **powszech.net/heller85**

JAN BIELAŃSKI

Wyjaśnić wszystko

ŁUKASZ LAMŻA

Pytanie Leibniza – dlaczego istnieje raczej coś niż nic? – zawsze fascynowało Michała Hellera. Czy da się to głębokie pytanie metafizyczne zamienić w kolejny problem naukowy?

Początek może być niewinny, jak rozmowa z nadmiernie dociekliwym pięciolatkiem. Skąd się bierze deszcz? Z chmur. A skąd się biorą chmury? Z pary wodnej w otaczającej Ziemię atmosferze. A skąd ta woda i Ziemia? Z pyłków galaktycznych, które z gazów gwiazdowych, które z pierwotnej materii kosmicznej, która wyłoniła się

PLEJADA W GWIAZDOZBIORZE BYKA. Znana też jako „Siedem sióstr", a w popularnym astronomicznym katalogu Meissera ma numer M45. Składają się na nią stosunkowo młode gwiazdy – jak na realia kosmologiczne – liczące ok. 100 mln lat, odległe o ok. 440 lat świetlnych od Ziemi. Plejady są obiektem nieba zimowego – obserwować je można od października do marca. Pod ciemnym niebem są dobrze widoczne, ale do obserwacji lepiej użyć lornetki. Delikatna niebieska mgławica jest widoczna jako mgiełka w dużych teleskopach, ale najlepiej prezentuje się na długo naświetlanych zdjęciach. Fotografia wykonana w Sidzinie, 8-9 listopada 2020 r. Czas naświetlania: 5 godzin 25 minut.

z Wielkiego Wybuchu. Ten zaś wyznacza – jak się wydaje – brzeg wszechświata. A skąd ten wszechświat? Hm, no właśnie – skąd się wzięło wszystko?

Na najgłębszym filozoficznym poziomie pytanie to określa się jako pytanie Leibniza: „dlaczego jest raczej coś niż nic?". Po sprowadzeniu go do nieco bardziej konkretnego języka metafizyki zamienia się natomiast w pytanie o początek łańcucha przyczyn i skutków, w który jesteśmy uwikłani. Co właściwie czyha na nas, gdy będziemy dowolnie długo odpowiadać na kolejne pytania nieskończenie dociekliwego smyka? Już Arystoteles wiedział, że tego typu łańcuch wyjaśnień można przedłużać tylko na dwa sposoby: albo nigdy go nie kończyć, albo zakończyć naprawdę spektakularnie. Obydwa równie fascynujące. I równie kłopotliwe.

Bez końca

Pierwsza droga, czyli rozmyślne niekończenie łańcucha przyczyn i skutków, zwana jest technicznie nieskończonym regresem (*regressus ad infinitum*). Wielki Wybuch miał swoją przyczynę, ta zaś swoją, ta zaś swoją... i tak dalej, w nieskończoność. To model o tyle interesujący, że – przynajmniej potencjalnie – można w nim odnaleźć przyczynę każdego faktu z osobna. Na pozór można więc wyjaśnić w s z y s t k o. A jednak – nigdy nie uzyskamy wyjaśnienia n a p r a w d ę w s z y s t k i e g o. Po pierwsze, ze względów praktycznych: nieskończoność to coś więcej niż tylko duża liczba i nie da się jej nigdy „wyczerpać". Choćbyśmy zamienili całą materię dostępnego nam Kosmosu w małe karteczki zawierające wyjaśnienia kolejnych faktów, to wciąż nie napoczęlibyśmy jeszcze głębin nieskończonej studni kosmicznych przyczyn.

Po drugie, ze względów filozoficznych. Nawet gdybyśmy – odwołajmy się już do sztuczki matematycznej – wyobrazili sobie nieskończony zbiór karteczek przyporządkowanych jeden do jednego do całego nieskończonego zbioru faktów przyrodniczych, stanowiący łącznie „wyjaśnienie wszystkiego", to wciąż nie wyjaśnilibyśmy samego istnienia owego łańcucha przyczynowo-skutkowego, tj. wszechświata jako takiego. Posłużmy się tu, jak Heller w „Ostatecznych wyjaśnieniach wszechświata", metaforą kości domina. Obserwujemy szereg przewracających się kości domina, którego początek i koniec giną w mroku. Znamy przyczynę przewrócenia się każdej kości z osobna – jest nią przewrócenie się kości poprzedniej. To nie znaczy jednak, że wyjaśniliśmy, skąd wzięły się te kości, dlaczego mają taki czy inny kształt, albo – aby dyskretnie trącić teologiczny aspekt tego zagadnienia – kto te kości ustawił. To pytania spoza „uniwersum upadających kostek" i z wewnątrz tego uniwersum odpowiedzieć na nie nie sposób; podobnie jak żaden ruch szachowy nie jest w stanie wyjaśnić, dlaczego szachownica ma 64 pola, a żadne wydarzenie w nawet najwspanialszej powieści nie jest w stanie sprawić, że książce wyrosną dodatkowe strony.

Nieskończony regres to wizja zaskakująco rzadka w historii myśli ludzkiej: niemal wszystkie kultury uznają, że świat miał swój początek. Chyba jedyną dobrze udokumentowaną kulturą, w której nikt nie wpadł na to, że cykl dni i nocy, pełni i nowiów oraz pór roku mógł nie mieć swojego początku, są południowoamerykańscy Pirahã – nie jednak z głębokiego przekonania, że czas ciągnie się w nieskończoność, a raczej z braku zainteresowania spekulacjami kosmogonicznymi.

Swoistą formą nieskończonego łańcucha przyczynowo-skutkowego jest natomiast tradycyjna cykliczna kosmologia indyjska. Nieskończony czas „ponawijany" ↦

↦ jest na hierarchię krótkich i dłuższych cykli. Jest to więc nieskończony regres bardzo specyficznego typu: czas jest nieograniczony, a jednak w pewnym sensie skończony i po pewnym czasie wszystko zaczyna się na nowo. Nieskończoność jest jednak tak kłopotliwym pojęciem, że skrajnie rzadko bywa ona świadomie włączana w schematy kosmologiczne.

Stworzyciel

No dobrze, to może po prostu istnieje pierwsza kość – ta, której przewrócenie spowodowało pośrednie zajście wszystkich innych zdarzeń w naszym uniwersum? Wypowiedzieć tę wizję łatwo i doczekała się ona tysięcznych mitologicznych nazw i narracyjnych opakowań, jednak wystarczy odrobina namysłu filozoficznego i okazuje się, że owa pierwsza przyczyna musi posiadać dość interesujące własności – tak osobliwe, że wręcz odruchowo zapisujemy ją dziś wielkimi literami jako Pierwszą Przyczynę. Powołaliśmy bowiem do życia coś zgoła odmiennego od wszystkiego, co nas otacza: coś zdolne do wywoływania przyczyn, jednak samo przyczyny nieposiadające – coś, co nie potrzebuje niczego, aby istnieć. Coś metafizycznie samowystarczalnego. Tomasz z Akwinu, szukając sposobów na przekonanie niedowiarków do swojej wiary, stwierdził, że coś posiadające takie własności może być nazwane tylko Bogiem. W technicznym języku metafizyki arystotelesowskiej – która do dzisiaj stanowi pojęciowe zaplecze teologii chrześcijańskiej w postaci tzw. neotomizmu – powiedzielibyśmy, że owa pierwsza przyczyna to „byt, którego istotą jest istnienie". Wyjaśnijmy może tę enigmatyczną definicję.

O ile, w duchu tej filozofii, istotą pomarańczy jest słodkość, pomarańczowość i posiadanie skórki, a istotą krzesła jest to, że można na nim siąść, to zarówno pomarańcza, jak i krzesło – podobnie jak wszystkie wyobrażalne byty – mogą nie istnieć. Nieistniejąca pomarańcza wciąż przy tym jest pomarańczą. Bo aby być pomarańczą, wystarczy mieć wszystkie cechy pomarańczy, a nie trzeba leżeć akurat na moim stole. W ostateczności można wszak być pomarańczą wyobrażoną, wspominaną albo pożądaną.

Pierwsza przyczyna to zaś coś takiego, co po prostu musi istnieć, z samej swojej definicji: tak jak liczba 2 jest parzysta, bo tak po prostu jest i musi być (i nie sposób wyobrazić sobie liczby 2, która jest nieparzysta), podobnie Pierwsza Przyczyna-Bóg istnieje i inicjuje ewolucję wszechświata po prostu dlatego, że jest tym, czym jest (i nie sposób wyobrazić sobie, że Pierwszej Przyczyny-Boga nie ma). W podobnym duchu istnienia Boga dowodził Anzelm z Canterbury: jeśli Bóg jest najdoskonalszym z bytów, to musi istnieć, bo gdyby nie istniał, to można by sobie wyobrazić coś doskonalszego: „to samo, tylko istniejące". A więc Bóg istnieje na mocy samej swojej definicji. Czy nie popełniliśmy jednak właśnie jakiegoś logicznego głupstwa?

Choć mogłoby się wydawać, że zaczęliśmy właśnie niepotrzebnie grzęznąć w średniowiecznych gierkach słownych, XX-wieczna fizyka wpadła dokładnie w te same koleiny, próbując odnaleźć ostateczne wyjaśnienie wszechświata. Bo po prostu nie udało się oszukać logiki.

Awans do pierwszej ligi

Kosmologia naukowa rozpoczęła swoją oszałamiającą karierę jako skromna gałąź astronomii, zajmująca się obiektami największymi i najdalszymi, czyli – w pierwszych dekadach XX w. – „mgławicami pozagalaktycznymi". Nagle jednak okazało się, że te wydają się oddalać od siebie we wszystkich kierunkach, a nowo powstała ogólna teoria względności opisała ten fakt jako przejaw globalnej ekspansji czasoprzestrzeni – zupełnie jak gdyby z każdą sekundą istnienia wszechświata sama jego przestrzeń stawała się coraz „rozleglejsza". Popularną metaforą przybliżającą to zjawisko jest nadmuchiwany balonik, którego powierzchnia z każdą chwilą rośnie. Gdy każdej chwili czasu przypisać liczbę opisującą „skalę" wszechświata w danym momencie, to czynnik ów, zwany technicznie czynnikiem skali, zdąża w przeszłości do zera. Wszechświat w pewnym momencie (obecnie szacowanym na 13,8 mld lat temu) wydaje się więc niemal dosłownie znikać.

Fizycy i astronomowie zostali więc skonfrontowani z pytaniem o powstawanie i pochodzenie wszechświata, znalazłszy się tym samym w jednej lidze z kapłanami, filozofami, teologami i ludowymi bajarzami. O ile jednak ci pozostali nie posługiwali się żadną ścisłą metodologią – poza wymogami Narracji – naukowcy nie mogli swobodnie odwoływać się do bytów o podejrzanym charakterze metafizycznym, jak stwórczy Chaos, tętniący od możliwości Bezkres czy Pierwsza Przyczyna. Naukowcy musieli znaleźć odpowiedź – choćby na pozór – naukową.

Urywający się w Wielkim Wybuchu łańcuch przyczynowo-skutkowy nie dawał tymczasem spokoju, a co bardziej nadpobudliwi teolodzy zaczynali triumfalnie wykrzykiwać, że oto znaleziono „naukowy dowód na Stworzenie". Tak rozpoczęła się długa, do dziś trwająca, zabawa w poszukiwanie „ostatecznych naukowych wyjaśnień wszechświata": takich, które z jednej strony wyjaśniają nie tylko cechy, ale i samo istnienie wszechświata, a z drugiej nie odwołują się do niczego, o czym nie mógłby mówić przyzwoity fizyk: a więc do niczego ponadnaturalnego. wszechświat wolno wyjaśniać tylko wszechświatem. Jak się nietrudno domyślić, spełnienie obu tych wymagań jednocześnie okazało się niemożliwe, a kosmolodzy zrekapitulowali ostatecznie w sto lat wszystkie etapy mitologicznych, filozoficznych i teologicznych poszukiwań ostatecznego wyjaśnienia.

A może jednak nieskończony?

Przez pewien czas grupa fizyków opierała się przed uznaniem, że odkryte przez Hubble'a powszechne rozsuwanie się galaktyk prowadzi z konieczności do istnienia w przeszłości Punktu Zero. Najbardziej trwały model kosmologiczny bez Wielkiego Wybuchu nosił nazwę modelu stanu stacjonarnego. Idea była taka, że przestrzeń wszechświata rzeczywiście nieustannie się rozdyma, jednak proces ten może trwać dowolnie długo:

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 11/2021
REDAKCJA: Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
PROJ. GRAF: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | NA OKŁADCE: ks. Michał Heller
ILUSTRACJA: Arkadiusz Hapka dla „TP"

PARTNERZY:
Kraków
Uniwersytet Jagielloński w Krakowie
znak
ZAiKS
Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie

jeśli Kosmos jest nieskończony, nigdy nie pojawi się problem z „brakiem miejsca”. Wyobraźmy sobie, że patrzymy przez małe okienko na wielką – tak dużą, że nie widzimy jej brzegów – kartkę papieru w kratkę. Kratki jednak stale się rozsuwają – tak że to, co było przed chwilą kwadratem o boku centymetra, teraz zajmuje całe moje pole widzenia. Zarazem jednak pomiędzy starymi liniami stale pojawiają się na bieżąco nowe, mniejsze kratki, a od czasu do czasu z pustej przestrzeni wyłaniają się też nowe cząstki materii, uzupełniając braki w rzednącej kosmicznej zupie. Ostatecznie więc, choć kosmiczna ekspansja nie ustaje, moje pole widzenia wygląda stale tak samo. Stąd „stan stacjonarny”. Obserwacje astronomiczne szybko wykluczyły ten model: nasz wszechświat ewidentnie przeszedł kiedyś przez fazę gorącej, gęstej plazmy, nie da się więc dziś utrzymywać, że jest on „wiecznie taki sam”.

Pojawiła się i naukowa wersja kosmologii cyklicznej: a co, gdyby pierwsze zdarzenie naszego wszechświata, zwane Wielkim Wybuchem, było jednocześnie ostatnim zdarzeniem poprzedniego wszechświata? Można by przecież wyobrazić sobie, że po fazie kosmicznej ekspansji dochodzi ostatecznie do katastroficznego zapadania się, wskutek którego wszystko zbiega się do punktu. Jednak wyrażenie tej wizji w postaci solidnej hipotezy okazuje się niełatwe. Amerykański fizyk Richard Tolman wykazał, że kolejne wszechświaty w takim nieskończonym cyklu muszą jednak nieznacznie się od siebie różnić, m.in. osiągając coraz to większy promień maksymalny – czyli ten rozmiar, jaki osiągają w momencie, gdy ekspansja zatrzymuje

Nieskończony regres to wizja zaskakująco rzadka: niemal wszystkie kultury uznają, że **świat miał swój początek.**

się i przechodzi w zapadanie się. Przed modelem wszechświata oscylującego stanęło więc widmo początku – skoro, patrząc w tył, natrafiamy na szereg coraz to mniejszych wszechświatów, to ostatecznie zdążają one ze swym rozmiarem do zera. Czyżby jednak znienawidzona przez fizyków, pachnąca już z daleka mirrą i kadzidełkami Pierwsza Przyczyna? Co więcej, obserwacje astronomiczne pokazały, że tempo ekspansji naszego wszechświata ani myśli spadać, a wręcz przyspiesza, i jego przyszłe zbiegnięcie się do punktu wydaje się dziś nieprawdopodobne.

Od czego jednak pomysłowość fizyków? Ot, choćby „konforemna kosmologia cykliczna” Rogera Penrose’a. Wizja ta opiera się niemal całkowicie na rozmaitych sztuczkach matematycznych, dzięki którym Penrose’owi udało się utożsamić ze sobą początkowy stan wszechświata, gęsty i nieskończenie skurczony, ze stanem nieskończonego rozrzedzenia, do którego zdąża. Gdyby uwierzyć matematyce, daleka przyszłość i daleka przeszłość wszechświata byłyby dokładnie tym samym. Model Penrose’a ma też ważną zaletę: zrywa z naiwnym wyobrażaniem sobie Wielkiego Wybuchu jako geometrycznego punktu, co kusiło w pierwszych latach kosmologii, ale dziś jest już matematycznie nie do obronienia.

Niestety, i w tym przypadku okazało się, że kolejne „cykle czasu” uparcie nie chcą być całkowicie ze sobą identyczne, a najwięcej kłopotów przynosi druga zasada termodynamiki. Zgodnie z owym fundamentalnym prawem Kosmosu, poziom uporządkowania świata stale maleje, co oznaczałoby, że w przeszłości czyha na nas stan maksymalnego uporządkowania. Choć Penrose zaproponował wstępnie kilka strategii mających unieważnić ten problem, żadna z nich nie przegnała całkowicie z jego modelu widma Początku.

Z próżni powstałeś

Skoro nie da się pokonać wroga, pozostaje się do niego przyłączyć: czy dałoby się stworzyć naukową wersję Początku? Kosmolodzy przeczuwają chyba jednak, że próba domknięcia historii wszechświata czymś, co autentycznie wyjaśnia jego istnienie, a z drugiej strony nie wyprowadza nas poza fizykę, jest żądaniem wygórowanym, bo powstało tylko kilka proponowanych na serio modeli tego typu. Warunki techniczne, jakie musiałyby one spełniać, przeanalizował chiński fizyk Wu Zhongchao, uczeń Stephena Hawkinga. Jeden z nich głosi, że model taki powinien być „samozwarty” (ang. *self-contained*) – to z niego samego muszą wynikać wszystkie niezbędne właściwości wszechświata, czyli tzw. „warunki brzegowe”: to wszystko, co zwykle musi umieszczać w równaniach ręcznie człowiek. Wszelki wkład „z zewnątrz”, jak zadane przez fizyka parametry liczbowe modelu albo opis początkowego ↦

REKLAMA

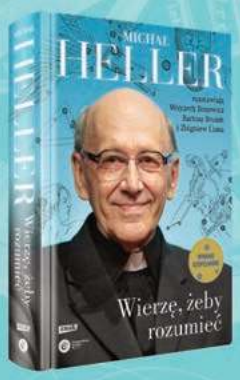

Od dzieciństwa na Sybirze
po czerwone dywany Pałacu Buckingham

Poznaj fenomenalny świat wybitnego kosmologa!

Z Michałem Hellerem o jego drodze życiowej rozmawiają Wojciech Bonowicz, Bartosz Brożek i Zbigniew Liana

Specjalny numer na 85. rocznicę urodzin ks. Michała Hellera!

Miesięcznik „Znak” pyta wybitnego kosmologa o sekularyzację i ateizm, współczesny obraz Boga, problem istnienia zła i kryzys w Kościele!

Dla czytelników „Tygodnika Powszechnego” przy użyciu kodu **TYGODNIK20** rabat -20% na zakup specjalnego numeru miesięcznika „Znak” na znak.com.pl

-20%

stanu świata, oznaczałby, że i sam świat opisywany przez ten model musiałby zostać uzupełniony o coś „z zewnątrz": czy to przez (a kysz!) Kogoś, czy to przez kolejny, jeszcze bardziej fundamentalny obiekt fizyczny – co z kolei pcha nas w odmęty nieskończonego regresu.

Jedną z najsłynniejszych prób opisania „powstawania wszechświata z niczego" jest model Hartle'a–Hawkinga. Opiera się on na kilku kreatywnych postulatach. Po pierwsze, na możliwości opisania całego wszechświata przy pomocy pojęcia „funkcji falowej", służącego tradycyjnie w fizyce kwantowej do opisu stanu jakiegoś konkretnego, wybranego do analizy układu. Tradycyjnie, funkcja taka może więc obejmować tylko określony zbiór obiektów fizycznych, na przykład wędrującą w przestrzeni cząstkę albo ich zbiór. James Hartle i Stephen Hawking opisali „funkcję falową wszechświata" – hipotetyczny obiekt matematyczny będący reprezentacją nie tylko „zawartości" Kosmosu, ale i całej jego ewoluującej czasoprzestrzeni.

Po drugie, zaproponowali, że do opisu takiego obiektu można zastosować pewną technikę, zwaną technicznie całkowaniem po drogach, a służącą do obliczania prawdopodobieństwa zajścia jakiegoś procesu. Za pomocą całkowania po drogach, przykładowo, można wyznaczyć prawdopodobieństwo, że jakaś cząstka znajdująca się obecnie w stanie A znajdzie się za jakiś czas w stanie B. W modelu Hartle'a–Hawkinga opisane jest wyrażenie na prawdopodobieństwo, że nastąpiło przejście do funkcji falowej naszego wszechświata ze stanu „pustego" – minimalnego wyobrażalnego stanu „wszechświata", w którym nie ma nic. Gdyby wyrażenie to miało wartość większą od zera, oznaczałoby to, że wszechświat mógłby wyłonić się z „niczego".

Tempo ekspansji wszechświata przyspiesza.
Jego przyszłe zbiegnięcie się do punktu wydaje się dziś nieprawdopodobne.

Pytanie bez odpowiedzi

Hawking przez długie lata utrzymywał, że model ten stanowi najlepszą kartę przetargową fizyków w rozmowach o powstaniu świata, a w swojej książce „Wielki projekt" ogłosił wręcz, że dzięki niemu możemy w końcu uwolnić się od filozofii i teologii. Ba, odwołał się tam wprost do pytania Leibniza, uważając, że jego „funkcja falowa wszechświata" stanowi na nie odpowiedź.

Jest to oczywiście nieporozumienie. Zauważmy, że „stan pusty" w modelu Hartle'a–Hawkinga nie jest metafizyczną nicością, a raczej najprostszym możliwym stanem („stanem podstawowym") opisywanym przez określony zestaw praw fizyki – te zaś muszą oczywiście obowiązywać, aby w ogóle można było mówić o zajściu opisywanego przez ów model przejścia. W najlepszym razie mowa więc o zapisaniu pierwszego zdania na pustej kartce, jednak zarówno kartka, jak i tusz, pióro oraz struktura języka, w którym jest wyrażone to zdanie, muszą już zawczasu istnieć. Nie jest też spełniony warunek samozwartości opisany przez Wu: funkcja falowa wszechświata nie przewiduje swoich własnych właściwości ani swojego własnego istnienia. Wciąż nie pada więc odpowiedź na pytanie, dlaczego świat jest taki, a nie inny, ponadto dlaczego w ogóle miałyby istnieć funkcje falowe, całki, prawdopodobieństwa, wielkości, jakości i w ogóle cokolwiek.

Pytanie Leibniza – oczywiście – nie otrzymało więc odpowiedzi za sprawą jakiegokolwiek fizycznego modelu „kreacji z niczego", podobnie jak odpowiedzi nań nie znajdziemy w filozofii, mitologii i teologii. Zupełnie jak gdyby odpowiedź na to pytanie w ogóle nie była możliwa. Zacytujmy może jedno z ostatnich zdań „Traktatu logiczno-filozoficznego" Wittgensteina, które wystąpiło też jako ostatnie zdanie książki Hellera o ostatecznych wyjaśnieniach wszechświata. „Nie to, j a k i jest świat, jest tym, co mistyczne, lecz to, ż e jest (teza 6.44)".

© ℗ ŁUKASZ LAMŻA

ŻYCZENIA I GRATULACJE

Czcigodny i Dostojny Księże Profesorze, Drogi Michale!

Z okazji tak pięknych urodzin należy Ci składać dary i podziękowania raczej niż życzenia. W życzeniach bowiem zawierają się pragnienia życzącego, od życzenia jest zbyt blisko do oczekiwania. Tymczasem to, co my dostaliśmy od Ciebie, przekracza nasze oczekiwania. Mosty, które rozpiąłeś pomiędzy nauką a religią, pozwalają nam łączyć wiedzę i sens oraz bronić się przed poczuciem absurdu, który nam towarzyszy, gdy ograniczamy się do przyziemnych jedynie obserwacji. Odczytując Boże zamysły obecne w strukturach świata, otwierasz przed nami nieskończone i zatykające dech w piersiach horyzonty, które są zarówno horyzontami bezkresnej drogi poznania, jak i horyzontami nadziei. Za to wszystko i za wiele wspaniałych książek – jesteśmy Ci głęboko wdzięczni.

Nie powstrzymamy się jednak od życzeń. Łazik Perseverance rozpoczyna eksplorację Marsa. Życzymy Ci, by Twoja myśl, której w przeciwieństwie do łazika nie ogranicza przestrzeń, nadal wytrwale biegła ku krańcom czasu i wszechświata, a nawet wykraczała poza nie, i żeby przynosiła nam owoce tych wędrówek w postaci kolejnych koncepcji, hipotez i odkryć, którymi tak hojnie potrafisz się dzielić!

Przyjaciele ze Znaku znak

ELLIOTT FRANKS / EAST NEWS

Central School of Ballet, Londyn, 21 marca 2017 r.

Trzeba słuchać matematyki

MICHAŁ ECKSTEIN

To ona jest najlepszym przewodnikiem na drodze do poznania praw przyrody. Ale niełatwo nauczyć się języka, którym przemawia.

Jedna z pierwszych książek Michała Hellera, która wpadła mi w ręce, nosi tytuł „Początek jest wszędzie". Wbrew pozorom nie jest to traktat teologiczny, ale dość zaawansowany przewodnik po fundamentalnej fizyce. Pełno w nim magicznie brzmiących słów, takich jak repery, wiązki włókniste, grupoidy czy algebry von Neumanna. Taki opis świata jest diametralnie inny od tego, który poznajemy w szkole. Zamiast opowiastek o naładowanej kuleczce krążącej wokół jądra atomowego, pojawia się ściśle matematyczna definicja elektronu jako wektora w nieskończenie wymiarowej przestrzeni Focka. Zrozumiałem wtedy, że matematyka to złoto dla zuchwałych. Pozwala głębiej wniknąć w strukturę świata, ale wymaga odwagi, no i ciężkiej pracy.

Za głosem równań

Każdy początkujący student kierunku ścisłego szybko przekonuje się o tym, że matematyki nie da się nauczyć w dzień przed egzaminem. Można dziesięć razy przeczytać definicję pochodnej, ale nie sposób jej zrozumieć, dopóki nie policzy się czegoś samodzielnie przy jej użyciu. Nauka matematyki wymaga systematyczności. Metoda Michała Hellera jest prosta: codziennie po trochę, żeby się umysł nie odzwyczaił. Najlepiej z rana, zanim zmęczenie zacznie mącić precyzję myśli. Również w niedziele, bo przecież matematyka to przyjemność, a nie obowiązek!

Przed moim pierwszym wyjazdem naukowym z Michałem Hellerem i jego współpracownikami zostałem ostrzeżony, że działają metodą „długich seminariów". Polega to na tym, że spotykamy się w sali z dużą tablicą i jedna osoba zaczyna referować to, czego się ostatnio nauczyła. Gdy dotrzemy do konkretnego problemu, zaczynamy wspólnie liczyć. Bywało, że takie sesje przy tablicy trwały nawet 3-4 godziny bez przerwy. Po obiedzie krótka drzemka i spacer, a potem kolejna runda, z przerwą na kolację, nieraz do godz. 22.

Podczas jednego ze spotkań naukowych w Pasierbcu pod Limanową – tradycyjnym miejscu naszych zebrań – obliczenia utknęły w martwym punkcie. Nie wiedzieliśmy, jak interpretować wynik i w którą stronę iść dalej. W trakcie burzy mózgów Heller powiedział: „Trzeba posłuchać matematyki". Rzeczywiście, przyjrzeliśmy się jeszcze raz strukturze badanych równań i doszliśmy do wniosku, że nasze pierwotne założenia z nią nie współgrają. Musieliśmy się wycofać i zaatakować problem z innej strony.

To metodologiczne przykazanie Hellera wielokrotnie okazało się bardzo ↦

↦ przydatne. Jego podstawowy aspekt zasadza się na tym, że matematyki nie można oszukać. Kiedy przyjdzie nam do głowy jakiś rewolucyjny pomysł, naukowy czy nie, często ulegamy pokusie uznania go za prawdę, nie trudząc się, żeby sprawdzić spójność argumentów. Trzeba niemałej pokory, żeby przeanalizować ścisłość własnego rozumowania i, w razie konieczności, wrócić do punktu wyjścia.

Hellerowe „słuchanie matematyki" ma też jednak aspekt filozoficzny. Zakłada ono bowiem, że matematyka jest nie tylko językiem opisu świata, ale również zasadą jego działania. Słuchając matematyki, możemy dotrzeć do prawdy o świecie – lub chociaż przybliżyć się do niej. Taki pogląd jest mocno ugruntowany przez historię nowożytnej fizyki. Sam Albert Einstein przyznał w 1933 r. w trakcie wykładu na Uniwersytecie Oksfordzkim, że jakkolwiek eksperyment pozostaje ostatecznym kryterium użyteczności danej matematycznej konstrukcji (pozwala rozstrzygnąć, czy dana teoria fizyczna wyrażona w języku matematycznym poprawnie opisuje jakieś zjawisko), to jednak prawdziwie twórcza siła tkwi w samej matematyce. To właśnie struktury matematyczne musimy badać, by odkrywać prawdy o wszechświecie.

Poza tym wsłuchiwanie się w matematykę potrafi sprawiać ogromną przyjemność. Odkrycie nowej melodii czy wyłapanie subtelnej modulacji w już znanym utworze daje nie lada satysfakcję. Co więcej, dokładne wsłuchiwanie się stanowi inspirację do tworzenia własnych dzieł. Analogia między muzyką a matematyką jest dość bliska – w obu przypadkach dzieło ma charakter artystyczny i niepowtarzalny, ale tworząc je, trzeba trzymać się ścisłych reguł harmonii, by uniknąć kakofonii.

Geometria wszechświata

Formalnie Heller jest filozofem – i takie wykształcenie odebrał w seminarium. Jednak fizyka i matematyka zawsze leżały w kręgu jego zainteresowań. Choć uczestniczył on jako wolny słuchacz w studiach z fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, to jest przede wszystkim samoukiem. Od początku swojej kariery naukowej przyswoił niezliczoną ilość podręczników akademickich z różnych dziedzin matematyki.

Pierwsza była geometria różniczkowa. A to dlatego, że zapewnia ona matematyczny formalizm ogólnej teorii względności Einsteina, która z kolei jest podstawą nowoczesnej kosmologii. Doktorat Michała Hellera, obroniony w 1966 r. na KUL-u w dziedzinie filozofii, traktował o seryjnych modelach wszechświata. Był on na tyle zmatematyzowany, że na recenzenta powołano wybitnego fizyka relatywistę, prof. Andrzeja Trautmana.

Analogia między muzyką a matematyką jest bliska.

W obu przypadkach dzieło ma charakter artystyczny i niepowtarzalny, ale tworząc je, trzeba trzymać się ścisłych reguł harmonii, by uniknąć kakofonii.

Jednak sama geometria różniczkowa szybko przestała Michałowi Hellerowi wystarczać. A to za sprawą osobliwości – tajemniczych obszarów, w których załamuje się czasoprzestrzeń. Twierdzenia Hawkinga–Penrose'a pokazują, że osobliwości zawsze pojawiają się we wnętrzu czarnych dziur, a także jako stan początkowy w modelach kosmologicznych. Jedno wiadomo na pewno o tych tajemniczych obiektach – standardowe narzędzia geometrii różniczkowej nie są w stanie ich opisać.

To zaprowadziło Michała Hellera do tzw. przestrzeni różniczkowych wprowadzonych do literatury przez warszawskiego matematyka Romana Sikorskiego. Posługiwanie się tą strukturą wymaga wejścia na wyższy poziom abstrakcji i oswojenia się z koncepcją algebr funkcyjnych. Oferują one, miast klasycznego spojrzenia na przestrzeń złożoną z punktów, perspektywę globalną, w której podstawowymi obiektami są funkcje na (czaso)przestrzeni. Michał Heller nie tylko zaprzągł przestrzenie różniczkowe do budowania nowych modeli kosmologicznych, ale zaczął – we współpracy z matematykami z Politechniki Warszawskiej – twórczo je rozwijać od strony czysto matematycznej.

Choć kosmologia stanowiła główny obszar zainteresowań badawczych Hellera, nie zapominał on o fizyce mikroświata. Wniknięcie w ten obszar świata wymaga znajomości mechaniki kwantowej, która opiera się na zupełnie innych strukturach matematycznych niż te stosowane w ogólnej teorii względności. W wolnych chwilach douczał się zatem teorii przestrzeni Hilberta i algebr operatorowych.

„Zróbmy to nieprzemiennie"

W połowie lat 90. wspomniany już prof. Trautman zaprosił Michała Hellera do wygłoszenia seminarium na temat jego modeli kosmologicznych. Spodobało mu się nowatorskie podejście do problemu osobliwości, ale zasugerował, żeby spróbować „zrobić to nieprzemiennie". Rzeczywiście, podówczas prężnie rozwijała się nowa dziedzina matematyki, tzw. geometria nieprzemienna, mająca na celu uogólnienie klasycznych pojęć geometrycznych na abstrakcyjne algebry operatorów. Hellera nie trzeba było dwa razy namawiać i zabrał się do studiowania literatury, w szczególności monumentalnego dzieła „Geometria nieprzemienna" autorstwa Alaina Connesa, laureata Medalu Fieldsa.

Owocem tych studiów Michała Hellera i jego warszawskich współpracowników był model grupoidowy czasoprzestrzeni. Wpisuje się on w poszukiwania kwantowej grawitacji – świętego Graala fizyków – teorii, która połączy w sobie mechanikę kwantową z ogólną teorią względności. Model grupoidowy ma szereg ciekawych własności, m.in. mechanizm wyłaniania się Einsteinowskiej czasoprzestrzeni z pewnej głębszej struktury, w której pojęcie czasu, a nawet punktu traci swój zwykły sens. Choć ten model pozostał w fazie prototypu i nigdy nie zyskał takiej popularności jak konkurencyjne podejścia, np. teoria strun czy pętlowa kwantowa grawitacja, to zawiera on sporo nowych inspirujących koncepcji. Jego podstawowym celem była unifikacja fizyki, czyli odnalezienie struktury matematycznej na tyle bogatej, że zarówno klasyczna geometria różniczkowa, jak i kwantowy rachunek operatorowy będą jej szczególnymi przypadkami.

Zapytałem kiedyś Michała Hellera, skąd właściwie wziął się pomysł na model grupoidowy. Odpowiedział tak: „Czytałem książkę Connesa i ni w ząb nic z tego nie rozumiałem! Aż w rozdziale

drugim natrafiłem na definicję grupoidu. Pomyślałem, że to się bardzo dobrze nada do modelowania symetrii relatywistycznych, i zaczęliśmy drążyć temat".

Heller z pewnością nie był jedynym, który połamał sobie zęby na monografii Connesa. „Geometria nieprzemienna" jest książką genialną i inspirującą, ale zupełnie niestrawną do studiowania, nawet dla doświadczonych matematyków. Wśród geometrów nieprzemiennych krąży powiedzenie, że najprostsza metoda na napisanie doktoratu z tej dziedziny to otwarcie książki Connesa na dowolnej stronie i próba zrozumienia wszystkiego, co tam jest napisane.

Ostatecznym kryterium użyteczności danej matematycznej konstrukcji jest eksperyment, ale prawdziwie twórcza siła tkwi w samej matematyce. **To w niej ukryte są prawdy o wszechświecie.**

Kategorie, logiki, znaczenia

W listopadzie 2019 r. odbyła się 23. Krakowska Konferencja Metodologiczna pt. „Czy logika jest zmienną fizyczną?". Tytułowe pytanie pochodzi od Michała Hellera i dobrze obrazuje szerokość jego naukowych perspektyw. Nie jest to bynajmniej czcza spekulacja filozoficzna, ale bardzo konkretna kwestia dotycząca zastosowań teorii kategorii w fizyce. Ta specyficzna dziedzina tropi zaskakująco bliskie nieraz związki pomiędzy całymi, pozornie odległymi od siebie, działami matematyki. Co więcej, teoria kategorii rzuca nowe światło na same podstawy matematyki i zapewnia dużo większe możliwości niż stara teoria zbiorów nadszarpnięta przez paradoksy („zbiór wszystkich zbiorów nie jest zbiorem"). W szczególności, każda kategoria specjalnego typu (tzw. topos) posiada wewnętrzną logikę. Być może zatem, rozumuje Michał Heller, uprawiając fizykę, musimy być przygotowani na zmianę logiki w zależności od tego, na jakiej skali rozważamy zjawiska?

W trakcie naszego ostatniego spotkania Heller tłumaczył mi z przejęciem, dlaczego teoria kategorii pozwala uwolnić się od dualizmów, które – choć uwielbiane przez filozofów ze względu na swoją moc klasyfikującą – przeszkadzają w patrzeniu na świat jako na całość. Takie podejście rzuca nowe światło na stary problem filozoficzny dotyczący natury „znaczenia". Pokazuje ono, że syntaktyka i semantyka są ściśle ze sobą powiązane i nie sposób wyprowadzić jednej z drugiej, wbrew temu, co utrzymuje wielu filozofów. Następnym krokiem ma być ścisłe wyodrębnienie takich teorii matematycznych (tj. ich podkategorii), które mają sens fizyczny. Perspektywa jest więc niebagatelna: celem byłoby wyjaśnienie, jak i dlaczego matematyka „staje się światem", i dlaczego właściwie abstrakcyjne obiekty, jak repery czy wiązki włókniste, tak zaskakująco dobrze opisują otaczający nas świat przyrody.

© MICHAŁ ECKSTEIN

ŻYCZENIA I GRATULACJE

Wielebny
ks. prof. Michał Heller

Wielebny Księże Profesorze,

Świętujemy kolejny wielki urodzinowy jubileusz Wielkiego Człowieka nieodłącznie związanego z naszym miastem. Z przebogatego dorobku Księdza Profesora nieustająco czerpią kolejne pokolenia poszukiwaczy odpowiedzi na najtrudniejsze pytania związane z naszym miejscem we wszechświecie. Jest Ksiądz postacią niezwykłą, która inspiruje, uczy, wyznacza ścieżki myślenia, skłania do zadumy i głębokiej refleksji. Grono zafascynowanych wybitną pracą naukową i edukatorską Księdza Profesora z każdym rokiem rośnie.

W tej szczególnej chwili składam Księdzu Profesorowi najserdeczniejsze gratulacje. Życzę niezawodnego zdrowia i pogody ducha, a także pomyślności w dalszej działalności badawczej i we wszelkich podejmowanych dziełach – mimo tego trudnego czasu, jakiemu wszyscy stawiamy dziś czoła.

Z wyrazami najgłębszego szacunku,

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa

Z okazji 85. urodzin ks. Michała Hellera

„Nauka daje nam Wiedzę, a religia daje nam Sens".

Tymi słowami Jubilat, 85-letni **ks. prof. Michał Heller**, tłumaczy, w jaki sposób religia i nauka się uzupełniają.

Fizyk, filozof, kosmolog i teolog, **ks. Michał Heller** jest naukowcem zajmującym się badaniem tajemnic wszechświata, związków między naukami przyrodniczymi a religią. Jego wybitne osiągnięcia, dar przybliżania tego, co nieznane, niezrozumiałe, umiejętność popularyzowania nauki docenili fundatorzy Nagrody Templetona, przyznawanej za pokonywanie barier między nauką a religią. Wyróżnienie przyznane mu w 2008 roku laureat przeznaczył na utworzenie Centrum Kopernika w Krakowie, placówki prowadzącej interdyscyplinarne badania w dziedzinach nauki i teologii.

Jest przykładem człowieka czującego nieustanny głód wiedzy, stawiającego pytania i poszukującego satysfakcjonujących odpowiedzi — a proces ten pozwala mu na zagłębianie się w coraz to nowe dziedziny nauki. Ma dyplom magistra teologii, studiował filozofię przyrody i fizykę, doktoryzował się rozprawą z kosmologii, na podstawie pracy z tej samej dziedziny uzyskał habilitację. Na początku lat 70. był wśród założycieli Krakowskiej Grupy Kosmologicznej. Na początku XXI wieku wspólnie ze środowiskiem warszawskich matematyków zaproponował model „nieprzemiennego wszechświata", opartego na tzw. geometrii nieprzemiennej.

Ks. prof. Michał Heller, członek honorowy Stowarzyszenia Autorów ZAiKS, jest laureatem kilkudziesięciu nagród i wyróżnień, doktorem honoris causa kilku uczelni, autorem kilkuset publikacji naukowych i książek. Z okazji 85. urodzin pozwalamy sobie przesłać Jubilatowi serdeczne życzenia zdrowia i dalszych naukowych odkryć. Gdyż, jak sam tłumaczył, „pytanie o sens człowieka jest częścią pytania o sens wszechświata, bo ostatecznie człowiek jest częścią wszechświata, jest jego produktem".

A zatem, drogi Księże Profesorze, przyjmij nasze podziękowania za tak mądre prowadzenie nas przez ten wcale nie prosty świat. Jesteśmy dumni i szczęśliwi, że nasze Stowarzyszenie może zaliczać Cię do swoich członków i przyjaciół.

Stowarzyszenie Autorów ZAiKS

ZAiKS

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Przez duże M

MATEUSZ HOHOL

Królowa nauk prowokuje do postawienia wielu pytań filozoficznych. W zmaganiach z nimi Michał Heller sformułował hipotezę matematyczności świata.

My, ludzie, potrafimy poruszać się po krainie abstrakcji, choć zbudowani jesteśmy z krwi i kości, a nasze mózgi wyewoluowały do radzenia sobie z praktycznymi trudami życia. Matematycy nie badają czegoś fizycznego – np. widocznych gołym okiem minerałów albo bakterii, których świat odsłoniły przed nami mikroskopy – jednak przedmiot dociekań matematyków zdaje się być czymś więcej niż wytworem fantazji. Wydaje się realny. Słynny angielski matematyk Godfrey Harold Hardy chełpił się tym, że jego odkrycia są czysto abstrakcyjne i nie mają ani nie będą miały najmniejszego praktycznego znaczenia. Jednak jak na złość znalazły one zastosowanie w fizyce, kryptografii oraz genetyce. Niektóre struktury matematyczne zdają się zatem „pasować" do świata, nawet wbrew intencjom matematyków, którzy jako pierwsi je opisali. Zadziwiony tym faktem matematyk i laureat Nagrody Nobla z fizyki Eugene Wigner stwierdził w słynnym eseju z 1960 r., że „cud odpowiedniości języka matematyki do wyrażania praw fizyki jest niezwykłym darem, którego nie rozumiemy i na który nie zasługujemy".

Matematyczny świat

Michał Heller, który sam wykorzystuje język matematyki, by odczytać księgę przyrody, nie zadowala się Wignerowskim „cudem". Chce zrozumieć to dopasowanie i je wyjaśnić. Jego zdaniem struktury matematyczne „pasują" do świata z konkretnego powodu – ponieważ świat jest matematyczny. Ta propozycja filozoficzna nazywana jest „hipotezą matematyczności świata". Na pozór brzmi to nieco tautologicznie, ale to wrażenie znika, jeśli przyjrzymy się bliżej samej hipotezie. Heller przedstawia ją tak: „światu należy przypisać cechę, dzięki której szczególnie skutecznie można go badać za pomocą metody matematycznej. Świat posiada więc racjonalność szczególnego typu – typu matematycznego".

Można jednak polemizować: świat nie musi być matematyczny, może być jedynie matematyzowalny, czyli podatny na opis za pomocą pewnych struktur matematycznych. Gdyby tak było, wciąż bylibyśmy w punkcie wyjścia. Zdaniem Hellera nie ma jednak matematyzowalności świata bez jego matematyczności. Dlaczego?

Heller proponuje, byśmy wyobrazili sobie świat całkowicie niematematyczny, czyli taki, w którym nie obowiązują żadne zasady matematyki i logiki. Świat taki byłby wewnętrznie sprzeczny, podczas gdy dla wielu matematyków i filozofów minimalnym warunkiem istnienia czegoś jest niesprzeczność. Innymi słowy: świat całkowicie niematematyczny nie mógłby istnieć, a matematyczność świata jest czymś więcej niż wyjaśnieniem Wignerowskiego „cudu". Jest warunkiem istnienia.

A co ze światem, który byłby matematyczny, ale leżąca u jego podstaw matematyka byłaby niezwykle skomplikowana albo wręcz chaotyczna? Wyobraźmy sobie choćby świat, w którym siła grawitacji w pewnym zakresie spada z kwadratem odległości, jak w naszym świecie, w innym zaczyna jednak rosnąć, w odległości zaś dokładnie miliona i pół kilometra dwa ciała masywne odpychają się; następnego dnia występują zaś zupełnie inne prawidłowości. Świata takiego nie można by „ścieśnić" w proste formuły, które określamy zwykle mianem praw przyrody (nie byłby to świat matematyzowalny – przynajmniej w praktyce). Niemożliwa byłaby zatem nauka – przynajmniej w tradycyjnym rozumieniu.

Zastanówmy się jeszcze, co by było, gdyby wyobrażony świat był już bardziej podobny do naszego, z tą tylko różnicą, że siła grawitacji pomiędzy dwiema masami działałaby odwrotnie proporcjonalnie do odległości pomiędzy ciałami podniesionymi do potęgi 1,999 (a nie, zgodnie z prawem Newtona, do potęgi drugiej). Różnica wydaje się minimalna, ale, jak zauważa Heller, jej konsekwencje byłyby poważne. W najlepszym razie ruchów planet nie można by opisać względnie prostymi formułami matematycznymi, ale możliwe również, że ruchów tych nie miałby kto opisywać, ponieważ Układ Słoneczny wyglądałby inaczej i na Ziemi mogłoby nie powstać życie. Wyobrażenie tych dwóch ostatnich możliwych światów poucza nas o tym, że matematyka „tworząca" nasz świat jest „niezłośliwa" (to określenie Hellera), tj. na tyle prosta, że poznać może ją ludzki umysł.

Budulec

Co jednak znaczy, że matematyka „tworzy" świat? Dobrze znana jest metafora Galileusza, zgodnie z którą przyroda to księga napisana językiem matematyki. Modyfikując (i uwspółcześniając) tę metaforę, Heller podkreśla, że matematyka jest językiem bardzo specyficznym – posiadającym moc sprawczą. „Jak wiadomo – mówił Heller w wywiadzie dla „Polityki" w 2004 r. – w komputerze znajdują się jakieś druty, półprzewodniki, płytki, czyli tzw. *hardware*. Podobnie obiekty, które można zobaczyć na niebie i zmierzyć, to *hardware* wszechświata – materia, z której wszystko jest zrobione. Ale cała ta maszyneria, komputerowa czy kosmiczna, nie miałaby sensu, gdyby nie było programu, *software*. Językiem Wszechświata jest matematyka, jego *software* jest pisany językiem matematyki". Sprawcza rola matematyki polega zatem na sterowaniu światem.

Stanowisko filozoficzne Hellera nawiązuje do tzw. realizmu matematycznego, głoszącego, że matematyka istnieje nie tylko „w głowach" uczonych oraz podręcznikach, ale jest czymś niezależnym od tych swoich przejawów. ↦

↦ Bądź to istniejącym w świecie (jak twierdził Arystoteles), bądź poza nim (ta koncepcja znana jest jako platonizm matematyczny). Heller wielokrotnie podkreślał, że działalność matematyka przypomina bardziej pracę podróżnika-odkrywcy niż inżyniera-wynalazcy. Matematyk niewątpliwie korzysta jednak z „fachowych narzędzi", czyli z notacji formalnej. Historia nauki uczy nas, że wiele odkryć matematycznych następowało wtedy, gdy uczeni nauczyli się rozszerzać swoje zdolności poznawcze za pomocą nowego sposobu zapisu symbolicznego. Aby to rozjaśnić, Heller mówi o matematyce przez małe m i duże M. Pierwsza jest wytworem człowieka. Natomiast „Matematyka przez duże M istnieje poza czasem, jest wieczna i niezmienna. Nie jest ona wyrażona za pomocą żadnych zapisów i symboli. Po prostu jest. Wszystko, co byłoby z nią sprzeczne, nie może istnieć. Wszystko, co istnieje, podlega jej logice. Jest ona rzeczywistością najbliższą Platońskiemu światu »boskich idei«".

Między Platonem a Kantem

Nawet jeśli zgodzimy się z Hellerem, że świat jest w istocie matematyczny, nie oznacza to, że cały Wignerowski „cud" jest już wyjaśniony. Nie wiadomo wciąż, w jaki sposób badacze poznają matematyczne oprogramowanie Wszechświata (Matematykę) przy pomocy wytworów ludzkiej kultury (matematyki). Do problemu można podejść stwierdzając, że matematykę abstrahujemy z otaczającego nas świata, który jest matematyczny. Jeśli tak, to matematyka i Matematyka korespondują ze sobą. O ile stanowiska takiego można by bronić w odniesieniu do matematyki elementarnej, mówiącej choćby o zliczaniu przedmiotów albo o ich kształtach, o tyle wyrafinowane struktury matematyki wyższej czy akademickiej, jak wiązki włókniste czy grupy symetrii, nie powstają poprzez uogólnianie obserwacji otaczającego nas świata. Hardy doszedł do swoich formuł na drodze czystej, swobodnej gry wyobraźni. Dopiero później zostały one „przyłożone" do przyrody.

Być może zatem nasz mózg posiada wrodzoną wiedzę matematyczną albo swego rodzaju dyspozycję do poznawania

Ławica barakud, Malezja, listopad 2018 r.

Matematyki? Niektórzy filozofowie, jak choćby Platon czy Kant, twierdzili, że człowiek wyposażony jest w intuicję matematyczną, która pozwala nam na przeprowadzanie wnioskowań matematycznych i dostrzeganie prawdziwości twierdzeń. Oczywiście między tymi myślicielami istniały spore różnice w poglądach. Kant twierdził z grubsza, że nasz umysł wyposażony jest we wrodzone kategorie czasu i przestrzeni, na których z kolei „nadbudowane" są arytmetyka i geometria, co sprawia, że postrzegamy świat jako matematyczny. Według Platona intuicja matematyczna to natomiast zdolność poznania intelektualnego, wiodąca umysł (będący czymś zupełnie innym od ciała, a nawet uwięzionym w nim) do osobnego i „prawdziwszego" świata – świata wiecznych idei.

Heller polemizuje z poglądem Kanta. Twierdzi, że kantyzm nie traktuje poważnie teorii ewolucji: jeśli matematyka jest wyposażeniem umysłu, to powinna mieć genezę ewolucyjną. Jeśli tak jest, to wciąż pozostaje pytanie o matematyczność ewolucji. Co więcej, o ile zgodnie z wynikami współczesnych badań można uznać, że istnieją pewne wrodzone intuicje dotyczące liczebności i geometrii (ludzkie niemowlęta i młode różnych gatunków kręgowców potrafią rozróżniać zbiory przedmiotów o różnej liczności oraz wykorzystać geometrię środowiska do orientacji przestrzennej), o tyle stwierdzenie, że przychodzimy na świat z umiejętnością uprawiania wyższej matematyki (albo nawet szkolnej arytmetyki) „w wyposażeniu podstawowym", byłoby psychologicznym nonsensem.

Może więc rację miał Platon? Platonizm jest zbiorem poglądów metafizycznych („co istnieje?") oraz epistemologicznych („jak to poznajemy?"). Być może wyposażeni jesteśmy w specjalną – niezależną od innych sposobów myślenia – zdolność poznawczą, umożliwiającą nam poznawanie istniejącej poza nami Matematyki? Choć, jak pamiętamy, Heller sympatyzuje z platonizmem, trudno nazwać go platonikiem w warstwie epistemologicznej. Jest on zbyt wytrawnym filozofem, by chodzić na skróty, powołując do istnienia tajemniczą „intuicję matematyczną", lub ignorować osiągnięcia nauk o poznaniu w wyjaśnianiu podstaw myślenia. Nauki te podważają zaś istnienie specyficznej dla poznawania matematyki władzy umysłu, w którą wierzą najbardziej radykalni platonicy.

Akt wiary

Heller patrzy więc z zaciekawieniem na kognitywne wyjaśnienia podstaw matematyki i podkreśla, że koncepcje filozoficzne powinny być przynajmniej niesprzeczne z odkryciami naukowymi. Ale trudno też nie zauważyć, że nadal brakuje wiarygodnego neurobiologicznie wyjaśnienia „rezonansu" między matematyką i Matematyką. Warto dodać, że Heller zarazem wielokrotnie wytykał przedstawicielom kognitywistyki przekraczanie granic własnej dyscypliny. Większość badaczy tego nurtu reprezentuje postawę antyplatońską, głosząc, że matematyka to ostatecznie wytwór mózgu i kultury, a co za tym idzie, bez mózgu i kultury nie byłoby *żadnej* matematyki.

W tej filozoficznej deklaracji kognitywistów nie ma oczywiście niczego złego. Koniec końców uznanie, że Matematyka jest istniejącym poza umysłem programem Wszechświata, to w najlepszym przypadku wspierany racjonalnymi argumentami akt wiary, a nie coś, co można przetestować empirycznie. Heller stanowczo twierdzi natomiast, że podpieranie antyplatońskiego stanowiska metafizycznego badaniami nad elementarnymi formami myślenia matematycznego to droga na skróty. Mówiąc bardziej precyzyjnie, o ile badania prowadzone przez kognitywistów można zastosować do krytyki platonizmu w warstwie epistemologicznej (a więc podważać można istnienie czegoś takiego jak specjalna intuicja matematyczna), o tyle stwierdzenie, że badania te „dowodzą" poprawności metafizyki antyplatońskiej, jest nadużyciem. Odkrycia naukowe pogodzić można bowiem z różnymi stanowiskami metafizycznymi. Twierdzi Heller przy tym, że same teorie naukowe nie tylko nie wyjaśniają stosowalności matematyki, ale również zakładają uprzednią matematyczność świata: „[E]wolucja wyposażyła nasz mózg w pewne umiejętności matematyczne, ale odkrywając strukturę naszego mózgu i sposoby jego funkcjonowania, możemy jedynie zrozumieć, jak w naszym mózgu powstają pojęcia matematyczne, ale nie jesteśmy w stanie wyjaśnić probabilistycznych strategii ewolucji (ponieważ mózg jest produktem ewolucji, a nie odwrotnie) i nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego prawa przyrody (...) są matematyczne".

Filozofia przez duże „F"

Hipoteza matematyczności świata była wielokrotnie przedmiotem burzliwych dyskusji. Filozofowie humanistyczni zadawali przewrotne pytanie o to, czy skoro świat jest matematyczny, to czy matematyczne są także zło i miłość – i jakie miałyby być tego konsekwencje metafizyczne i etyczne. Filozofowie nauki wskazywali, że sukcesy zastosowania matematyki w naukach empirycznych można wyjaśnić bez przyjmowania hipotez metafizycznych, czymś na kształt darwinowskiej selekcji teorii – uczonym udaje się znaleźć odpowiednie dla danego aspektu rzeczywistości fizycznej narzędzie matematyczne po wielu próbach, po odrzuceniu wielu nietrafionych narzędzi.

Wspomnieć można jeszcze, że hipotezę matematyczności świata można zaakceptować jedynie tymczasowo, jako rezultat wnioskowania do najlepszego w danym momencie wyjaśnienia (być może kiedyś ktoś wpadnie na lepszy pomysł wyjaśnienia „dopasowania" matematyki i świata). Od siebie dodam również, że metafora matematyki jako programu (*software*) dla materialnego wszechświata (*hardware*) ma poważne ograniczenia, ponieważ komputer wcale nie musi być wyposażony w jakikolwiek *software*, by można było nazwać go pełnoprawnym komputerem.

Paradoksalnie, w podatności na zarzuty tkwi siła stanowiska Hellera. Według filozofa Karla Poppera o naukowości jakiejś teorii świadczy możliwość obalenia jej na drodze testów empirycznych (to tzw. kryterium falsyfikowalności, które naukowcy powszechnie uznają za trafne). Zdaniem Hellera zaś, analogicznie, kryterium, jakie powinna spełniać dobra filozofia, jest dyskutowalność. Docenia on szczególnie nie te koncepcje filozoficzne, które tworzą niepodważalny system, ale takie, które podatne są na kontrargumenty. W tym sensie hipoteza matematyczności świata jest właśnie filozoficzną hipotezą: czymś, co domaga się krytycznej dyskusji i czerpie z niej owoce.

© MATEUSZ HOHOL

RICHARD CAREY / ADOBE STOCK

85.

Jedno wcielenie

PIOTR SIKORA

Obraz świata wyłaniający się z badań naukowych daleki jest od naszego potocznego odbioru rzeczywistości. Ale także taki obraz może być religijnie inspirujący.

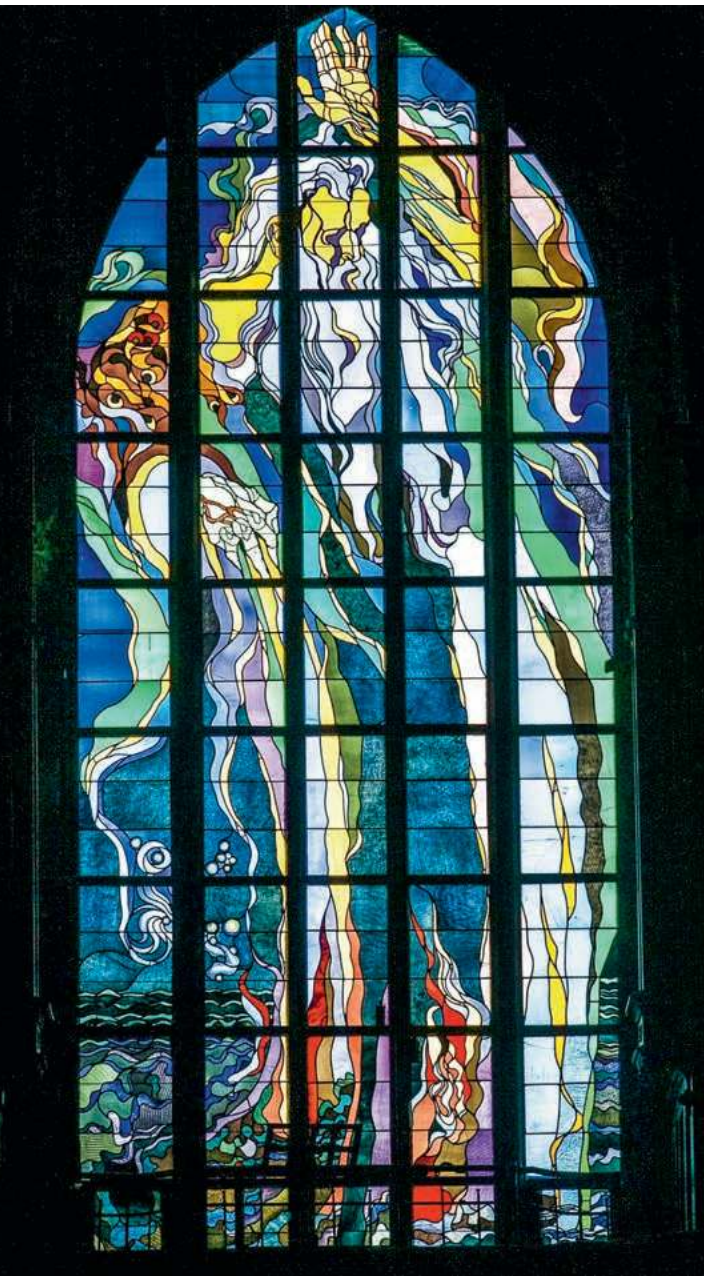

SZYMON BLIK / REPORTER

Stanisław Wyspiański, witraż „Bóg Ojciec" (1904 r.), kościół oo. Franciszkanów w Krakowie, wrzesień 2014 r.

Nauka i religijna wiara bywały w historii ze sobą w konflikcie. Któż nie słyszał o sprawie Galileusza? Łatwo też dotrzeć do wypowiedzi religijnych autorytetów potępiających teorię ewolucji. W XX w. konflikt może wydawać się zażegnany, przynajmniej jeśli chodzi o Kościół katolicki – pamiętamy, że papież Jan Paweł II przez kilkanaście lat zapraszał do letniej rezydencji w Castel Gandolfo naukowców na coroczne spotkania. Problem polega jednak na tym – o czym przypomina Michał Heller w swoich najnowszych książkach poświęconych teologii („Teologia i nauka. Niekoniecznie na jednej planecie" oraz „Ważniejsze niż wszechświat" – obie ukazały się w 2019 r.) – że brak konfliktu to jeszcze za mało, zwłaszcza gdy ten brak osiągnięty jest swego rodzaju unikiem, wycofaniem się w zupełnie różne przestrzenie intelektualne, które w ogóle na siebie nie wpływają.

Ks. Heller jest świadom, że ów unik – całkowite rozdzielenie badań naukowych i refleksji religijnej – bywa uzasadniany filozoficznie. Mówi się o niewspółmierności przedmiotu oraz metody nauki i teologii. Konflikty przeszłości interpretuje się – w tej perspektywie – jako wynik nieuprawnionego przekroczenia granic i wzajemnego wchodzenia na nie swoje terytoria.

Choć więc Heller przyjmuje argumenty metodologiczne, wskazujące na autonomię nauk przyrodniczych oraz refleksji teologicznej, to jednak przeciwstawia się zupełnemu oddzieleniu tych dziedzin. Co ciekawe, wysuwa w tym miejscu argumenty teologiczne: odwołuje się do podstawowej chrześcijańskiej prawdy, że Bóg jest stwórcą świata i że – w konsekwencji – Jego dzieło może nam sporo o nim powiedzieć. Już starożytni, przypomina, mówili o dwóch Księgach zawierających informacje o Bogu: Księdze Objawienia i Księdze Przyrody.

Warto zatem – Heller jest konsekwentny – poznawać Księgę Przyrody. Czyta się ją zaś poprzez empiryczne, naukowe badania. Dopiero uwzględnienie ich wyników pozwala człowiekowi religijnemu na krok drugi – teologiczną refleksję nad tym, co świat mówi o Bogu. Projekt takiej refleksji Heller nazywa „teologią nauki" – dziedziną będącą dziś w powijakach, bez której jednak współczesna systematyczna myśl religijna będzie wybrakowana.

Co ogranicza nauka

Pierwsze szkice teologii nauki autorstwa Hellera są – jak on sam to podkreśla – prowizoryczne i wymagające znaczącego dopracowania. Niemniej jednak, są na tyle ciekawe i ważne, że warto się nad nimi zatrzymać.

Pierwsze wyzwanie, które tu czeka na teologa, ma naturę negatywną. Chodzi o to, że uwzględnienie wyników badań naukowych nad światem przyrody wyklucza pewne sposoby interpretacji tekstów biblijnych. Nie da się, z czym się już w kręgach kościelnych oswojono, rozumieć opisów stworzenia świata jako dosłownej, historycznej relacji. Trzeba rozpoznać ich poetycko-symboliczne znaczenie. Podobnie rzecz ma się jednak z historią człowieka. Raj, Adam i Ewa, grzech pierworodny nie mogą odnosić się do żadnego punktu w czasoprzestrzeni, żadnej ludzkiej pary, żadnego konkretnego zdarzenia. Biblijne fragmenty, które o tym wszystkim mówią, muszą mieć zatem sens inny. Jaki? Nauka już tego nie powie. Jej znajomość zamyka pewne ścieżki teologicznego myślenia, otwiera jednak nowe.

Podobny efekt, wskazuje Heller, ma znajomość współczesnej logiki. Od starożytności jeszcze do niedawna sądzono, że istnieje jedna logika, a jedną z jej podstawowych zasad jest zasada niesprzeczności (głosi ona, że każde zdanie sprzeczne jest zdaniem fałszywym). Powstawały więc spekulatywne teologiczne teorie, które miały wiele do powiedzenia na temat „logiki Boga". Heller pokazuje, że współczesne badania logiczne sugerują raczej, iż jedna logika, „nadrzędna" wobec wszystkich innych, nie istnieje. Jesteśmy raczej skazani na pluralizm logiczny, który dopuszcza także systemy, w których nie obowiązuje zasada niesprzeczności.

Ma to istotne konsekwencje dla rozważań teologicznych. Po pierwsze, zmusza do uznania istotnych ograniczeń w ludzkich możliwościach określania sposobu, w jaki myśli Bóg – po prostu nie możemy wiedzieć, jaka jest Boża logika. To zaś prowadzi do dalszych problemów – na przykład w dziedzinie teodycei, czyli prób pogodzenia przekonania o istnieniu dobrego Boga z doświadczeniem zła w świecie. Teologowie i filozofowie argumentowali tu bowiem, że Bóg stworzył najlepszy z możliwych światów. Przy czym to, jaki świat jest możliwy, miało wynikać z pewnych zasad logicznych, których nawet Bóg nie mógł przekroczyć. Skoro jednak – wskazuje Heller – nie wiemy, jakie zasady obowiązują na ostatecznym, boskim poziomie, nie możemy nic powiedzieć o tym, jaki świat jest możliwy, a jaki nie.

Teologia nauki – której projekt szkicuje Michał Heller – jest wyczulona na tajemnicę z innej jeszcze przyczyny. Współczesna nauka bowiem nie tylko coraz głębiej poznaje naturę świata empirycznego – jednocześnie odkrywa, po pierwsze, jak bardzo owa natura daleka jest od potocznych o niej wyobrażeń oraz, po drugie, jak wiele pozostaje wciąż nieodkryte. Rozpoznanie ludzkich ograniczeń poznawczych w odniesieniu do stworzenia wskazuje, że – tym bardziej – o takich ograniczeniach nie można zapomnieć, próbując poznawać Stwórcę.

Obraz i podobieństwo

Uwzględnienie obrazu świata, jaki wyłania się z badań naukowych w takich dziedzinach jak kosmologia czy mechanika kwantowa ma jednak także bardziej „pozytywne" efekty teologiczne. Przyjrzyjmy się kilku takim inspiracjom obecnym w myśli Michała Hellera.

Otaczają nas materialne przedmioty. Przywykliśmy do nich i wydaje się nam, że dobrze wiemy, czym są. Ale człowiekowi dociekliwemu nasuwa się pytanie „co to jest materia?". ↦

ŻYCZENIA I GRATULACJE

Wielce Szanowny Jubilacie,

z okazji 85. rocznicy urodzin w imieniu społeczności akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego składam Księdzu Profesorowi serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności oraz wyrazy najgłębszego szacunku.

Dorobek Księdza Profesora to ponad pół wieku czynnego życia badawczego, działalności naukowej i popularyzatorskiej dotyczącej relacji między nauką, filozofią i religią. Dla Uniwersytetu Jagiellońskiego jest Ksiądz Profesor niezwykłym Człowiekiem o wielkim intelekcie, dla którego nauka jest sensem i celem życiowych działań.

Szczególna więź łącząca Księdza Profesora z Uniwersytetem Jagiellońskim jest dla nas powodem do wielkiej radości i dumy. Jako pierwszy polski laureat nagrody Templetona, inicjator i założyciel Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych oraz doktor honoris causa naszej Uczelni wpisał się Ksiądz Profesor na stałe w długą historię Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale przede wszystkim w pamięć i serca wielu ludzi spotkanych zarówno na drodze naukowej, jak i pasterskiej posługi. Jako wybitny naukowiec oraz filozof wnikliwie i uważnie bada i opisuje Ksiądz Profesor relacje pomiędzy nauką, teologią i wiarą, pokazując, że możliwe jest połączenie tych różnych sfer oraz spokojny dialog pomiędzy nimi. Dla wielu pokoleń jest Ksiądz Profesor niezastąpionym Mistrzem, Nauczycielem oraz Autorytetem Moralnym wskazującym drogowskazy, którymi warto się kierować w różnych sferach życia.

Nie tak dawno temu, w 80. rocznicę urodzin Księdza Profesora, spotkaliśmy się w Akademii Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego w Krakowie, by wspólnie świętować ten wspaniały jubileusz. W tym wyjątkowym dniu, Uniwersytet Jagielloński miał możliwość po raz kolejny podziękować Księdzu Profesorowi za wszelkie zasługi, wręczając złoty medal „Plus Ratio Quam Vis". Dorobek naukowy i działalność publicystyczna są świadectwem, że dewiza „Więcej znaczy rozum, niż siła" towarzyszy Księdzu Profesorowi przez wszystkie lata ciężkiej i jakże owocnej pracy.

Postawa, mądrość i skromność Księdza Profesora są dla przedstawicieli społeczności akademickiej Uniwersytetu Jagiellońskiego źródłem niesłabnącej inspiracji oraz zachętą do podejmowania ciągłych działań na rzecz wspólnoty naszej Uczelni. Oby więcej było takich postaci jak Ksiądz Profesor, dla których prawda i uczciwość są najważniejszymi wartościami.

Prof. dr hab. Jacek Popiel
Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

↦ Odpowiedź, jaką podsuwa współczesna nauka, zmienia naszą perspektywę.

Materia bowiem to „zbiór pól fizycznych i ich wzajemnych oddziaływań. Kwanty pól, cząstki elementarne, bozony pośredniczące, zasady symetrii i ich łamania. Cząstka Higgsa, generująca masę. Generacja masy. Fale prawdopodobieństwa i układy równań, które tym wszystkim rządzą". Można powiedzieć, że im bardziej schodzimy w naukowym badaniu w głąb natury materii, tym bardziej widzimy tam coś, co przynależy raczej do sfery informacji, struktur racjonalnych: „Istnienie jest nierozerwalnie związane z niezmiernie skomplikowaną siecią struktur. Bardzo wiele z nich – może wszystkie? – daje się modelować matematycznie. Istnienie i racjonalność to dwa oblicza tego samego. Nie jest tak, że coś może istnieć, ale nie być racjonalne. Jeżeli jest nieracjonalne, jest niczym".

Takie ujęcie otaczającej nas rzeczywistości, zaczerpnięte z nauk empirycznych, pozwala Michałowi Hellerowi na formułowanie nie empirycznych już, ale teologicznych pytań: „Czy świadomość i wszystkie jej konsekwencje są tylko ubocznym produktem tej racjonalności, czy też najgłębszą jej podstawą? Nie chodzi o świadomość zakorzenioną w jakichś biologicznych lub fizycznych strukturach, lecz o świadomość zakorzenioną we wszystkim, co jest, a więc we wszystkim, co jest racjonalne. Moglibyśmy ją nazwać Nadświadomością lub Superświadomością, gdyby określenia »nad« i »super« nie były tak często nadużywane. Nie czyńmy zbyt szybkich porównań tej Świadomości z naszą świadomością. Nasza świadomość jest jedynie »obrazem i podobieństwem« tamtej".

Jeśli uznamy – konkluduje Heller – że świadomość jest podstawą racjonalności świata, jesteśmy blisko idei chrześcijańskiego Boga. Dzięki zaś przyjęciu naukowego obrazu świata otwiera się możliwość nowego ujęcia fundamentalnych prawd chrześcijaństwa. Na przykład takiego, które łączy wątek stworzenia i wcielenia. Początkowy stan wszechświata Heller określa mianem Stanu Alfa. Pisze o nim tak:

„Widzę Stan Alfa jako Wielkie Zacieśnienie – zacieśnienie niezmierzonego Pola Racjonalności, Logosu w najczystszej formie, do tego »podpola« racjonalnych struktur, które stało się prawami fizyki i dzięki któremu Wszechświat (lub wszechświaty) rozpoczął (rozpoczęły) przygodę istnienia. Najprawdopodobniej rozpoczęcie to nie było zanurzone w czasie. Może było zawsze, o ile »zawsze« bez czasu ma jakiekolwiek znaczenie.

I nastał świt – dzień pierwszy.

To było Pierwsze Wcielenie Logosu. Odwieczne Logos – nieskończone Pole Racjonalności – stało się ciałem Wszechświata – Wszechświata, który po miliardach lat wyda nas, istoty rozumne i świadome; nie tylko rzucą one wyzwanie racjonalności otaczającemu ich światu, ale także postawią pytania o dobro i zło".

Jeśli ktoś czułby się zaniepokojony takim ujęciem, może przypomnieć sobie fragmenty z pism Nowego Testamentu, w których czytamy, że wszystko zostało stworzone przez boski Logos (to wieloznaczne greckie pojęcie tłumaczone jest tradycyjnie jako „Słowo"; por. J 1, 1-3), albo że wszystko w Nim istnieje (por. Kol 1, 16-17). Przytoczone wyżej sformułowania autorstwa Michała Hellera pokazują, jak myśl teologiczna inspirowana dobrze poznanymi najnowszymi teoriami naukowymi współbrzmi z ideami zawartymi w Biblii. Co jeszcze ciekawsze – są to te idee biblijne, które dotąd nieczęsto były wydobywane i wykorzystywane w teologii. Można było odnieść wrażenie, że bibliści i teologowie stają się wobec nich nieco bezradni. Wydaje się, że to współczesna nauka – i obraz świata, który kreśli – pozwala na odnalezienie sensu starożytnych religijnych tekstów.

Inspirowane nauką ujęcie łączące stworzenie i wcielenie otwarte jest też na wyjaśnienie innych fundamentalnych kwestii religijnych. Także problemu zła i tajemnicy odkupienia. Pierworodną winą człowieka, według Hellera, jest wprowadzenie w racjonalny świat irracjonalności zła – i jest to kosmicznym „dramatem całego Logosu, jego Golgotą. Wzgórze o tej nazwie poza murami starożytnej Jerozolimy może było już tylko prostą konsekwencją...". Tu otwiera się nowa perspektywa spojrzenia na historyczną postać Jezusa Chrystusa:

„Ten problem [zła – przyp. PS] ma wymiar kosmiczny, ale także wymiar osobisty każdego indywidualnego człowieka. Logos stało się człowiekiem (to było Jego Drugie Wcielenie) właśnie dlatego, że ten wymiar kosmiczny jest także wymiarem człowieka – każdego człowieka.

Jak Pierwsze Wcielenie Logosu (poczęcie Wszechświata) było aktem Miłości, podobnie Drugie Wcielenie Logosu jest aktem Miłości. Dwa Wcielenia, które są tylko jednym Wcieleniem; jednym – bo każde z nich z osobna nie byłoby pełnym Wcieleniem. Może to jest jeden akt Miłości, tylko z naszego punktu widzenia rozdzielony w czasie".

Ziemski punkt widzenia

Pytać można: czy takie nowe ujęcia starych prawd są nam potrzebne? Nowy obraz świata wyłaniający się z badań naukowych sugeruje, że tak. Pozostańmy przy kwestii wcielenia Logosu. Jak zauważa ks. Heller, dotychczasowa teologia chrześcijańska patrzyła na to zagadnienie w perspektywie ściśle geocentrycznej. Można powiedzieć, że zdanie „Bóg przyszedł na świat" znaczyło dotąd: „Bóg przyszedł na Ziemię". Dopóki wydawało nam się, że to Ziemia jest w centrum wszechświata i dopóki nie przychodziło nam do głowy, że w kosmosie mogą istnieć inne inteligentne, samoświadome i wolne istoty – nie było tu problemu. Ale – jak przypomina Michał Heller – można szacować, że w tylko naszej galaktyce istnieje około 11 mld planet o wielkości zbliżonej do Ziemi i leżących w takiej odległości od swoich słońc, iż na planetach może występować woda w stanie ciekłym. Galaktyk zaś są tryliony. Jest zatem prawdopodobne, że nie jesteśmy we wszechświecie jedynym samoświadomym gatunkiem. Czy wolno nam twierdzić, że dobry Bóg wcielił się tylko u nas? A jeślibyśmy uznali, że wcielenie miało miejsce w wielu miejscach kosmicznej czasoprzestrzeni – jak zmieniłoby się nasze rozumienie chrześcijańskiej wiary?

Takie – i podobne – fascynujące pytania otwiera przed nami teologia nauki. Odpowiedzi jeszcze jest mało. Teksty Michała Hellera pokazują, jak szeroka przed nami przestrzeń myślenia.

©℗ PIOTR SIKORA

YOUTUBE / COPERNICUS CENTER

W drodze z mieszkania do kościoła. Tarnów, październik 2020 r.

W pogoni za sensem

JANUSZ MĄCZKA

Są takie miejsca, w których łatwiej napotkać na uporządkowane myśli, dźwięki i znaczenia. Jednym z nich jest mieszkanie ks. Hellera.

Gdy pytamy o sens – np. słowa, poznania, myślenia, życia, wartości, czy nawet o sens porządku i racjonalności – pojawia się odczucie, że niemal zawsze poruszamy się w przestrzeni tego, co sensowne. W końcu to my sami tworzymy i odkrywamy sens. Zaś działania bezsensowne, chaotyczne nie zmieniają naszego wewnętrznego przeświadczenia, że przebywanie w przestrzeni sensu jest i powinno być czymś doniosłym i pożądanym. W poszukiwaniu rozumienia sensu spróbujmy ruszyć tym tropem.

Michał Heller twierdzi, że pytając o sens, w końcu będziemy musieli sięgnąć aż do Logosu Świata – czyli rządzącej światem Myśli i Racjonalności. Sensy wyłaniające się z naszej przemijającej egzystencji nie wydają się być celami, które zaspokoją poszukiwania. Choć na najgłębszym poziomie łączą się one z Logosem. „Nasze istnienie – pisze Heller – jest ciasno wplecione w strukturę wszechświata. Powstało ono na mocy twórczości zakodowanej w jego prawach, rozwija się w czasie dzięki tkwiących w nim potencjalnościach i, spłacając tym potencjalnościom dług zaistnienia, powróci kiedyś do składowych elementów kosmicznej struktury". W tej perspektywie sens nie jest przypadkiem, nie jest szczepionką na choroby zagubionej egzystencji. Wyłania się jako coś głębszego – twórcza realizacja zamierzonej poza czasem Całości. Można oczywiście zapytać o sens odkrywanych teorii naukowych, prawidłowości świata. Nie można jednak się łudzić, że kiedyś Całość ujawni wszystkie swe tajemnice.

■ ■ ■

Każdy musi sam zdecydować, czy wybrać się na poszukiwanie sensu. Czy można i czy warto to robić. Odpowiedź jest trudna, bo każda droga jest indywidualna. Na tej drodze ważna jest nie tylko odwaga myślenia, ale potrzebne są miejsca, gdzie Sens (w różnych swych przejawach) jest obecny. To nie są sale wykładowe, to nie są ogromne aule konferencyjne, to nie wywiady, dyskusje, rozmowy. To Ja i Sens, to Ja i Myśl Wszechświata. Gdzie i kiedy można tego doświadczyć? „On jest w każdej naszej myśli, w każdym tchnieniu. W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy" (Dz 17, 28). W pogoni za sensem, pisze Heller, „chodzi o coś więcej. O dojrzenie Sensu i Myśli. Ten Sens i ta Myśl, to On sam. Niech świat nie będzie dla nas bezosobowym zbiorem rzeczy i procesów, lecz Jego obecnością".

Nie wystarczy być w jakiejś określonej lokalizacji, aby znaleźć sens, ale można zaryzykować stwierdzenie, że dla niektórych ludzi przestrzenie obecności Sensu są doświadczane w szczególnych „miejscach". To nie jest konkretny adres, do którego się dociera i wszystko staje się jasne. To miejsca, gdzie dokonuje się nadawanie sensu, jego urzeczywistnianie. Mówiąc inaczej: zachodzi swoiście rozumiany proces stwarzania, gdzie ujawnia się sens. „Stworzenie jest nadaniem sensu – pisze Heller. – (...) Zwłaszcza gdy uświadomimy sobie, że idea sensu wiąże się z ideami racjonalności, celowości, wartości. Jeżeli odwołać się do tradycyjnej tezy, że w Nim wszystkie jego przymioty i wszystkie Jego działania są tożsame, to racjonalność, celowość, wartości, są synonimami sensu, a każdy z tych przymiotów podkreśla inny aspekt Tego Samego (...). Istnienie, jakim On obdarza, jest sensem, wartością i urzeczywistnianiem celu".

■ ■ ■

Istnieje wiele miejsc – np. domów i mieszkań – które nie wyróżniają się niczym szczególnym. Z ich okien widać to samo, co z innych okien. Pokoje są podobne: z meblami, z regałami pełnymi książek i z kwiatami na parapetach. Jednak w tej wielości zwyczajnych mieszkań można znaleźć wyjątki. Każdą ↦

wyjątkowość tworzą zamieszkujący je ludzie. Mieszkanie ks. Michała Hellera jest takim właśnie wyjątkiem.

Można tam znaleźć pokoje, które wypełnia dziwny dźwięk. Jego źródłem są stosy książek. To dźwięk słów wiszących w powietrzu. Ich obecność ujawnia się w pięknie wypowiadanych zdań, w relacji z minionego wydarzenia, czy w zwykłej opowieści. Ich zrozumiałość, logiczność, treść tworzą i ujawniają wymiary sensu. Natręctwo wszechobecnych słów uniemożliwia obojętność, w tych dźwiękach jesteśmy obecni.

W kolejnym pokoju powietrze przesiąknięte jest zapachem pisania. Tu czuć, że się pisze, a pisanie ukazuje kolejne aspekty sensu. Wersja końcowa napisanego tekstu, którą można czytać, prowadzi do napychania głowy nowymi sensami. U niektórych czytających można zauważyć efekt przeładowania. Dostrzegane są słowa, a treść już się w głowie nie mieści.

Jeszcze inne pomieszczenie iskrzy pomysłami, modelami, wizjami. Niepokój twórczy to nic nowego. Tak nazywa się standardowe „łowienie sensów". Sieciami stają się wówczas: logika, filozofia nauki, a zwłaszcza odpowiednia matematyka. Złowione okazy mają najczęściej rangę międzynarodową.

Jedyna codzienność dosięgnie nas w kuchni. Chociaż jest ona obecna również np. na stoliku z listami czy w odbieranej, w jeszcze innym pokoju, poczcie elektronicznej. Jednak tak w kuchni, jak i w „komputerowym sanktuarium" trudno nie delektować się plotkami naukowymi czy dobrym dowcipem. Wprawny obserwator zauważy również walizkę z rzeczami, które stanowią przerywniki w pracy. Najczęściej otwierana jest ona wieczorem. Powieść, kryminał czy program z symulatorem lotów. Te przerywniki nie wprowadzają chaosu. One mają sens, bo uruchamiają inne obszary mózgu. Takie, gdzie racjonalność jest inna – ale też ważna.

■ ■ ■

Teraz właściwe staje się zadanie pytania: skoro doświadczyłeś niezwykłych przeżyć, to z czym wyjdziesz? Często odnosi się wrażenie, że zostały rozwiązane doniosłe kwestie. Jednak z czasem zauważamy, że właściwie zostaliśmy wprowadzeni na drogę, gdzie rozpoczęła się osobista pogoń za sensem. Mitem odkrywcy sensu będzie poczucie, że właśnie został on osiągnięty. Ludzie nauki dobrze rozumieją, że tym, co rzeczywiście osiągamy, jest aproksymacja Sensu. Ale przybliżanie się do Sensu, „pogoń za nim", daje zawsze odczucie odkrywania piękna, porządku i dobra.

Na koniec można podzielić się kilkoma radami dla ewentualnych gości. Wizyty niezapowiedziane to wprowadzanie w uporządkowaną przestrzeń sensów „czarnych dziur". To przeszkadza i może wywołać niepotrzebne rozproszenia. W wieku 85 lat poczucie ciszy i spokoju jest jednak potrzebne. Jeśli wizyta ma mieć sens, trzeba się przygotować. Doraźne tworzenie sensów to często strata czasu. Ale ostatecznie w to miejsce łatwo trafić, bo nad drzwiami do mieszkania ks. Michała Hellera jest, choć nie dla każdego dostrzegalny, napis: „Świątynia sensu".

© JANUSZ MĄCZKA

ŻYCZENIA I GRATULACJE

Czcigodny Jubilat ks. prof. Michał Heller

Rzeszów, 12 marca 2021 roku

Znamienity Księże Jubilacie,

w tym szczególnym dniu kłaniamy się Księdzu Profesorowi nisko i wyrażamy wdzięczność za odkrywanie przed nami piękna nauki. Niestrudzona aktywność Księdza Profesora motywuje nas nieustannie do stawiania sobie wyzwań w próbach rozumienia świata. Dla nas Jubilat będzie zawsze wzorem Człowieka dialogu, skutecznie budującego pomosty między nauką a religią. Szczycimy się faktem, że tak wybitny Uczony należy do grona Profesorów Honorowych naszej Uczelni, a możliwość współpracy z Księdzem Profesorem to dla nas wyróżnienie, zaszczyt i intelektualna satysfakcja.

W imieniu całej społeczności akademickiej Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, licznego grona mieszkańców Podkarpacia – słuchaczy wykładów prowadzonych przez Księdza Profesora w Rzeszowie – oraz swoim własnym składamy najserdeczniejsze życzenia dalszych sukcesów, niesłabnącej dociekliwości intelektualnej, a nade wszystko dobrego zdrowia. Życzymy także, by dalsza działalność naukowa Księdza Profesora była powodem osobistego zadowolenia i pełnej satysfakcji.

Czcigodny Księże Profesorze,

doniosła rocznica 85. urodzin to znakomita okazja, aby serdecznie podziękować Księdzu Profesorowi za otwartość, życzliwość i owocną współpracę. Mamy nadzieję na wiele kolejnych inspirujących spotkań.

Zapewniamy, że drzwi naszej Uczelni pozostają przed Księdzem Profesorem zawsze otwarte.

AD MULTOS ANNOS!

Z darem wdzięczności i uznania, pozostajemy z wyrazami szacunku,

Rektor
Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania
z siedzibą w Rzeszowie
dr Wergiliusz Gołąbek

Prezydent
Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania
z siedzibą w Rzeszowie
dr hab. inż. Tadeusz Pomianek, prof. WSIiZ

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

25 1996-2021
25 lat Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania z siedzibą w Rzeszowie

DUCH KOSMOSU

Kultura i nauka nie stoją wobec siebie w opozycji – to raczej dwie uzupełniające się narracje, które pomagają nam lepiej opisać i zrozumieć świat. Żyjemy w czasach kryzysu zaufania do autorytetów szeroko rozumianej wiedzy oraz słabnącej umiejętności krytycznego myślenia, na co najlepszym lekarstwem wydają się rzetelna edukacja i popularyzacja nauki. Takie przekonanie towarzyszyło narodzinom pomysłu na cykl spotkań „Wielkie Pytania w Nauce", które zorganizowane zostały z inicjatywy Tadeusza Pomianka, prezydenta Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania, oraz Wergiliusza Gołąbka, rektora tej uczelni. Pierwsza edycja cyklu miała miejsce w 2016 r. i od tego czasu do Rzeszowa regularnie zjeżdżają przedstawiciele świata nauki i kultury (byli to m.in. Jerzy Vetulani, Stefan Chwin, Krzysztof Jakowicz, Jerzy Bralczyk, Konstanty Andrzej Kulka), aby wspólnie rozmawiać o najważniejszych rzeczach kształtujących naszą rzeczywistość.

Jednak najczęstszym gościem na rzeszowskiej uczelni jest **MICHAŁ HELLER**, teolog, filozof i kosmolog, profesor honorowy WSIiZ, a także laureat jednego z najbardziej prestiżowych wyróżnień na świecie – Nagrody Templetona. Do tego członek Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego i Papieskiej Akademii Nauk, Polskiego Towarzystwa Fizycznego, Polskiego Towarzystwa Astronomicznego – wymieniać można bardzo długo, podobnie jak tytuły jego setek publikacji.

Zestawienie dyscyplin, którymi prof. Heller zajmuje się na co dzień, w pełni oddaje ideę cyklu „Wielkie Pytania w Nauce". Ten swoisty splot refleksji o duchu i materii pozwala spojrzeć na człowieka i zamieszkiwany przez niego wszechświat w sposób holistyczny, a przez to trafiający do każdego, kto tylko zechce się w niego wsłuchać. Najlepszym na to dowodem jest każdorazowo wypełniana po brzegi sala Filharmonii Podkarpackiej. Nic więc dziwnego, że części spotkań przeznaczone na zadawanie pytań i podpisywanie książek ciągną się godzinami.

Seria wykładów prof. Hellera w Rzeszowie rozpoczęła się już w 2009 r. Prelekcja „Czas człowieka – czas kosmosu" była opowieścią o kluczowym dla naszej egzystencji doświadczeniu, czyli wrzuceniu w bezwzględny i nieodwracalny nurt czasu. Prof. Heller, z typową dla siebie swadą i odwołując się do codziennych przykładów – np. kubka stygnącej herbaty – w zrozumiały dla laika sposób tłumaczył nawet najbardziej złożone problemy z zakresu fizyki i astronomii. Nie sztuką jest bowiem zamknąć się w hermetycznym języku nauki i patrzeć z pobłażaniem na maluczkich – mistrza poznać po umiejętności tłumaczenia (oczywiście niepozbawionego wyzwań dla słuchaczy), przy jednoczesnym włączaniu do dialogu osób z różnym zapleczem intelektualnym i bagażem doświadczeń.

Wykład „Od Wielkiego Wybuchu do Gułagu", Rzeszów, 18 listopada 2014 r.

Po czasie przyszła kolej na inne ważkie tematy. Jak wyglądał początek kosmosu? Dlaczego entropia jest naczelną zasadą wszechświata? Czy symetria muzyki da się przełożyć na język fizyki? Pytanie o przypadek – czy faktycznie naszym życiem rządzi losowość? I być może najważniejsze: jak pogodzić teologię z naukami ścisłymi?

Spotkania z prof. Hellerem to coś więcej niż okazja do poszerzania wiedzy – to święto myślenia, traktowanie nauki jako formy piękna. Właśnie dlatego osoby z publiczności często twierdzą, że miały poczucie uczestniczenia w czymś ważnym i doniosłym.

Wojciech Bonowicz, weteran w prowadzeniu spotkań z prof. Hellerem, podkreśla, że jest to rozmówca bardzo wdzięczny, ale i wymagający, bo zna się na wielu rzeczach, ale woli rozmawiać tylko o niektórych. A jego spokój ducha i poczucie humoru sprawiają, że niełatwo go podejść lub zaskoczyć.

Dotychczasowe spotkania z prof. Hellerem to skarbnica wiedzy, z której czerpać możemy wszyscy. Jednak tych, którym wciąż mało, uspokajamy – zostało jeszcze wiele tajemnic wszechświata do rozwikłania, a rzeszowska WSIiZ już planuje kolejne spotkanie z udziałem tego wybitnego uczonego.

Wszystkie wykłady i rozmowy z cyklu „Wielkie Pytania w Nauce", także te z udziałem Profesora Hellera, cieszą się niesłabnącą popularnością również w internecie. Potwierdzeniem tego jest już ponad 10 mln odsłon relacji filmowych, które dostępne są w całości i bezpłatnie na stronie **wielkiepytania.wsiz.pl**

W ramach obchodów 25-lecia powołania Uczelni, WSIiZ zainaugurowała w tym roku V edycję cyklu „Wielkie Pytania w Nauce". Jego partnerem strategicznym jest Miasto Rzeszów.

MATERIAŁ PROMOCYJNY / FOT. ROBIN HOLM / MATERIAŁY PRASOWE

NAUKA

MODELOWA WSPÓŁPRACA

W którymś momencie naszej ewolucyjnej historii ludzie stali się bardziej tolerancyjni dla obcych. Kluczową rolę w tej przemianie mogły odegrać pogarszające się warunki środowiskowe.

KASPER KALINOWSKI

STEVE SATUSHEK / GETTY IMAGES

Zachowanie, emocje ani charakter relacji społecznych nie przechowują się w skamielinach. To podstawowy problem, z którym muszą się zmierzyć psycholodzy, biolodzy ewolucyjni czy archeolodzy. Poszukując ewolucyjnych źródeł naszego zachowania, jesteśmy zdani na pośrednie dowody (np. odnalezione kamienne artefakty albo ślady walki na szkieletach), rozmaite przybliżenia oraz modele teoretyczne, które z konieczności nie mogą uwzględniać wszystkich czynników, jakie mogły wpływać na naszych przodków.

Odpowiednio złożone modele pozwalają jednak w pewnym stopniu testować ewolucyjne scenariusze i hipotezy. Jeden z takich modeli wykorzystał niedawno zespół naukowców kierowany przez Penny Spikins, archeolożkę z Uniwersytetu w Yorku. Przeprowadzona przez nich złożona symulacja komputerowa, opisana w „Journal of Archaeological Method and Theory", sugeruje, że kluczową rolę w pojawieniu się w naszym gatunku tolerancji wobec innych grup i szerokiej współpracy mogły odegrać trudne warunki środowiskowe.

Trzy tysiące agentów

Aby przetestować opłacalność współpracy międzygrupowej w paleolicie, zespół Spikins wykorzystał komputerową technikę modelowania agentowego (z ang. *agent-based modeling*). To interesujące narzędzie, które umożliwia modelowanie złożonych systemów, od jakiegoś czasu stosowane m.in. w archeologii do badania, w jaki sposób jednostki wchodzą z sobą w interakcje w danych warunkach środowiskowych i jakie wzorce zachowań się z nich wyłaniają. W ramach eksperymentu wygenerowano „pierwotną" populację 3 tys. osobników, przyporządkowanych do 160 grup, które zajęły pewien wirtualny obszar o zróżnicowanych zasobach. Każda z wirtualnych postaci miała określony wiek i płeć (wygenerowane losowo) i w każdej rundzie symulacji wykonywała rozmaite czynności: np. polowała, wchodziła w interakcje z członkami innych grup (tym częstsze, im grupy znajdowały się bliżej siebie), zużywała zdobytą żywność. Kolejne rundy symulacji powodowały starzenie się osobników, co zwiększało ryzyko ich śmierci. Młode kobiety mogły rodzić dzieci, o ile grupa dysponowała wystarczającą ilością zasobów; grupy rozpadały się (jeśli zostało w nich mniej niż czworo osobników) lub dzieliły na mniejsze (gdy populacja przekraczała 50 osób).

Najważniejsze w symulacji były dwie zmienne – strategia, jaką przyjmuje dana społeczność w kontaktach z innymi grupami, oraz warunki środowiskowe. Grupy mogły być „tolerancyjne" – takie chętnie dzieliły się zasobami z obcymi, jeśli tylko posiadały ich nadwyżkę – lub „unikające". W drugim przypadku nie wchodziły w żadne interakcje z obcymi społecznościami, nie licząc pośredniej rywalizacji o zasoby. Warunki środowiskowe pogrupowano na dziewięć poziomów trudności, od najłagodniejszych do najbardziej surowych i wymagających.

Zgodnie z oczekiwaniami, symulacja pokazała m.in., że surowe warunki środowiska promowały mniejszą liczebność grup. Ale co ciekawe, ten efekt w większym stopniu dotyczył grup stosujących strategie „unikające". Grupy kooperujące były w stanie utrzymać większą populację w trudnym środowisku. Miały one także ogólnie większe szanse na przetrwanie niż grupy „samolubne". Dzielenie się żywnością sprzyjało bowiem utrzymywaniu się w okolicy populacji, które kiedyś mogły odwzajemnić pomoc.

Efekt ten był najsilniejszy w umiarkowanie trudnych oraz trudnych warunkach środowiska. Gdy zasobów było wystarczająco dla wszystkich, korzyści z dzielenia się z innymi nie były takie ważne dla przetrwania komputerowych populacji. Gdy zaś warunki gwałtownie się pogarszały, koszty dzielenia się żywnością zaczynały równoważyć wynikające z niego zyski.

Udomowienie człowieka

Zdaniem autorów eksperyment ten pomaga lepiej zrozumieć zmiany, jakie zaszły w zachowaniach naszych przodków w okresie pomiędzy 300 tys. a 30 tys. lat temu, kiedy to wyłonił się *Homo sapiens* w obecnej postaci. Dowody archeologiczne sugerują, że właśnie wtedy pojawił się cały wachlarz zachowań określanych jako „współcześnie ludzkie" (ang. *modern human behavior*), czemu towarzyszyły także różne zmiany anatomiczne, związane przede wszystkim z kształtem ↦

Targ w Ubud, Bali, lipiec 2006 r.

↦ czaszki. Te ostatnie pod pewnym względem przypominają zmiany, jakie zaszły u udomowionych wilków – co może sugerować, że właśnie w okresie od 300 do 30 tys. lat temu doszło do kluczowego etapu „samoudomowienia się" człowieka. Jednym z jego przejawów była właśnie zmiana zachowania na bardziej tolerancyjne dla obcych. A to położyło podwaliny pod dalszą ewolucję bardzo złożonych zachowań społecznych.

Nie wszyscy uczeni zgadzają się co do dokładnego zakresu „nowoczesnych zachowań", ale najczęściej wymienia się m.in. celowe pochówki, wyspecjalizowane techniki wyrobu narzędzi, pojawianie się zdobień ciała, stosowanie pigmentów i symboliczną sztukę (wszystko to sugeruje m.in. obecność jakichś wierzeń religijnych). Część z tych zachowań i wytworów kulturowych obserwujemy w śladach pozostawionych przez wcześniej żyjących przedstawicieli naszego rodzaju, ale we wspomnianym okresie stają się one znacznie bardziej rozpowszechnione, rośnie też ich poziom złożoności.

Obserwuje się wówczas także wymianę handlową na niespotykaną wcześniej skalę. Przykładowo, obsydian, minerał wykorzystywany do wytwarzania narzędzi, zaczyna być transportowany na odległość kilkudziesięciu kilometrów. Wcześniej populacje *Homo* pozyskiwały materiały występujące w promieniu kilku kilometrów. Z okresu środkowej epoki kamienia (przeszło 50 tys. lat temu) znamy populacje zamieszkujące kotlinę Kalahari, które wykorzystywały surowce wydobyte z lokalizacji oddalonych o blisko 300 km, zwłaszcza w okresach suszy.

Te odległości wyraźnie sugerują rozwiniętą wymianę handlową, która mogła stanowić jedyny sposób na pozyskanie rzadkich i nierównomiernie rozmieszczonych dóbr. Warunkiem niezbędnym do jej trwałości wydają się zarówno rozwinięte zdolności poznawcze (m.in. artykułowany język), jak i umiejętności społeczne, empatia i skłonność do współpracy z obcymi.

Pomór ssaków

Nadal nie mamy oczywiście rozstrzygających dowodów na to, że naszkicowany przez Spikins i jej współpracowników scenariusz – zgodnie z którym to właśnie pogarszające się warunki środowiskowe doprowadziły do wzrostu tolerancji i skłonności do kooperacji wśród wczesnych populacji *Homo sapiens* – faktycznie miał miejsce. Ale przeprowadzona symulacja przynajmniej obrazuje, dlaczego na dość późnym etapie naszej ewolucyjnej historii kluczową rolę mogły odgrywać czynniki środowiskowe. Te ostatnie w symulacji rozumiane były bardzo ogólnie: odzwierciedleniem pogarszających się warunków środowiskowych był wyłącznie wyższy koszt płodzenia i wychowywania potomstwa przez komputerowych agentów. A na to wpływ mogą mieć zarówno trudniejsze warunki klimatyczne, jak i mniejsza dostępność zasobów spowodowana innymi czynnikami.

Symulacja nie była na tyle głęboka, by można było dokładniej zidentyfikować źródło problemów komputerowych postaci. Zresztą, w tym przypadku nie było to zbyt istotne, bo jeśli chcielibyśmy się dowiedzieć, czy zarysowany scenariusz faktycznie mógł mieć miejsce, musielibyśmy porównać symulowane warunki z tymi, w których w rzeczywistości przyszło żyć naszym przodkom. Sprawa jest bardzo dyskusyjna, bo mówimy o rozległym okresie, sięgającym ok. 270 tys. lat, w którym *Homo sapiens* wyszli poza Afrykę i rozprzestrzenili się po kilku kontynentach. Warunki życia poszczególnych ludzkich społeczności musiały się więc znacznie od siebie różnić.

Autorzy pracy zauważają jednak w tym kontekście, że ok. 500 tys. lat temu w Afryce rozpoczął się okres susz, który doprowadził m.in. do przerzedzenia populacji wielu gatunków ssaków. To wszystko mogło wywierać wpływ na ewolucję zachowań społecznych najstarszych populacji *Homo sapiens* – zainicjować serię zmian w zachowaniu, które pozwoliły nam przetrwać i ostatecznie doprowadziły nas tu, gdzie jesteśmy.

© KASPER KALINOWSKI

POŻEGNANIE

Covid-19 zabrał nam
wielkiego gdańszczanina
bezcennego twórcę kultury i tożsamości Gdańska
wizjonera realizującego marzenia
dobrego człowieka

odszedł
pozostawiając nas w poczuciu wielkiej straty

prof. Jerzy Limon
(1950–2021)

anglista, literaturoznawca
teatrolog, pisarz, tłumacz
nauczyciel akademicki,
członek korespondent Polskiej Akademii Nauk,
fundator i wieloletni prezes Fundacji Theatrum Gedanense,
pomysłodawca i organizator
Festiwalu Szekspirowskiego w Gdańsku.

Dziełem jego życia i wielką miłością
był Gdański Teatr Szekspirowski.
Za ten teatr po stokroć dziękujemy!

Z wyrazami współczucia dla najbliższych
w imieniu gdańszczanek i gdańszczan

Aleksandra Dulkiewicz, prezydent Gdańska
Agnieszka Owczarczak, przewodnicząca Rady Miasta Gdańska

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój

rozmowy
Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas
na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania
na **powszech.net/podkast**

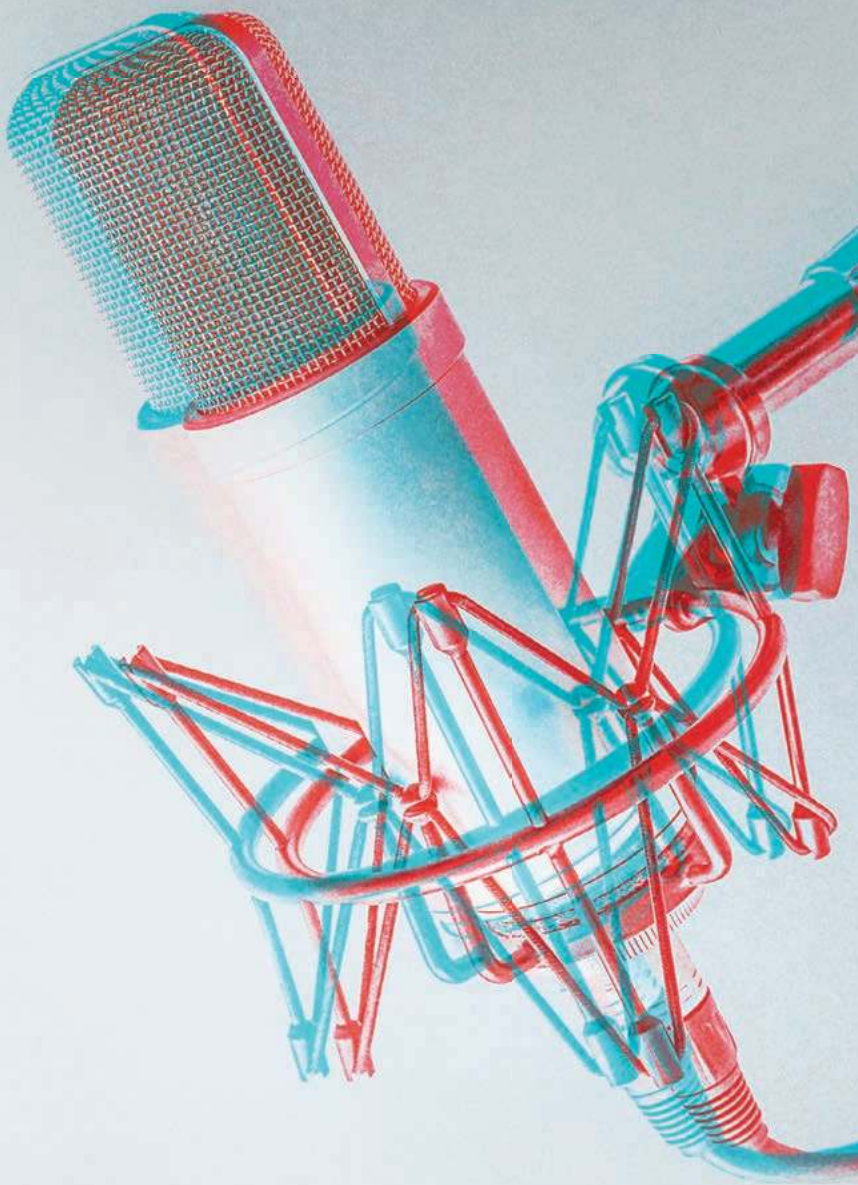

weź, słuchaj!

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FAJNA MUZYCZKA

MONIKA BRODKA, ARTYSTKA:

Często ludzie myślą, że jestem bardziej krucha i skryta. Widzą filigranową kobietę, więc kompletnie nie spodziewają się charakteru, który jest z tym ciałem zespolony. I pojawia się zgrzyt.

EWELINA BURDA: Jesteś już muzyczną seniorką?

MONIKA BRODKA: Chyba tak. Stara dusza ze mnie.

A zaczęłaś młodo: jako szesnastolatka wygrałaś „Idola", pierwszy muzyczny talent show. Na nagraniach z 2004 r. śpiewasz piosenki Janis Joplin i Eryki Badu. Blisko Ci dalej do tych dźwięków?

Czasami przewiną się przez mój odtwarzacz. Wciąż łączy mnie z nimi to, że od zawsze fascynowały mnie takie kobiece postaci. Czułam niesamowitą energię płynącą od silnych kobiet stojących na scenie i zmieniających bieg historii światowej muzyki. Zawsze miałam dla nich ogromny szacunek. I zawsze jakoś bardziej się utożsamiałam ze sztuką tworzoną przez kobiety.

Jakie to jeszcze kobiety?

Patti Smith, PJ Harvey, Björk czy bardziej z dziś FKA Twigs. To jednostki, które zmieniają coś w postrzeganiu muzyki, w postrzeganiu kobiet na scenie. Björk za-

MARCIN KEMPSKI / I LIKE PHOTO

MONIKA BRODKA (ur. 1988 w Twardorzeczce koło Żywca) jest wokalistką, kompozytorką, autorką tekstów i reżyserką teledysków. Zadebiutowała jako szesnastolatka po wygranej w muzycznym talent show „Idol". W 2004 r. wydała debiutancką płytę „Album". Później były „Moje piosenki" (2006), „Granda" (2010), minialbum „LAX" i „Clashes" (2016) oraz płyta z zapisem akustycznego koncertu „MTV Unplugged. Brodka". Wiosną tego roku ukaże się jej piąty album „Brut", z którego pochodzi singiel „Game Change".

wsze była pionierką i trendsetterką, jeśli chodzi o łączenie muzyki z technologią, zawsze o krok dalej, proponując nowy kierunek. Patti Smith to królowa punkrocka i ciągnie mnie do jej energii scenicznej. A FKA Twigs jest bardzo ciekawa pod kątem tworzenia dziwnego awatara, kreowania postaci, co mnie też bardzo inspiruje. I miała wielką odwagę nagłośnienia sprawy molestowania, dając też wielu kobietom inspirację, głos i wsparcie.

Polka?

Niesamowitą postacią była dla mnie zawsze Kora. Ona miała w sobie ten bunt, siłę i niezależność, działając w rockowym, złożonym z mężczyzn świecie. I też przełamywała stereotyp pięknej kobiety z długimi włosami, która ma stać na scenie i cieszyć oko. Zawsze była przede wszystkim orędowniczką oryginalności i miała bardzo dużo do powiedzenia.

Wielkie wrażenie zrobiła na mnie też Kayah, pamiętam pierwsze spotkanie z nią na nagraniu piosenki dla powodzian. Taka super kobieta-rakieta na scenie. Gdy byłam tą 16-letnią Moniką, ona mi imponowała najbardziej, jeśli chodzi o działania na scenie popowej.

Dawno już nie śpiewasz popu. Późną wiosną ukaże się Twoja kolejna płyta „Brut". Jaka będzie?

Traktuję moje płyty jak pudełka z niespodziankami – można wsadzić do niego rękę i wyciągnąć coś z wierzchu, ale można też pogrzebać i sięgnąć na samo dno. Jest tam dużo bardzo różnych rzeczy do wyjęcia. Zależało mi, żeby ta płyta była dużo bardziej rytmiczna niż poprzednia i żeby odbierać ją bardziej fizycznie.

Dużo jest na tej płycie o samej Brodce?

Nigdy nie byłam typem artystki, która za pomocą swojej twórczości rozliczała się z jakimiś przykrymi czy trudnymi wydarzeniami w życiu. A jeżeli nawet to robiłam, zawsze było to tak zakamuflowane, że tylko ja o tym wiedziałam. Tutaj moich osobistych historii jest dużo więcej.

Jakie to historie?

Sporo jest tu mojej romantycznej strony, piosenek o miłości, o związkach i patrzeniu na to już z dorosłej perspektywy. I muszę przyznać, że jeżeli chodzi o warstwę tekstową, to jest moja najbardziej osobista płyta. Mam ↦

↦ wrażenie, że dużo można się o mnie z tych tekstów dowiedzieć. Tylko trzeba się w to wgryźć.

Śpiewanie po angielsku to Twój pancerz bezpieczeństwa?

Lubię śpiewać po angielsku i lubię zostawiać sobie tę barierę w postaci języka. Może czułabym się bardziej skrępowana, śpiewając te same historie po polsku, bo mogłyby one od razu zarezonować u kogoś konkretnym skojarzeniem?

Często powtarzasz, że przy komponowaniu zdajesz się na intuicję.

Tak. To jest taki intymny czas, kiedy jestem tylko ja i instrument, i próbuję zobaczyć, co mi tam w duszy gra. Pozwalam, żeby melodie się ze mnie wylały. Siadam do utworów codziennie, narzucam sobie jakąś systematykę – raz coś z tego wychodzi, raz nie. A w momencie, kiedy pojawia się ta „boża iskierka", daję się ponieść wenie. I zauważyłam, że bardzo często są to raczej minorowe kompozycje. Większe piękno zawsze dostrzegałam w piosenkach z dużą nutą nostalgii. Nie wzbraniam się przed tym i czuję, że we mnie dużo jest jakiegoś smutku czy melancholii.

Z wiekiem coraz więcej?

Na pewno coraz mniej jest we mnie naiwności. Moi fani są przyzwyczajeni, żeby widzieć mnie w bardziej energetycznej formie, ale od ostatnich płyt czuję, że więcej mam do powiedzenia na innym polu. I za tym podążam. Myślę, że istnieje coś takiego jak słowiańska nostalgia, a takie melodie są gdzieś mocno w moim DNA.

Tak jak góralski charakter?

Walczę o swoje, to na pewno, i jest w tym pewien upór oraz pewna zadziorność. Pewnie jest to mocno związane z tym, skąd jestem. Walczę o każdy element w mojej pracy, robię wszystko, co mogę, żeby dostarczać ludziom najbardziej jakościowe rzeczy. Mój tata, który jest muzykiem ludowym i folklorystą, przez 50 lat pracy zawodowej z uporem realizuje swoją dziedzinę, która jest niszą, ale bardzo ciekawą. Więc może wyniosłam to z domu?

Twój rodzinny dom w Twardorzeczce na Żywiecczyźnie od zawsze był bardzo muzykalny.

Grał mój dziadek, grają moi rodzice, brat. Ta muzykalność jest częścią bycia góralem. Łatwiej przychodzi nam chwytanie za instrument, śpiewanie. Jest to naturalne, bo taka była praktyka od lat: ludzie nawiedzali się w domach, wspólnie śpiewali, wspólnie kolędowali, szli od jednego sąsiada do drugiego, grupa się powiększała, a na końcu była to wielka orkiestra. Muzyka nie była wyborem, ale czymś wyssanym z mlekiem.

Koncertowałaś od dzieciństwa – sporo podróżowałaś z tatą i jego zespołem Ziemia Żywiecka.

To są wspaniałe wspomnienia: trzydniowa podróż autokarem, przystanki w lasach, podczas których wszyscy otwierają konserwy i odpalają małe palniki. Jechałam na przednim siedzeniu autokaru i patrzyłam na Europę piękną i szeroką.

Jakie dźwięki pamiętasz z dzieciństwa najmocniej?

„Clashes", moja poprzednia płyta, to właśnie sięgnięcie do pierwszego doświadczenia związanego z muzyką, które miałam jako dziecko, czyli do muzyki organowej, którą słyszałam w kościele podczas mszy i gdy śpiewałam razem z tłumem. Z kolei przy „Grandzie" mierzyłam się z muzyką ludową, z tymi instrumentami, które towarzyszyły mi od najmłodszych lat.

Buntowałaś się kiedyś przeciwko temu?

Miałam taki okres. Chodziłam do szkoły muzycznej od szóstego roku życia i tam uczyłam się grać na skrzypcach muzykę klasyczną. Po zajęciach biegłam na próbę do zespołu mojego taty, gdzie grałam muzykę góralską i brakowało mi możliwości odkrycia tego, co jest tak naprawdę moją muzyką. Przyszedł moment, kiedy odkryłam, że bardzo lubię śpiewać i chciałabym się kształcić w tym kierunku. Później zaczęłam śpiewać utwory bardziej popowe, rozrywkowe, słuchałam kaset od moich rówieśników.

Jakie to były zespoły?

Miałam na Śląsku kuzynkę Martę, starszą o kilka lat, często spędzałam u niej wakacje. I od niej przejmowałam inspiracje muzyczne. Przyjeżdżałam tam i słuchałam jeszcze Backstreet Boys, a ona już słuchała Nirvany i chodziła w wyciągniętych swetrach. Za rok to ja chodziłam w tych swetrach, ale ona była już gdzieś dalej.

Co śpiewała mała Monika?

W podstawówce często występowałam na akademiach muzycznych i najczęściej śpiewałam wtedy „Killing me softly" na zmianę z „Widziałam orła cień". Na wszystkich spotkaniach rodzinnych byłam wypychana na środek pokoju.

Grasz jeszcze czasem na skrzypcach?

Bardzo rzadko. Edukacja w szkole muzycznej bardzo mnie zmęczyła. W pewnym momencie kojarzyła mi się tylko z przymusem, mało w tym było przyjemności i pasji do grania muzyki klasycznej. Później nie do końca znajdowałam zastosowanie dla tego instrumentu w muzyce, którą sama robię.

Ale cieszę się, że moje dzieciństwo było bogate w poznawanie muzyki wszelkich gatunków. W mojej głowie powstała mieszanka, która w dorosłym życiu eksplodowała. I tak gotuję z niej kolejne potrawy: z tych wszystkich wspomnień, dźwięków, inspiracji. Lepię z tego coraz to nowe pierogi.

W Twoich nowych kawałkach, które zapowiadają płytę, wybrzmiewa tęsknota za latami 90.

Byłam wtedy taką gąbką, która chłonęła dużo inspiracji z muzyki – grungowej, metalowej. Wtedy tworzyło się też bardzo dużo nowych nurtów w muzyce: cały trip-hop, brit pop. Ta płyta jest moimi powidokami z tamtych lat.

Ale nadal chciałam zrobić coś, co będzie nawiązywało do mojej przeszłości muzycznej, i ponownie zaprosiłam do współpracy tatę oraz moją japońską koleżankę Hiroko Komiyę. Oni zagrali na instrumentach ludowych: na dudach, okarynie, piszczałkach, harmonium, na cytrze. Później te dźwięki zamienialiśmy w sample, by można było tym brzmieniem zagrać na instrumencie klawiszowym. I to zbudowało całą paletę brzmień i kolorów na tę nową płytę.

Beztroska dzieciństwa szybko Ci się skończyła, jako 16-latka wyprowadziłaś się do Warszawy. Dobry początek czy raczej trudne czasy?

Myślę, że jedno i drugie. Wtedy długo się nad tym nie zastanawiałam, czułam, że to jest jedyna możliwość, żeby wyrwać się z rzeczywistości, w której dorastałam

– nie żebym jakoś przesadnie jej nie lubiła. Ale mało kto miał taką możliwość spełniania marzeń. Przeprowadzka z małej wsi na południu Polski do stolicy? To tak, jakbym teraz miała się wyprowadzić do New Delhi. Wielokrotnie się tutaj gubiłam, nikogo nie znałam. Musiałam szybko dorosnąć, nauczyć się samodzielności. Ale to była jedna z najlepszych decyzji w moim życiu.

Przyjechałaś do zupełnie innego miasta.

To było fascynujące obserwować, jak Warszawa się zmienia, kiedy miała jeszcze tak dużo do przerobienia, by dorównać innym stolicom.

Czujesz, że tu są teraz Twoje korzenie?

Jest na pewno coś takiego, co mnie tutaj bardzo mocno trzyma. Robiąc rachunek sumienia zastanawiam się, czemu w sumie wybieram Warszawę. To miasto oferuje pewien luz, choć jesteś w dużej metropolii. Mam tutaj cenne dla mnie przyjaźnie. Często jest tak, że nawet ludzie, którzy mieszkali kilkanaście lat w Nowym Jorku, z jakiegoś powodu na koniec lądują tutaj. Więc jest coś takiego w tej Polsce, co nas tutaj trzyma i do czego lgniemy. Ale co to jest? Nie wiem do końca.

Na klipie do Twojego nowego singla „Game Change" widzimy Warszawę brutalistyczną: jest Młotek – blok przy Smolnej z lat 60., są wnętrza Pałacu Kultury i Nauki, Muzeum Narodowe. Stąd wziął się też tytuł albumu – „Brut".

Chciałam docenić tę naszą polskość i to, skąd jestem. Przemycić nasz socreal w najlepszym tego słowa znaczeniu. Trochę o tym zapominamy, ale dla mnie w tej architekturze, w tej estetyce jest wielka oryginalność i coś, czym możemy świat zaciekawić. Staram się podkreślać, że jestem stąd. I nie udawać, że urodziłam się w Wielkiej Brytanii i tworzę muzykę z Wysp, bo tak nie jest.

Na Twoje płyty długo się czeka.

Tak wygląda mój naturalny rytm pracy – muszę się symbolicznie odciąć od poprzednich rzeczy, pewne sprawy zamknąć w głowie. Pewne rzeczy muszą się w życiu wydarzyć, żebym miała o czym pisać nowe piosenki, bo zmieniam się też jako człowiek. Trudno byłoby mi wydawać płyty co roku.

Nawet ludzie, którzy mieszkali kilkanaście lat w Nowym Jorku, z jakiegoś powodu na koniec lądują w Warszawie. **Więc jest coś, co nas tutaj trzyma i do czego lgniemy.** Ale co to jest? Nie wiem do końca.

Pracę nad „Brutem" zaczęłam na początku 2019 r. Poleciałam wtedy do Los Angeles, zamknęłam się w domu moich przyjaciół na kilka miesięcy. Później szukałam ludzi do współpracy, producenta, a na początku zeszłego roku wyleciałam do Londynu nagrywać. Byłam zmuszona wrócić i nagrywać te wokale sama, bez producenta, z pomocą inżyniera. Pojechaliśmy do domu moich przyjaciół na Warmii i w ich starej stajni zmontowaliśmy sobie studio nagrań. Obłożyliśmy się kocami z każdej strony, żeby wytłumić pomieszczenie.

To Twoja druga płyta, którą robisz na rynek międzynarodowy. Jesteś w pewien sposób zagraniczną debiutantką?

Trochę tak. Poprzednia płyta była jednocześnie moją czwartą, ale pierwszą międzynarodową. To dość wyjątkowa sytuacja.

Często się zmieniasz.

To, w jaką stronę aktualnie muzycznie podążam, często wynika z przerabiania pewnych wątków z przeszłości, to jest rodzaj mojego muzycznego *katharsis*. Ale też pięć lat temu byłam inna, co innego mnie interesowało. To nie jest tak, że mówię sobie: „Już mi się to znudziło, to teraz liznę innego gatunku" albo „Hmm, teraz jest modny hip-hop, to zrobię hiphopową płytę". To wszystko jest u mnie taką naturalną drogą.

Po zeszłorocznym sukcesie Twojej piosenki w ramach Hot16challenge i kilku kawałkach, w których romansowałaś z hip-hopem, wiele osób chciałoby dostać od Ciebie właśnie taką płytę.

A ja najczęściej wtedy robię zwrot w innym kierunku (*śmiech*). Nie chcę wpadać w pułapkę cudzych oczekiwań na mój temat, jaka powinnam być, co powinnam tworzyć. W tych moich romansach z hip-hopem chodzi właśnie o to, że lubię się mierzyć z czymś, czego jeszcze nie znam, i sprawdzić, czy potrafię się w tym odnaleźć po swojemu, dla własnej satysfakcji i ambicji. To mi wystarcza.

„Piękna Pani stop, to ładnej buzi nie przystoi" śpiewasz w kawałku „Żar", który nagrałaś z rapowym duetem PRO8LEM. Słyszałaś tak w życiu?

Ludziom często wydaje się, że jakoś mnie znają: przez pryzmat moich piosenek czy wywiadów. I mają jakieś zdanie na mój temat.

A co zakładają?

Często ludzie myślą, że jestem bardziej krucha, kobieca, skryta. A dostają zestaw cech, które stereotypowo przypisuje się mężczyznom. Widzą małą, filigranową kobietę i kompletnie nie spodziewają się takiego charakteru, który jest z tym ciałem zespolony. I pojawia się zgrzyt. Ale to jest też komentarz do tego wszystkiego, co się dzieje w stosunku do kobiet w Polsce. Do pewnego rodzaj zamykania im ust, braku dialogu.

Społeczno-polityczne sprawy komentujesz raczej oszczędnie.

Czy ja wiem? Wielokrotnie wyrażałam moje poparcie dla Strajku Kobiet. Są rzeczy, które mnie bardziej dotykają, w których czuję, że rodzi się we mnie złość i mam ochotę ją zamanifestować, a w pewnych nie. Nigdy też nie tworzyłam jakoś politycznie zaangażowanej muzyki – np. punkrockowej, jak chociażby Siksa. To jest inny rodzaj performensu. Angażuję się w tych momentach, kiedy czuję, że chcę i powinnam.

Lubisz, jak mówi się o Tobie „piosenkarka"?

Nigdy nie czułam, że jestem jakąś świetną piosenkarką, wokalistką. Mój wokal jest jednym z instrumentów, elementem układanki. Wydaje mi się, że robię dużo więcej w moim życiu zawodowym poza samym śpiewaniem. ↦

To może „muzyk”? Żeńska forma „muzyczka” nie jest zbyt popularna.

Gdyby ludzie patrząc na mnie mówili na przykład: „Ej, fajna muzyczka!”, nie miałabym absolutnie nic przeciwko.

Mogłabyś być samowystarczalna w muzyce?

Tak, chociaż uwielbiam współpracować z ludźmi. Producenci czy muzycy wnoszą wrażliwość i talent do mojej pracy. No i oczywiście zespół ludzi, którzy ze mną pracują na co dzień, jest dla mnie ogromnie ważny i bez nich nie byłoby tak samo. Jestem też w takim fajnym momencie mojej kariery – mogę sama za siebie decydować, sama pisać piosenki, komponować, wymyślać warstwę wizualną, reżyserować swoje klipy. Zawdzięczam to też muzyce popowej, która dała mi rozgłos i przyniosła rozpoznawalność – bez tego pewnie trudno by mi było mieć taki komfort.

A śpiewanie czy gotowanie?

To są u mnie dwa bardzo porównywalne procesy. Gotowanie wzięło się z podobnego założenia jak komponowanie: to zawsze jest wkładanie pewnych składników razem do garnka, próbowanie ich, doprawianie, dopieszczanie i później prezentacja dania. I w sumie ten proces gotowania i komponowania jest bardzo podobny.

Na Instagramie prowadzisz profil Monia Mąci, zapraszasz na gościnne występy w restauracjach. W gotowaniu masz więcej luzu?

Zdecydowanie. Ten profil był trochę stworzony po to, by móc robić rzeczy na spontanie i bez przygotowania, w bardziej naturalnej formie. I żeby też pokazywać moim fanom jakiś fragment mojej rzeczywistości, na który ja się godzę, bo generalnie mało szczegółów z życia prywatnego upubliczniam. Chciałabym, żeby to jednak zostało moje.

Do domu nie wpuszczasz, ale do kuchni już czasami.

Dokładnie. A gotowanie to pasja i sposób na radzenie sobie ze stresem. Długi proces siekania i krojenia był dla mnie zawsze taki terapeutyczny, wyłączałam się z rzeczywistości, zapominałam o problemach przyniesionych z pracy. Jestem też mocno zmysłową osobą. Zmysły są dla mnie bardzo ważne i wszystko oddziałuje na mnie bardzo mocno: dźwięk, obraz, smak i węch.

Czujesz jakiś oddech na karku? Że powinnaś się z czymś pospieszyć?

Artystycznie mam teraz najbardziej płodne lata. Mam poczucie, że z każdą płytą wiem coraz więcej, mam więcej pomysłów, realizuję się artystycznie na wielu nowych polach. Czuję, że po prostu mam chęć i energię, żeby robić takie projekty kompletne, swoje. To jest oczywiście okupione dużym stresem i ogromną pracą. Nowy klip to miesiąc wyjęty z życia i kilka kilogramów w dół. Ale to mi daje taką satysfakcję, której nikt mi nie zabierze.

Czuję, że jeszcze bardzo mi się chce. Może niedługo będę chciała się wyłączyć i trochę pożyć, zająć czymś innym? Ale póki mam ten zapał, to będę pracować tak, jakby jutra miało nie być, żeby zapisać się jakoś w tym leksykonie polskiej muzyki.

Na pewno wpisać tam powinni Twoje metamorfozy.

To jest często taki dziwny rodzaj rozdwojenia jaźni. Realizując klipy mówię o sobie w trzeciej osobie. Wcielam się w postać, która pasuje do danego projektu. I najpierw jest muzyka, ona jest motorem tych działań i zmian. Ale później pracuję nad wizerunkiem i odpowiadam sobie na bardzo wiele pytań, jak ta postać powinna wyglądać, żeby dobrze opowiadać tę historię. Więc trochę traktuję siebie, jakbym wyszła z własnej skóry. I widzę tę drugą Monikę, która jest postacią przypisaną do konkretnego projektu. Ona ma pewne cechy charakteru, zachowuje się i ubiera w specyficzny sposób, ponieważ to pozwala wejść w tę rolę dużo łatwiej i głębiej.

A postać z najnowszego klipu „Game Change” w ogromnym męskim garniturze, w założonym na niego gorsecie, jaka jest? Kim tam chciałaś być?

Chciałam być taką postacią, która niekoniecznie związana jest z jakąś dyskusją na temat płci, albo wręcz przeciwnie – która prowokuje do dyskusji na temat płci. Bardzo wyraźnie daje się odczuć, że społeczeństwo narzuca na płeć bardzo konkretne oczekiwania dotyczące cech wyglądu czy zachowań, które są niewygodne dla wielu osób. Więc jestem tam taką postacią pomiędzy.

Coraz popularniejszy jest taki nurt dyskusji o płci, który kładzie nacisk na neutralność. Może powinniśmy wykształcić formę dialogu, który jest poza płciami, bo płeć żeńska czy męska już na starcie jest jakoś nacechowana. Nie wiedziałam, że ta płyta mnie do takich rozważań doprowadzi. Teksty, które pojawiały mi się w głowie, zbudowałam na bazie moich osobistych doświadczeń.

Do teledysku zainspirowała Cię opowieść o Dziewicach Kanunu, czyli albańskich kobietach, które odgrywają męską rolę w społeczeństwie, by mieć więcej praw.

Moja męska postać w klipie rzeczywiście zainspirowana jest prawem Kanunu, kiedy kobieta przejmuje rolę męską w społeczeństwie. Pojawiam się w nim też w wersji super kobiecej, która nie jest dla mnie naturalna, by podkreślić pewną sztuczność. Mojej bohaterce nie jest w tej roli wygodnie. Może to jest właśnie spełnienie wyobrażeń na mój temat, sprostanie oczekiwaniom?

To blondynka w lateksowej czarnej minisukience, którą nieoficjalnie nazwałaś Lola.

Oglądałam ten klip z wieloma osobami i jak przychodziło do tej sceny, to śmiali się na widok mnie w takim wydaniu. Czują, że to fejk, nie moje zasady. A może gdyby ta Monika nie skręciła w pewnym momencie z drogi popowej, to tak by właśnie wyglądała i przedstawiała się ludziom?

Napisałaś niedawno, że „wchodzisz w nowy rok na własnych zasadach”. Jakie to są zasady?

Zawsze te same.

©℗ Rozmawiała EWELINA BURDA

POŻEGNANIA

Janowi Klacie

wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Matki

składa
„Tygodnik Powszechny”

JUDE MOONEY / KARAKTER

Rebecca Solnit

Duma i pouczenie

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Solnit oprowadza czytelników po galerii niemych kobiet. Niektóre milczą dosłownie, inne krzyczą na próżno.

Przed dwoma laty, też w marcu, pisałam na tych łamach o autobiografii Michelle Obamy [czytaj na powszech.net/obama]. Wokół jej „Becoming" rozpętał się medialny huragan po obu stronach oceanu. Obamę zaliczono do grona najbardziej wpływowych kobiet świata, cytując obficie jej wystąpienia, będące wzorcem *power speech* – mowy, która ma inspirować i uskrzydlać. Najszerszym echem odbiło się przemówienie w New Hampshire w październiku 2016 r., w trakcie wyścigu między Hillary Clinton a Donaldem Trumpem: „Te haniebne komentarze na temat naszego ciała, ten brak szacunku dla naszych ambicji i intelektu, to przekonanie, że możesz zrobić kobiecie, cokolwiek chcesz... To jest po prostu okrutne i przerażające". Oskarżała kandydata Republikanów w imieniu całego pokolenia kobiet. Po porażce Clinton spekulowano, że to Obama za kilka lat zostanie pierwszą prezydentką Stanów Zjednoczonych.

Teraz była pierwsza dama znów zawitała pod strzechy – jako producentka filmów dostępnych na Netfliksie. Oprócz dokumentalnej wersji „Becoming" została bohaterką serialu dla dzieci „Gofcia i Mochi" (premiera tuż, 16 marca), gdzie razem z dwiema tytułowymi pacynkami zachęca do poznawania zdrowych potraw kulinarnych z całego świata. Oczywiście, w czasach kryzysu klimatycznego promowanie wśród najmłodszych lokalnej kuchni opartej na warzywach i owocach też może być gestem politycznym, ale chyba nie o to chodziło tym, które w Michelle Obamie pokładały nadzieję na kobiecą zmianę warty na szczytach władzy. Dlaczego na własne życzenie odrzuciła rolę mentorki społecznej zmiany, o której tyle mówiła i pisała?

Nie trzeba chwytać się przykładu Ameryki, by pytać o to, czemu kobiece słowa tak rzadko działają, są ignorowane, często przez same kobiety. W Polsce, przez którą przeszedł wzdłuż i wszerz Strajk Kobiet, w Dzień Kobiet wystartowała TVP Kobieta. Już oglądanie zwiastuna kanału groziło ciężkim zatruciem seksizmem. Załóż pastelowy garnitur, posprzątaj dom, upiecz brokuły (notabene to ulubione warzywo Baracka Obamy), zajmij się dzieckiem, a w nagrodę powiosłuj w wypełnionej plastikowymi kulkami wannie aż po horyzont własnych możliwości, czyli... z powrotem do kuchni.

Odpowiedzi na pytanie o cienką granicę między mocą jednostki a siłą stereotypu próbuje udzielić Rebecca Solnit. Jej apel o świat dla kobiet unosi się na (trzeciej już) fali anglosaskiego feminizmu. Urodzona w 1961 r. pisarka nie wierzy w politykę równouprawnienia ani w to, że istnieje zamknięty katalog kobiecych spraw. Nie wierzy, więc pisze. „Od dwudziestu lat siadam przy biurku i majstruję przy zdaniach, które potem wysyłam w świat, i przez większą część mojego ↦

↦ pisarskiego żywota różnica między wyrzuceniem czegoś do śmieci a opublikowaniem była raczej niedostrzegalna. Od kilku lat jednak moja praca przynosi odzew, a raczej odzywają się moje czytelniczki i czytelnicy" – cieszyła się dekadę temu. Dziś jest jedną z najczęściej dyskutowanych autorek – z jasno określoną misją.

Panjaśnianie, męsplikacja, tłumaczyzm

„Jest prawdą powszechnie znaną, że kobiecie mającej własny pogląd brak do szczęścia tylko cudzych pouczeń" – ta parafraza zdania otwierającego sławną powieść Jane Austen mogłaby być mottem najgłośniejszej książki Solnit pt. „Mężczyźni objaśniają mi świat" (2014, pol. wyd. 2017). Tytułowy esej powstał już w 2008 r. i, opublikowany na portalu TomDispatch, natychmiast stał się wiralem. Odwoływał się do powszechnego doświadczenia kobiet, spotykających w pracy, domu lub na przyjęciu panów-wiem-lepiej, mistrzów kategorycznych sądów na każdy temat, ostrzeliwujących słowa ich rozmówczyń.

Esej okazał się tekstem ważniejszym, niż autorka mogła przypuszczać. W trakcie lektury niejedna czytelniczka mimowolnie potakiwała głową, przypominając sobie analogiczne sytuacje z własnego życia. Dzięki tekstowi Solnit męskie pouczanie dla wielu kobiet i niewielu mężczyzn przestało być zjawiskiem przezroczystym i cicho akceptowanym jako coś, z czym trzeba się pogodzić. Na kanwie opowieści Amerykanki ukuto słowo *mansplaining* (Solnit nie jest jego twórczynią, lecz admiratorką), tłumaczone jako panjaśnianie, męsplikacja albo tłumaczyzm.

Solnit doświadczyła panjaśniania na przykład wtedy, gdy gospodarz wystawnego przyjęcia, na które była zaproszona, utrzymywał, że lepiej zna od niej książkę, którą ona sama napisała. Nie mógł zresztą z początku uwierzyć, że kobieta jest autorką cenionej pracy o Eadweardzie Muybridge'u, XIX-wiecznym fotografie eksperymentującym z animacją. Książek Solnit nie sposób bowiem ustawić na półce z napisem „literatura feministyczna".

Najpierw wyszła z żydowsko-irlandzkiego, przemocowego domu w Novato pod San Francisco i wyjechała uczyć się do Paryża. W latach 80., kiedy kończyła studia dziennikarskie w Berkeley, zaangażowała się w ruch przeciw broni jądrowej, przejmując pałeczkę od swoich ciotek, Mary Solnit Clarke i June Solnit Sale, wieloletnich działaczek na rzecz praw człowieka. Maszerowała w tłumie jej podobnych wokół poligonu w Nevadzie, mając w głowie słowa Henry'ego Davida Thoreau. Autor „Sztuki chodzenia" jest też patronem jej „Zewu włóczęgi. Opowieści wędrownych" (2001, pol. wyd. 2018), kulturowej historii przemieszczania się piechotą, co Solnit sama z lubością praktykuje.

W pochodzie wielkich spacerowiczów kroczą u niej Arystoteles, Hobbes, Rousseau, Kant, Kierkegaard, a także Wordsworth, Joyce i bitnicy. Spacerowiczek jest dużo mniej. Choć Solnit obok Virginii Woolf, Jane Austen czy Mariny Abramović, odbywającej wielki spacer po Wielkim Murze, przedstawia postacie wyciągnięte z cienia, to równowagi płci nie udało się jednak zachować. Czy dlatego, że – jak twierdzą niektórzy antropolodzy – kosztem przystosowania kobiecych miednic do rodzenia jest słabszy chód i bardziej osiadły tryb życia? Czy samo stawianie takich hipotez nie jest odpryskiem patriarchalnej kultury? Siedemnastoletniej Rebece radzono, żeby nie szwendała się sama, bo może się doigrać. Jej rówieśniczki słyszały podobne perorowanie. „W nich zduszono pragnienie samotnej wędrówki – ja jednak wciąż tego pragnę" – wyznaje Solnit.

W kolejnych książkach, „Nadzieja w mroku" (2004, pol. wyd. 2019), „A Field Guide to Getting Lost" („Przewodnik gubienia się", 2005) i w paru pozycjach poświęconych Kalifornii, znowu wyrusza śladem ludzi wychodzących z domu, by zmienić życie albo cały świat. „Zawsze jest za wcześnie, by wycofać się w domowe zacisze. I zawsze jest za wcześnie, by przewidzieć i właściwie oszacować skutki własnych działań" – pisze w „Nadziei w mroku", która powstała w reakcji na wojnę z Irakiem, a z Solnit uczyniła publiczną intelektualistkę.

Milczenie owiec

„Historia milczenia jest kluczem do historii kobiet" – przekonuje w „Matce wszystkich pytań", zbiorze esejów z lat 2014-16, wydanym właśnie po polsku przez Karakter. Bez mówienia na głos doświadczenie nie zamieni się w podzielaną społecznie interpretację, a interpretacja w narrację, z której ludzie będą czerpać prawdę o świecie. Idzie śladem tych, które męsko-żeńskiej dychotomii stawiały opór. To m.in. dziewiętnastowieczna sufrażystka i abolicjonistka Elizabeth Cady Stanton oraz filolożka klasyczna, gwiazda programów BBC i publiczna intelektualistka Mary Beard.

Ta ostatnia jest autorką głośnych, *nomen omen*, wykładów o kulturowej historii uciszania kobiet. Zostały one wydane w tomie „Kobiety i władza" (2017, pol. wyd. 2018). Sąd nad Europą Beard zaczyna od pierwszej pieśni „Odysei", gdy Telemach rozkazuje Penelopie, by przestała użalać się nad losem i wróciła do krosien. To on będzie za nią mówić. „Scena ta dobrze pokazuje, że już u zarania kultury zachodniej, kiedy pojawiają się jej źródła pisane, kobiecego głosu w sferze publicznej nie słychać – przekonuje Beard. – Co więcej, jak twierdzi Homer, nieodłącznym elementem dorastania mężczyzny jest uczenie się przejmowania władzy nad wypowiedziami publicznymi i uciszania samic rodzaju ludzkiego".

Solnit też oprowadza czytelników po galerii niemych kobiet. Niektóre milczą dosłownie, inne krzyczą na próżno. Amerykanka szczególną uwagę poświęca milczącym artystkom i intelektualistkom. Można utyskiwać na stosowanie klasowej soczewki, zniekształcającej obraz całości, ale autorka wielokrotnie przytacza dane o ogólnospołecznej skali przemocy wobec kobiet. Wyróżnienie historii molestowanych i wiele lat milczących o tym Mayi Angelou, Marthy Nussbaum czy Anity Hill ma wykazać niejednoznaczność kategorii ofiary. Żadna kobieta nie może być pewna, że ofiarą się nie stanie, ale też żadna nie musi zmienić się w owcę milcząco znoszącą swój los.

Autorka „Matki..." staje po stronie wszystkich, które zdecydowały się powiedzieć o krzywdzie. Wierzy im, więc o nich pisze. Ufa Nafissatou

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Diallo, pokojówce, która oskarżyła Dominique'a Strauss-Kahna o napaść seksualną, i Dylan Farrow, której opowieść o molestowaniu przez adopcyjnego ojca, Woody'ego Allena, w ciągu trzydziestu lat wiele razy wracała na forum mediów (właśnie przypomina ją serial dokumentalny HBO „Allen kontra Farrow"). Wierzy też Emmie Sulkowicz, studentce wydziału sztuk pięknych Uniwersytetu Columbia, która w 2012 r. zgłosiła władzom uczelni i policji, że została zgwałcona przez kolegę ze studiów. Nie znajdując wsparcia, wzięła materac, czyli scenę przemocy, i zaczęła chodzić z nim po kampusie. Wstyd przemieniła w wypowiedź artystyczną, czym zyskała tylu nowych przyjaciół, co wrogów. Wskazanego przez nią sprawcę oczyszczono z zarzutów.

O czym jest „Lolita"?

Kij w mrowisko autorka eseju „Mężczyźni objaśniają mi »Lolitę«" wsadza też wtedy, gdy deklaruje, że identyfikuje się z bohaterką najsłynniejszej powieści Vladimira Nabokova: „Kiedy utożsamiamy się z Lolitą, staje się jasne, że Nabokov napisał powieść o białym mężczyźnie, który przez kilka lat systematycznie gwałcił dziecko. Czy da się czytać »Lolitę«, usilnie starając się nie zwracać uwagi na jej fabułę i bohaterów?". Spokojnie – nie zamierza palić na stosie książek Nabokova. Chciałaby natomiast wypowiedzenia prostej prawdy, że literackie arcydzieło, należące od lat do kanonu inteligenta, jest wyestetyzowaną opowieścią o pedofilii. Krytycy tego utworu celebrują jego styl, a rzadko odnoszą się wprost do treści. Dla Amerykanki dominująca recepcja „Lolity" jest symbolem moralnej porażki Zachodu.

Solnit składa też samokrytykę. Skoro, jako zadeklarowana feministka, po odczycie o Virginii Woolf poddaje się presji, by sumiennie odpowiadać na pytanie o to, dlaczego słynna pisarka nie miała dzieci – to mówi przez nią coś trwalszego niż jej własna filozofia. Tym czymś jest przymus klasyfikowania ludzi. Na wierzchu przybornika z kategoriami leżą płeć i zadekretowane jej role. „To niesłychane, że opowiadając się za poskromieniem ducha konwencjonalnej kobiecości, dopuściłam do takiej wymiany zdań" – żałuje. Dalej opisuje jednak powody także swojej bezdzietności. To tłumaczenie jest jak wpadnięcie we własne sidła, ale znajduje uzasadnienie wtedy, gdy autorka podaje w wątpliwość „matkę wszystkich pytań", czyli sens stawianego kobietom pytania o to, czy są szczęśliwe. Nie ma jednej opowieści o szczęściu. Niektórym w ogóle ta emocja nie jest potrzebna do dobrego życia, wybierają dawanie miłości, zaangażowanie w ideę albo obronę różnie pojętego honoru.

> Słowa Solnit są najmocniejszym komentarzem do naszej sytuacji, kiedy pisze o – wydawałoby się – prostych etycznie sprawach. Że przyczyną gwałtu jest gwałciciel. **Że nienawiść do kobiet nie może być usprawiedliwiona tradycją.**

Męska sprawa

„Dyskryminację i przemoc uważa się za »sprawę kobiecą« wyłącznie dlatego, że na ogół ofiarami są kobiety; jednak na ogół sprawcami są mężczyźni – więc może powinno się mówić o »sprawie męskiej«" – postuluje pisarka. Jej refleksja jest też krytyką języka służącego do wyrażania sądów o świecie i jego mieszkańcach. Kategorie proponowane przez kobiety, jak gwałt na randce czy molestowanie seksualne, długo czekały na wejście do uniwersalnego słownika.

Jednocześnie kategoria „kobiety" wciąż traktowana jest niczym wzorzec z Sèvres: wszystkie mamy być takie same, zwłaszcza jeśli przedmiotem pomiarów stają się nasze wady.

Z jednej strony Solnit słusznie przekonuje, że kategorie społeczne są nieszczelne i bardziej plastyczne, niż sądziliśmy. Z drugiej – przyznaje, że wyłuskiwanie wzorów zachowań może być kluczem do zrozumienia źródeł przemocy. Często generalizuje o mężczyznach, czym naraża się na zarzut stosowania podwójnych standardów – kobiety u niej są zawsze różne, a mężczyźni najczęściej tacy sami.

Czy zanurzone w kulturze anglosaskiej tezy można wprost odnosić do polskiej rzeczywistości? Polski wydawca książek Amerykanki odpowiada twierdząco poprzez okładkową grafikę autorstwa Przemka Dębowskiego. Przedstawia ona komiksowy dymek (w którym umieszczone jest nazwisko autorki i tytuł książki), zakończony charakterystyczną błyskawicą – symbolem Ogólnopolskiego Strajku Kobiet.

Jednak słowa Solnit są najmocniejszym komentarzem do naszej sytuacji, kiedy pisze o – wydawałoby się – prostych etycznie sprawach. Że przyczyną gwałtu jest gwałciciel. Że dowcipy o gwałtach nie są śmieszne. Że nienawiść do kobiet nie może być usprawiedliwiona tradycją. W tej płciowej nienawiści znajduje źródło stygmatyzacji kobiet jako złych matek, niedoszłych matek albo roszczeniowych matek. „Nienawiść do kobiet wymaga narracji, z której mężczyźni znikają, kobiety zaś cudownym sposobem produkują dzieci z powietrza i zepsucia" – pisarka opowiada się za prawem kobiet do przerywania ciąży, ale nie wyłącznie dlatego, że jest to tak zwana „kobieca sprawa". Aborcja ma bowiem najczęściej miejsce wtedy, kiedy zarówno kobieta nie wyobraża sobie, że będzie matką, jak i mężczyzna – że będzie ojcem i weźmie odpowiedzialność.

Mimo dobitnych tez systematycznie powtarzanych w jej książkach, Rebecca Solnit jest umiarkowaną optymistką. Wieszczy nadejście nowego mężczyzny. Feministy, który nie tylko powstrzyma się od pouczania, ale będzie też czytał ze zrozumieniem teksty feministycznych autorek. Wątpię, czy prędko to nastąpi, lecz – choć marna to pociecha – przynajmniej w eseistyce szklany sufit już zaczął pękać. W modnych kręgach intelektualnych nie straci się dziś twarzy, mając nikłe pojęcie o Bukowskim albo Hemingwayu, za to Solnit wstyd nie znać.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Rebecca Solnit
MATKA WSZYSTKICH PYTAŃ
przeł. Barbara Kopeć-Umiastowska, Karakter, Kraków 2021

„Kobiety brzemienne" (1906) Xawerego Dunikowskiego, schody wejściowe do Zachęty. Własność: Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni, Oddział Muzeum Narodowego w Warszawie

Przedmioty i żywe istoty

TEKST I ZDJĘCIA PIOTR KOSIEWSKI

Dlaczego dziś, w dobie tak wielu możliwości, nadal upierać się przy tym, żeby być rzeźbiarzem?

Wystawa „Rzeźba w poszukiwaniu miejsca" w warszawskiej Zachęcie zajęła główne sale ekspozycyjne galerii, ale też klatkę schodową, a nawet fasadę budynku. Imponująca jest lista ponad stu artystek i artystów. Otwiera ją Xawery Dunikowski. Jak podkreśla Zbigniew Libera, był on „pierwszym artystą, który w Polsce z rzeźby uczynił sztukę". Przed nim – to słowa samego Dunikowskiego – „jakby nic nie było". W swoich pracach powstałych w pierwszych dekadach XX wieku postawił pytanie o miejsce rzeźby i o granice, które są jej narzucane.

U stóp wielkich schodów prowadzących do głównych sal wystawowych Zachęty ustawiono jego „Kobiety brzemienne" (1906). Rzeźbiarz przedstawił postaci w ruchu. Same figury zostały dość swobodnie wymodelowane, pozbawione postumentów. Stoją wprost na podłożu. Oglądający mogą między nimi przechodzić – nie ma barier dzielących rzeźby i otaczającą je rzeczywistość.

Te „Kobiety" spoglądają na „Gladiatora" Piusa Welońskiego. Rzeźbę będącą jedną z ikon Zachęty, symbolizującą męską siłę, skontrastowano z przedstawieniem kobiecości. Do tego szczególnym, bo Dunikowski przedstawił kobiety w stanie, którego pokazywanie w zachodniej sztuce – z jednym znaczącym wyjątkiem, czyli wyobrażeniami Marii – było niemalże niedopuszczalne.

Wystawa w Zachęcie nie jest encyklopedycznym przeglądem, lecz formą autorskiego eseju wizualnego, w którym na równych prawach znalazły się zarówno prace znanych artystów, jak ludowych, czasami anonimowych twórców. Ta wielopoziomowa i międzypokoleniowa opowieść – jak podkreśla Anna Maria Leśniewska – ma pokazać, jak „od XIX wieku do dziś szeroko rozumiana forma rzeźbiarska przeobraziła się w przestrzeń społecznego istnienia".

Przede wszystkim pokazuje więc, jak nieoczywiste formy rzeźba dziś przyjmuje: od bardzo tradycyjnych, zaczerpniętych z przeszłości, po nowe media i rozmaite formuły hybrydowe: rzeźbo-fotografie czy rzeźbo-performensy. W jaki sposób zmienia ona myślenie o przestrzeni i relacjach, jakie zachodzą między przedmiotami, ale i znajdującymi się w niej żywymi organizmami.

Wielość

W części zatytułowanej „Żywioły", poświęconej pierwszym składnikom świata jako siłom pochodzącym „nie wiadomo skąd", wybuchającym „niespodzianie poza naszą kontrolą i poza naszą władzą sądzenia" (słowa Piotra Bosackiego), znalazł się „Monolit" (2020) Roberta Kuśmirowskiego: ogromny, przytłaczający, jakby nieludzką ręką stworzony. Towarzyszą mu prace wideo Normana Leto, który w przestrzeni cyfrowej odtworzył m.in. galeryjne sale Zachęty i poznańskiego Arsenału, w nich kreując przestrzenne, rzeźbiarskie formy, ale także rzeźby ludowego artysty Szczepana Muchy i kute, metalowe krzyże z lat 30. ubiegłego wieku.

Te zestawienia czy połączenia nie zawsze są przekonujące. Niekiedy mogą budzić sprzeciw, skłaniać do polemiki.

Zuzanna Janin „Pomnik nastolatki. Portret potrójny (Majka, Melania, Zuzanna)", z cyklu „Rzeźba antropocenu", 2019, żywica epoksydowa, piaskowiec

Wymuszają jednak myślenie, wykroczenie poza przyzwyczajenia i oczywiste poglądy na temat twórców czy nawet pewnych nurtów w sztuce. Kuratorka wystawy zdaje się namawiać do przyglądania się przede wszystkim formie, a dopiero później stawiania pytań o funkcje poszczególnych dzieł.

Przyjęcie takiej perspektywy pozwoliło pokazać na wystawie zarówno wyestetyzowane, formalistyczne, a zarazem uwodzące swym pięknem prace, jak efektowna, zajmująca niemalże całą salę „Agresja" (2020, z cyklu „Krystalizacja przestrzeni") Ludwiki Ogorzelec, artystki od lat mieszkającej we Francji i dopiero od niedawna lepiej obecnej w kraju (jej duża wystawa monograficzna trwa właśnie w Zamku Ujazdowskim), jak i twórczość związaną z nurtem sztuki krytycznej. Przy czym wymiar społeczny i polityczny rzeźby na samej wystawie został mocno wyciszony.

Najciekawsze w tym spojrzeniu jest przyjrzenie się długiemu trwaniu pewnych idei, postaw, praktyk – wykraczające poza podziały pokoleniowe, a tym bardziej środowiskowe. Znany cytat zaś z tekstu Katarzyny Kobro z 1929 r. – „rzeźba stanowi część przestrzeni, w jakiej się znajduje. Dlatego nie powinna być od niej odłączona. Rzeźba wchodzi w przestrzeń, a przestrzeń w nią" – nie tylko zakreśla tematykę sali otwierającej wystawę, ale w ogóle narzuca współczesne myślenie o tej dyscyplinie.

Twórczość Kobro oraz Władysława Strzemińskiego jest zresztą jednym z najważniejszych punktów wystawy. Obecna – to jeden z paradoksów ekspozycji – jedynie pośrednio, poprzez prace artystów młodszych pokoleń, jak Kamil Kuskowski, który wypreparowuje kluczowe jego zdaniem elementy z twórczości i działalności Strzemińskiego i tworzy z nich nowe obiekty. Jednak myślenie o rzeźbie jako czynniku kształtującym przestrzeń jest też bliskie np. Magdalenie Abakanowicz.

Jedna z najpiękniejszych i najefektowniejszych jej prac, „Kompozycja monumentalna" (1973-75), dominuje w części wystawy poświęconej roli przestrzeni w rzeźbie. Wielka czerwona tkanina zawieszona u sufitu, potężna, a jednocześnie ezoteryczna, zdaje się być potwierdzeniem słów samej artystki: „rzeźba nie może się stać, istnieje bardziej w wyobraźni niż w świecie".

Magdalena Abakanowicz „Kompozycja monumentalna", 1973–1975, sizal, len, wełna. Własność: Muzeum Państwa Polskiego w Gnieźnie

Kunstkamera

W niektórych częściach wystawy nagromadzenie i różnorodność prac przypomina dawne gabinety osobliwości. Miejsca będące prapoczątkiem nowożytnych muzeów, w których gromadzono obiekty cenne, ale też egzotyczne, mające budzić podziw, ale też zdziwienie. To odczucie nie jest przypadkowe. Kuratorka wystawy podkreśla, że dążyła „do stworzenia zbioru dzieł wszechstronnego oka i ucha", który ma dawać wrażenie Kunstkamery właśnie.

Wystawa nie przełamuje bowiem obowiązujących w naszej sztuce hierarchii i kanonów, za to zwraca uwagę na twórców czy zjawiska dotąd trochę marginalizowane. Mocno obecni na wystawie są tzw. artyści naiwni czy ludowi. Czy ich twórczość nadal może być spychana do kategorii etnografii? Czy nadal przekonujący jest podział na twórczość profesjonalną i nieprofesjonalną?

Inny ciekawy wątek to rzeźba kinetyczna, przez lata trochę zapomniana. Na wystawie znalazła się m.in. rekonstrukcja ↦

↦ imponującej pracy Edwarda Ihnatowicza „Senster" (1968-70), powstałej pierwotnie dla pawilonu wystawienniczego koncernu Philips w holenderskim Eindhoven i będącej świadectwem ówczesnych prób wykorzystania innowacji technicznych – praca wykrywała poruszające się osoby i dźwięki, a następnie po komputerowej analizie wprowadzała całą konstrukcję w ruch.

Po co rzeźba?

„Jestem artystą-rzeźbiarzem (...) niezależnie jakimi środkami się posługuję" – zadeklarował przed kilkoma laty Krzysztof M. Bednarski, jeden z kluczowych artystów ostatnich dekad. I dodał: „istotniejsze jest dla mnie pytanie, nie czym jest rzeźba (...) tylko »dlaczego ten zawód, dlaczego rzeźba?«". To chyba najważniejsza z kwestii postawionych w Zachęcie. Dlaczego dziś, w dobie tak wielu możliwości, nadal upierać się przy tym, żeby być rzeźbiarzem?

Na wystawie nie znajdzie się ostatecznej odpowiedzi, jest raczej wielogłos. Rzeźba bywa tu grą tradycją, namysłem nad formą i jej przemianami, daje możliwość opowiedzenia – jak w przypadku Zuzanny Janin – własnego doświadczenia. Ale może być też, jak w działaniach Pawła Althamera, doświadczeniem wspólnotowym i możliwością mierzenia się – czego przykładem niezwykłe upamiętnienie Lecha Kaczyńskiego – ze zbiorową pamięcią.

Maria Pinińska-Bereś wspominała, jak na studiach – a była uczennicą Dunikowskiego – musiała zmierzyć się z tradycją rzeźbiarską i narzuconymi w jej ramach formułami. „Odrzucając to, co konwencjonalne, musiałam sięgnąć do własnego ja. A to ja było kobietą, z całym bagażem problemów płci". I stworzyła prace, których szczególne znaczenie w polskiej sztuce dopiero dzisiaj zostało w pełni dostrzeżone. Pokazała też, że rzeźba właśnie dzięki swym ograniczeniom stwarza ogromne możliwości. Musi tylko znaleźć swoje nowe miejsce we współczesnym świecie. © PIOTR KOSIEWSKI

RZEŹBA W POSZUKIWANIU MIEJSCA,
Warszawa, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, wystawa czynna do 21 marca 2021 r., kuratorka: Anna Maria Leśniewska

KILLIT.FILM

Kadr z filmu Mariusza Wilczyńskiego „Zabij to i wyjedź z tego miasta"

Jesteśmy łatwopalni

ANITA PIOTROWSKA

Oto animacja cała zrobiona z miłości, aczkolwiek chwilami bardzo szorstkiej i pozbawionej złudzeń.

Przed kilkoma tygodniami umarł Krzysztof Kowalewski. Kiedy dzisiaj słyszy się z ekranu jego tubalny głos, mrówki – oraz muchy – wędrują po plecach. Bo scena, o której mowa, jest w filmie „Zabij to i wyjedź z tego miasta" najbardziej osobista. Dzieje się w szpitalu podczas sekcji zwłok matki reżysera. Mariusz Wilczyński obnaża tu skandal śmierci, jej nieprzyzwoitość i absurd. A także nasz wieczny wobec niej niedoczas.

Co więcej, podczas zszywania ciała kobiety, od łona w górę, bohaterowie gwarzą sobie o różnych gatunkach much i o czasach dzieciństwa, sama zaś animacja i jej styl (chropawy, brudny, odręczny) również staje się rodzajem zszywania – naśladuje kapryśną pracę pamięci albo snu. W ten sposób artysta wpuszcza nas do swojego uniwersum, otwiera przed nami kolejne szkatułki i odsłania kolejne rany, ale zachęca też do używania własnych narzędzi. Własnych igieł i nici.

„Zabij..." to rzecz o buszowaniu w czasie i wywoływaniu duchów: miejsc, rzeczy, konkretnych ludzi. Ci ostatni powracają w zarejestrowanych wcześniej głosach, które dzisiaj brzmią niczym nagrania z zaświatów: Ireny Kwiatkowskiej, Gustawa Holoubka, Tomasza Stańki, Andrzeja Wajdy (bądź naśladującego go wybornie Marka Kondrata). Niektórzy swoimi rolami „zrobili mu dzieciństwo", inni – jak Tadeusz Nalepa zjawiający się we własnej osobie i utworach – byli najlepszymi przyjaciółmi reżysera. Dołączają do nich Barbara Krafftówna, Krystyna Janda, Andrzej Chyra, Maja Ostaszewska, Magdalena Cielecka, Małgorzata Kożuchowska...

Wraz z rodzicami reżysera zmartwychwstają wryte w pamięć postacie sprzedawczyń, sąsiadów, przechodniów, bohaterowie książek czy kreskówek. Umarli spotykają się z żywymi, dalecy znajomi z bliskimi, figury wymyślone mieszają się z realnymi, a prywatne anioły stróże z wewnętrznymi demonami. W jednej ze scen dorosły Mariusz, wielki niczym Guliwer wśród liliputów, zagląda przez okno do swojego mieszkania z czasów dzieciństwa. Widzi odmłodzonych rodziców, rozświetloną choinkę w pokoju, małego Mariuszka w łóżeczku i ze smoczkiem.

Film Wilczyńskiego, który powstawał przez czternaście lat, ma w sobie coś ze spóźnionego pożegnania, lecz także z zaklinania nieuchronnego. W innej scenie filmowy Mariusz głosem Holoubka mówi o swojej niewierze w śmierć. I choć to bardziej życzenie niż deklara-

cja, wyprawa w świat wspomnień jest czymś więcej niż tylko ucieczką w przeszłość czy podróżą do kresu. Dla głównego bohatera okazuje się równocześnie nowym początkiem. Resetem koniecznym dla dalszego funkcjonowania.

„Wilk" rysuje własną regresję w taki sposób, że staje się ona udziałem widza. Łódź pod wpływem jego kreski zamienia się w archetypiczne miasto z czasów Peerelu – istny Mordor spowity dymem z fabrycznych kominów, dzwoniący tramwajami jak na trwogę, znaczony świetlnymi ikonami Peweksu, sklepu Centrali Rybnej, kiosku Ruchu i lokalnego dancingu. W pamięci dziecka zapisała się także agresja rodzinnego miasta: tu doprawdy człowiek człowiekowi wilkiem, tym razem bez aluzji do nazwiska reżysera. Na dodatek zagnieździły się w tym miejscu znajome skądinąd moce piekielne: Woland co i raz miesza w kotle, Behemot sypie groszem, a odcięta głowa Berlioza próbuje coś powiedzieć, tyle że na wspak.

Wiecznie opóźniony pociąg pośpieszny, siermiężne wczasy nad Bałtykiem, które dla dziecka i tak miały posmak raju, rozmowa telefoniczna z arogancką zawiadowczynią stacji czy fantazja o rejsie „Batorym" – to obrazy z pamięci kolektywnej przepuszczone przez indywidualny filtr. Co charakterystyczne, bywa on zarazem brutalny i czuły. Wytwarza to jedyną w swoim rodzaju emocję, objawiającą się równocześnie ściśniętym gardłem i oczarowaniem. Melancholijna „magiczna godzina" wyraża się u Wilczyńskiego nie tylko w sposobie oświetlenia kadru.

Przed nami jeden z tych filmów, w których twórca i tworzywo stają się organiczną wręcz jednością. Stąd zmysłowa faktura obrazu: widać, że papier, na którym artysta rysuje kolejne warstwy siebie, jest wymięty, posklejany, czasem wyrwany z zeszytu, a w rysunku czuje się drżenie jego ręki. Pojedyncze krwistoczerwone detale parzą wzrok niczym ognik z papierosa otwierający film. A może to światło jakiegoś wewnętrznego projektora, który pracuje wedle własnych praw? Dlatego w „Zabij..." kształty ludzkie i zwierzęce przenikają się płynnie, sytuacje powtarzają się i zapętlają, czas płynie w różnych kierunkach. Współtwórcom filmu udało się zanurzyć ten prywatno-zbiorowy mikrokosmos w wyjątkowo intymnej fonosferze. Z ekranu słychać każdy niemal oddech, mlaśnięcie, skrzypienie podłogi, a sceny, w których jedna matka (Janda) wykrzykuje przez telefon swoją rozpacz, a inna (Cielecka) znęca się w tramwaju nad swoim dzieckiem, zadają niemal fizyczne rany.

Podczas jazdy na mityczne wybrzeże Mariusz spotyka w przedziale parę staruszków (Kwiatkowska i Wajda), odbywających swoją ostatnią zapewne podróż. Kiedyś walczyli w powstaniu warszawskim, dziś wyglądają niczym zasuszona Myszka Miki i wyliniały Kaczor Donald w harcerskim mundurku. Z ich wzajemnej relacji wyłania się esencja tego, czym jest „Zabij to i wyjedź z tego miasta" – ów kolczasty splot okrucieństwa, serdeczności i humoru. Krzepki dziadunio mówi w pewnym momencie o nietrwałości kondycji ludzkiej – wszak zrobieni jesteśmy z „łatwopalnego materiału". Nie wiem, czy mamy do czynienia z filmem zmieniającym życie, ale na pewno potrafi on wyzwalać, choćby na chwilę tylko, te lepsze, bardziej ludzkie odruchy. W tym sensie wykrzywiony groteską świat, w którym nawet anioł nad szpitalnym łóżkiem smutno zwiesza głowę, na jednych zadziała wyłącznie jak uderzenie obuchem, dla innych może być niczym gorzkie, acz skuteczne lekarstwo.

Puentująca film „Modlitwa" Tadeusza Nalepy przechodzi od błagania o jeszcze jedną szansę do wołania o miłość. „Zabij..." wydaje się cały zrobiony z miłości, aczkolwiek chwilami bardzo szorstkiej i pozbawionej złudzeń. Wbrew swemu tytułowi niczego się tu nie zabija i nie opuszcza, wręcz przeciwnie – ożywia się i obsesyjnie powraca. I choć panującej w filmie epidemii samotności i żałoby nic zażegnać nie może, a koło ratunkowe wcześniej czy później zamieni się w pogrzebowy wieniec, Wilczyński do końca odprawia swój prywatny rytuał dziadów. Robi to za pośrednictwem ruchomych obrazków, rysowanych jak kura pazurem, podpisanych szkolnym pismem. I potrafi przy tym wyzwolić imaginarium tak bogate, tak głęboko wnikające w podświadomość, że można zanurzyć się w nim bez reszty, razem ze swoimi umarłymi i żywymi. ©

ZABIJ TO I WYJEDŹ Z TEGO MIASTA
– reż. Mariusz Wilczyński.
Prod. Polska 2020. Dystryb. Gutek Film

WARTO ZOBACZYĆ

1. Margaret Atwood. Słowo to siła

Dokumentalny, reż. Nancy Lang, Peter Raymont, Kanada 2019, HBO GO

Dla wielu kobiet na całym świecie jej książki stały się manifestem. Serialowa adaptacja „Opowieści podręcznej" utrwaliła w kulturze popularnej problematykę feminizmu i wylansowała nową ikonografię. Dokument przedstawia Atwood jako czerpiącą z wielu źródeł pisarkę, niestrudzoną aktywistkę oraz wizjonerkę, której dzieło, będące w dużej mierze upiorną dystopią, wyprzedziło swój czas.

2. DAU. Natasza

Dramat, reż. Ilja Chrżanowski, Jekaterina Oertel, Rosja 2020, VOD Nowe Horyzonty

Stalinowski terror jeszcze nigdy nie był na ekranie aż tak demoniczny wobec bezbronnej jednostki. Doświadcza tego niemłoda kierowniczka kantyny przy tajnym instytucie badawczym, wplątana w polityczną intrygę. Film jest częścią kontrowersyjnego eksperymentu o nazwie DAU, w którym aktorzy, również ci nieprofesjonalni, byli przez długi czas izolowani od świata i zachęcani do ryzykownych przekroczeń.

3. Fotograf wojny

Dokumentalny, reż. Boris Benjamin Bertram, Dania 2019, vod.mdag.pl

Jan Grarup, wybitny fotoreporter duński, to postać, którą uchwycić może jedynie portret podwójny. Dokument pozwala zobaczyć go przede wszystkim od tej drugiej, mniej spektakularnej strony – jako ojca czwórki dzieci, który w obliczu śmiertelnej choroby byłej żony i z dala od najbardziej zapalnych stron świata musi zmierzyć się z zupełnie nowym wyzwaniem.

4. Sole

Dramat, reż. Carlo Sironi, Włochy/Polska 2019, vod.pl, Premiery CANAL+, Player

Dziewczyna z Polski decyduje się sprzedać swoje nowo narodzone dziecko włoskiej parze. Proceder odbywa się pod przykrywką adopcji rodzinnej, faworyzowanej przez miejscowe prawo. Między dziewczyną a pilnującym ją młodym Ermanno zaczyna wytwarzać się bliska więź, co komplikuje transakcję. W roli głównej wyśmienita Sandra Drzymalska.

Lektor:
Pożegnanie z Arkadią

▪ *Gerald Durrell*
OGRÓD BOGÓW
Przełożyła Ewa Horodyska.
Oficyna Literacka Noir sur Blanc,
Warszawa 2021, ss. 186.

Jaka szkoda, że to już koniec! Bo „Ogród bogów" stanowi ostatnią część trylogii z Korfu, autorstwa wybitnego propagatora wiedzy przyrodniczej i założyciela ogrodu zoologicznego na wyspie Jersey, zajmującego się ratowaniem ginących gatunków. Gerald (1925–1995) był najmłodszym z czworga rodzeństwa; jego najstarszy brat Lawrence (1912–1990) to jeden z najwybitniejszych pisarzy brytyjskich minionego wieku, autor „Kwartetu aleksandryjskiego". Durrellowie urodzili się w Indiach, ich matka Louisa należała do trzeciego pokolenia przybyszów z wysp. Nagła śmierć ojca zmusiła rodzinę do przyjazdu do Anglii (bo trudno mówić o powrocie), gdzie nie mogli się zaadaptować, a Louisa wpadła w depresję i alkoholizm. Ratunkiem okazał się wyjazd w 1935 r. na grecką wyspę Korfu...
Opowieści Geralda o dzieciństwie na Korfu to świetna humorystyczna proza, działająca terapeutycznie, dlatego polecam ją zwłaszcza dzisiaj. Nie trzeba traktować ich jak autobiografii – Michael Haag w książce „Durrellowie z Korfu" pokazuje, że Gerald kształtował obraz przeszłości dość swobodnie, usuwając z niego na przykład Nancy, żonę Lawrence'a, i przypisując sobie przygody starszego brata Lesliego. Chodziło przede wszystkim o stworzenie arkadyjskiej wizji beztroskiego życia szalonej rodziny na równie szalonej wyspie. I galerii barwnych postaci – doktor Teodor Stephanides, opiekuńczy taksówkarz Spiros i przybywający nieustannie goście, jak sympatyczna para amerykańskich malarzy-gejów, Hindus zwany Jeejee, z którym Louisa może wspominać złote lata indyjskiej młodości, hrabia Rossignol, ucieleśniony stereotyp francuskiego pyszałka, czy stary Turek z trzema żonami, który miałby ochotę uczynić z Margo, siostry Gerry'ego, żonę czwartą.
Arkadia miewa ciemne strony – dobroduszna Mama Condos pozbywa się szczeniąt... zakopując je żywcem w ziemi (Gerry je uratuje), a ulubioną rozrywką młodzieży z Korfu jest strzelanie do wszelkich ptaków. Sam Gerry realizuje swoje pasje w sposób trudny czasem do zaakceptowania – oddychamy z ulgą, gdy jednak nie uda mu się podebrać pisklęcia z gniazda sępa. Feeryczne zakończenie – orientalna uczta wydana na urodziny Jeejee, z występami artystycznymi, pokazem magii i niekończącym się recitalem sprośnych piosenek śpiewanych przez kapitana Creecha, niechcianego adoratora pani Durrell – przypomina nam jednak, że to jest trochę baśń... ©℗

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu

„Tygodnik" na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Partyzanckie urodziny

W licznych medialnych debatach z okazji pierwszej rocznicy obecności pandemii w życiu Polaków zabrakło mi pewnej obserwacji – z każdym tygodniem przybywa wśród nas ludzi, którzy już drugi raz z rzędu nie mogą obchodzić urodzin w sposób przyjęty w naszym kręgu: rodzina, przyjaciele, kwiaty, szelest papieru, elokwentne życzenia, zdawkowe uściski, świeczki, pykający korek, sto lat, nie zagaśnie. Urodzeni w drugiej połowie marca, kwietniu, maju... czy to takie dziwne, że zaczynają kombinować, jak się zabawić, z zachowaniem zasad rozsądku i wzajemnej troski o zdrowie?

Po roku – miękkiego w porównaniu z innymi krajami, ale jednak wszechobecnego – dystansowania, zakazów i strachów rozmaite rzeczy przestają być dziwne, a głowa zabiera się za tworzenie normalności z tych klocków, jakie los rozsypał nam na podłogę. I tak oto zostałem zaproszony na pierwszy, ale, jak mniemam, nie ostatni urodzinowy spacer. Pogoda jeszcze ze dwa miesiące nie pozwoli na wyprawienie stacjonarnego pikniku, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by wziąć butelkę, jednorazowe kubeczki i udać się w niespieszny obchód po ulicach. Kompaktowe rozmiary Krakowa mają swoje złe strony – tutejsi psychoanalitycy, badając obsesję na punkcie sypania kopców, już dawno sformułowali tzw. hipotezę kreta mówiącą o odreagowaniu klaustrofobicznej codzienności – ale czynią zeń idealne tło do zbiorowego łażenia bez celu. Prawo stanowione, co prawda, zakazuje spożywania alkoholu na ulicach, ale w tych czasach odwołujmy się do wyższego rangą źródła norm – czyli troski o życie i dobrostan duszy. Pokrzepienie uczuć stadnych i umocnienie więzi z bliźnimi w sposób nieczyniący szkody postronnym jest z pewnością ważniejsze dla współżycia społecznego niż bezduszne paragrafy.

Spacer zatem, z postojami na toasty – w razie śpiewów roztropnie będzie podwoić dystans między biesiadnikami. Ale nie samym winem człowiek żyje. Mój umysł zaczął od razu szukać możliwości. Kiedyś parałem się dla zarobku rozmaitymi formami partyzanckiego cateringu, obsługą żywieniową spotkań w najdziwniejszych miejscach i ludzi o najrozmaitszych wymaganiach. To właśnie lubię w tym segmencie gastronomii, że zmusza do karkołomnych rozwiązań, które bywają zabawną przygodą.

Można zabrać trochę rzeczy z domu – i warto pokombinować, żeby nie były to tylko czipsy w trzech smakach – albo poodnajdywać na mapie takie punkty z jedzeniem na wynos, które ułożone we właściwej kolejności stworzyłyby atrakcyjny ciąg. Na początek ostrygi. Nie przepadam za nimi, jak w ogóle za owocami morza spożywanymi 2 tysiące kilometrów od brzegu. Ale urodziny to szczególny moment, a znam przecież na Kleparzu miejsce, gdzie dają je na wynos na tekturowym talerzyku – dzięki temu znika blichtr i zapaszek luksusu w złym guście, jaki niestety ostrygom przeważnie towarzyszy.

W dalszej kolejności wybrałbym smakołyki spod znaku sushi. W warunkach spacerowych można je wyjadać z pudełka palcami, niestety moczenie w sosie sojowym z rozrobionym chrzanem musiałoby zakończyć się tragicznie dla rękawów i spodni – ale raz można zrobić wyjątek i zjeść na sucho. Potem na ząb coś ciepłego, najbardziej pasowałyby mi świeżo usmażone kawałki warzyw w jednym z wariantów panierek z subkontynentu indyjskiego – pakora albo bhaji – albo w tempurze. Jak wszystko, co wychodzi z głębokiego oleju, jest stworzone do zjedzenia natychmiast po odejściu od okienka. Byle mieć w kieszeni paczkę nawilżanych chusteczek.

No dobrze, a coś mniej egzotycznego? Przykro mi, ale w kwestii dającego się łatwo złapać w palce europejskiego jedzenia ulicznego mamy na razie chyba tylko frytki. Owszem, byłem kiedyś w Berlinie na ślubie, po którym podano gościom jako przekąskę pocięte na kawałeczki Currywurst przepijane szampanem. Ale w Krakowie nie znam poza tzw. nyską pod halą targową miejsc, gdzie można by złapać w biegu porządną kiełbasę, nie dorośliśmy jeszcze do tego, by docenić ten fragment naszego dziedzictwa.

W bardziej swojskie rewiry gastronomii uda się wrócić pod koniec spaceru. Tort to akurat rzecz kłopotliwa, musiałby mieć zwartość przesuszonego piernika, żeby goście się nie upaćkali. Ale od czegóż są beziki, a szczególnie ich bardziej wyrafinowani krewni – makaroniki. Idealny tort w wersji modularnej. Kształtne, słodkie, kolorowe i puste w środku, dokładnie takie jak nasz europejski dobrobyt. ©℗

GRINCHH / ADOBE STOCK

Z ulicznych smażonych kąsków, jakie lubiłem chwytać snując się zimą po Włoszech, oprócz ryżowych kulek zwanych arancini lub suppli' wspominam panierowaną mozzarellę „w karocy", bo tak się tłumaczy wyrażenie in carrozza. W domu robię wersję lżej strawną, bo pieczoną, a nie smażoną. Bierzemy po dwie kromki chleba tostowego na osobę, odkrawamy brzegi. Mozzarellę kroimy na cieniutkie plasterki i odkładamy na sito na parę minut, żeby puściła trochę wody, albo delikatnie osuszamy ją papierowym ręcznikiem. Potem robimy z niej i chleba „sandwicze", dodając wedle fantazji trochę ziół, tapenadę, pokrojoną w paski oliwkę albo filecik anchois. Palcami dociskamy brzegi, moczymy je w miseczce z mlekiem, potem w roztrzepanym jajku z solą i pieprzem, i wreszcie obtaczamy w bułce tartej. Kładziemy na blachę z papierem do pieczenia i pieczemy w 200 stopniach ok. 10 minut, do ozłocenia.

JARZY SIĘ

Nad nami lśniła Droga Mleczna, Syriusz, Procjon i Betelgeza. A pod nami, wzdłuż niewidzialnego w ciemności potoku, rozścielał się kosmos niezliczonych, czasem lekko przygasających, zagadkowych punktów światła.

SZYMON DROBNIAK

Dwie godziny drogi z Sydney przez kręte autostrady wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Potem, już w czasie zmierzchu, powolne kluczenie mniejszymi dróżkami. Ocean ma kolor ciężkiej, ołowianej blachy, na niebie wiszą późnosierpniowe chmury. To zimowa Australia. Nie ma śladu po złotych plażach i palącym słońcu. Jest nieprzyjemnie chłodno, wilgotne powietrze stoi w miejscu i wyciąga z ciała resztki ciepła. Szary jak ołów ocean ciągnie się nieruchomą płaszczyzną po horyzont. Pory roku w Australii są nudne. Jest tutaj po prostu ledwo zauważalne osuwanie się z wilgotnego lata w szarą i nieciekawą zimę, i równie powolny powrót do lepkiego, letniego zaduchu.

Z położonej na nadmorskich wzgórzach drogi widzę cel, mocno już zamazany zapadającym zmrokiem: wgryziona w ląd, rozległa zatoka Jervis Bay. Czeka mnie noc w samochodzie (nie było czasu na szukanie noclegu). Zanim jednak pójdę spać (jeśli pójdę spać), mam nadzieję na spektakl. Oby internetowy alert, który wyrwał mnie z pracy, nie okazał się fałszywym alarmem.

Nad zatoką jest pusto. Zły znak. Faktycznie, jest dość chłodno jak na australijską zimę – może to odstraszyło przyjezdnych. Mimo wszystko, po podobnym alercie plaża powinna roić się od podekscytowanych ludzi i wyprężonych trójnogów z najdroższymi lustrzankami wycelowanymi w falujący ocean. Po kilkuset metrach, zostawiwszy światła niewielkiej Vincentii za sobą, wsiąkam w ciemność. W oddali spokojny ocean faluje i chlupocze, kiedy łamią się niewielkie fale – na tyle słabe, że do brzegu dobija tylko leniwe muśnięcie przyboju. Noc zapada szybko. Rozsiadam się na piaszczystej plaży, wzrok kieruję w stronę czarnego oceanu, dającego znać o swoim istnieniu jedynie cichym szumem i wilgotnym zapachem glonów.

Po trzydziestu minutach zaczynam czuć znużenie. Próbuję upartym spojrzeniem zaklinać falującą wodę. I chyba w końcu mi się udaje. Z początku wygląda to jak daleki, buzujący bałwan fal – tyle że morze jest zbyt spokojne, żeby spiętrzyć czoło fal w białe pióropusze piany. Ale moje oczy nie płatają mi figla: jakieś dwadzieścia metrów od brzegu ocean rytmicznie rozjarza się trupiobladym blaskiem, by po sekundzie zgasnąć. Ludzkie oko nie przywykło do chwytania tak słabych i skąpych strumieni fotonów, co chwila więc przemyka mi przez głowę myśl: „Czy to są realne błyski światła, czy może przypadkowy szum pozbawionej bodźców siatkówki?”.

Ale to nie jest zakłócenie – biaława poświata wyraźnie odcina się od smolistej czerni i co najlepsze – powoli sunie do brzegu, pewnie załapawszy się na jakiś leniwy, powierzchniowy prąd. Po kilku minutach światło jest już bardzo wyraźne, ma kształt nieregularnej mleczno-błękitnej kałuży i w absolutnej ciszy pełznie w stronę brzegu, białawą strużką sącząc się przez falującą czerń. Porwane przez leniwy przybój strzępy tej poświaty mieszają się z morską wodą przygasając na chwilę, by po chwili błysnąć zaskakująco wyraźnym niebieskim „fleszem”, uderzając w piasek plaży i osiadając na nim chmarą drobnych, jarzących się iskierek.

GETTY IMAGES

Bioluminescencja fal. Gippsland Lakes Coastal Park w Australii

Dawno zapomniałem o zmęczeniu i przenikliwym chłodzie. Trójnóg mojego podręcznego statywu już wpija się swoimi pazurami w piasek, a cyfrowa matryca przez otwartą na oścież przysłonę spija każdy wpadający do obiektywu foton. Pewnie wiele tych zdjęć się nie uda: za mało fotonów odrywa się od żarzących się turkusem i błękitem plam światła, zbyt mało informacji dociera do aparatu, by był w stanie zrekonstruować cały ten spektakl. Zostawiam na chwilę aparat, ściągam buty i wchodzę w to światło. Moje stopy otacza niebieska aureola, każde poruszenie palcami wzbudza fale i pulsy niebieskiego świecenia. Jakby woda chciała mi coś powiedzieć. Każdy odcisk stóp w piasku na chwilę zapala się tysiącem błękitnych iskier, by po chwili zgasnąć.

Bioluminescencja. Mleczne morze – albo *mareel*, „morze ognia", jak nazywali to zjawisko rybacy z Szetlandów. Światło oceanu. Doskonale wiem, z czym mam do czynienia – a mimo to w mojej głowie krąży tylko jedna myśl: magia!

Bio(chemiczny) blask

Noctiluca scintillans. Po polsku zaklasyfikujemy ten organizm jako bruzdnicę, przedstawiciela jednokomórkowych glonów, o komórkach zamkniętych w pancerzykach celulozowej zbroi. Ten konkretny gatunek pod mikroskopem nie wygląda oszałamiająco: przezroczysty balonik wypełniony niepozorną, jednokomórkową breją. W wodzie porusza się za pomocą wici wygodnie zapakowanej w, *nomen omen*, bruzdę pancerzyka. Za dnia duże skupiska tego glonu wyglądają jak cielisto-różowe plamy unoszące się na morskiej wodzie, biernie wędrujące wzdłuż powierzchniowych prądów. Ale to w nocy *Noctiluca* ujawnia swoją magię.

Noctiluca scintillans, albo „morska iskierka" (z ang. *sea sparkle*), to tylko jeden z wielu setek występujących na Ziemi organizmów potrafiących spontanicznie produkować światło. Na pewno jeden z bardziej niezwykłych. Ponieważ w przypadku bruzdnic mamy do czynienia z pojedynczymi komórkami zawieszonymi w wodzie – efekt ich świecenia jest oszałamiający i trudny do opisania. Uroku świecącym bruzdnicom dodaje fakt, że często świecą dopiero po ich mechanicznym pobudzeniu. Czy jest to nasza ręka przecinająca powierzchnię wody, czy fala przyboju gwałtownie rozbijająca się o piaszczysty brzeg, czy mknący przez podwodną chmurę bruzdnic delfin – efekt jest niezmiennie surrealistyczny. Smugi i pasma niebieskiego, pulsującego światła ciągnące się za ruchomymi obiektami wprawiają w osłupienie.

„Życie tak potrafi?!" – chciałoby się zapytać. I choć biochemia tego zjawiska jest dość dobrze poznana, bardzo trudno zachować powagę, wyzbyć się nienaukowych westchnień i zachwytów, zredukować całe to przedstawienie do zbioru suchych reakcji chemicznych i ekologicznych faktów. Bioluminescencja – nieważne, w której ze swoich taksonomicznych odmian doświadczana – nawet najzatwardzialszych naukowców zamienia w cieszące się z chwili niezwykłości dzieci. Paradoksalnie jest to chyba najlepszy test ↦

↦ nieskrępowanej fascynacji życiem, jaką powinien mieć w sobie każdy biolog.

Sprowadzając magię świecącego na niebiesko morza do fizykochemicznych podstaw możemy stwierdzić, że w zasadzie patrzymy na dość oryginalny rodzaj spalania. Błękitne światło bruzdnic powstaje w reakcji utleniania (nieco bardziej wyrafinowana, spokojniejsza forma „spalania") pewnej substancji: lucyferyny. Konotacje nazewnicze nie są przypadkowe: podobnie jak imię upadłego anioła Lucyfera, nazwa związku chemicznego pochodzi od łacińskiego *lucifer*, co oznacza „niosący światło".

Lucyferyna nie jest jednym konkretnym związkiem, raczej całą rodziną cząsteczek o dość zróżnicowanej strukturze. Ta występująca w bruzdnicach jest krewną chlorofilu, zielonego barwnika umożliwiającego fotosyntezę. Lucyferyny mają wspólną cechę: jeśli utlenimy je w odpowiednich warunkach, uwalniają energię powstającą w trakcie takiej reakcji w postaci fotonu światła, najczęściej niebieskiego lub zielonego. W wykonaniu organizmów żywych jest to jedna z najbardziej niesamowitych reakcji chemicznych: niemalże 90 proc. energii uwalnianej w trakcie utleniania lucyferyny przekształcane jest w światło. Niezły wynik, biorąc pod uwagę, że współczesne lampy LED potrafią jedynie około 20 proc. zużywanej energii elektrycznej wyemitować jako światło widzialne (resztę oddając do otoczenia w postaci ciepła). Oczywiście lucyferyna nie utlenia się ot tak, spontanicznie łącząc się z tlenem w środowisku: w procesie bioluminescencji bierze również udział lucyferaza, enzym przeprowadzający całą reakcję. U bruzdnic lucyferaza upakowana jest w nanofabrykach światła zawieszonych w gęstej komórkowej cytoplazmie, zwanych scyntyllonami.

Ale to wszystko nie ma w tej chwili znaczenia. Liczy się tylko to, że mam kosmos mrugających turkusowo gwiazd u moich stóp. Kleksy mlecznej poświaty obrysowały już całą linię brzegową plaży Barfleur, zupełnie jakby wilgotny piasek nagle zamienił się w lustrzane odbicie czystego, nocnego nieba i biegnącej przez jego środek smugi Drogi Mlecznej.

Skąd w tych niepozornych mikroorganizmach potrzeba świecenia? Światło jest w przyrodzie rodzajem energii dość trudnej do wytworzenia – wymaga specyficznych warunków, precyzyjnego dostrojenia energetycznych poziomów biocząsteczek tak, aby emitowana przez nie energia trafiała dokładnie w irytująco wąskie okienko energetyczne światła widzialnego. Choć zimne światło bioluminescencji wydaje się być zbyt słabe, by dać cokolwiek sensownego dryfującym w wodzie komórkom bruzdnic – być może jego ewolucja wcale nie była chwilową czkawką biochemicznych szlaków.

Możliwe, że bruzdnicowa lucyferyna powstała przez przypadek – świadczyłaby o tym choćby jej struktura, łudząco podobna do łańcuszka kanciastych pierścieni atomów węgla i azotu znajdujących się w cząsteczce chlorofilu. Czy lucyferyna to przypadkowy odpad metabolizmu chlorofilu – tego nie wiemy. Kiedy jednak jej świetlne „zdolności" wyszły na jaw – jej ewolucyjna przydatność mogła być już całkiem spora. Obecnie uważa się, że błyski światła produkowane przez komórki bruzdnic dezorientują bruzdnicowych pożeraczy: większe, drapieżne składniki planktonu takie jak pierwotniaki czy skorupiaki. Niebieskie światło może też wabić w sam środek konsumowanej ławicy bruzdnic większe drapieżniki, naprowadzając je tym samym na cel, jakim mogą być mikrodrapieżniki nękające świecące glony.

O takiej dość wyrafinowanej funkcji bruzdnicowej bioluminescencji może świadczyć jej ulotność: sterowana precyzyjnym zegarem biologicznym znika ona za dnia. Nawet umieszczone w ciemności – komórki *Noctiluca scintillans* przestają błyskać światłem, kiedy ich wewnętrzny czasomierz obwieszcza wschód słońca.

Niebo na ziemi

Spotkanie z bioluminescencją to zawsze przygoda. Nie ma znaczenia miejsce i czas. Dokładnie taki sam zachwyt ogarnia mnie, kiedy stoję w ciemności Beskidu Niskiego, w samym środku wirującego roju świetlików, jak kiedy zagłębiam się w korytarz nisko sklepionej jaskini w australijskich Górach Błękitnych, nie mogąc oderwać wzroku od lśniących w wilgotnej ciszy „świetlnych robaków" (ang. *glow-worms*). Ich jarzące się spokojnym światłem pułapki pokrywają skalny sufit wielu górskich jaskiń w Australii i Nowej Zelandii. Co ciekawe, choć emitują światło przypominające kolorem blask świecących bruzdnic, ich bioluminescencja oparta jest na innej lucyferynie i wyewoluowała zupełnie niezależnie.

> Sprowadzając magię świecącego na niebiesko morza do fizykochemicznych podstaw: patrzymy na dość oryginalny rodzaj spalania. **Błękitne światło bruzdnic powstaje w reakcji utleniania** pewnej substancji: lucyferyny.

Dla mnie, biologa, najbardziej fascynująca jest właśnie tajemnica, naukowy sekret. Wiele na temat świecącego życia już wiemy, rozumiemy biochemię większości produkujących światło reakcji, znamy ewolucyjną historię genów, które programują niezwykłą zdolność przetwarzania energii chemicznej na fotony światła widzialnego. Mimo to wielu tajemnic bioświatła wciąż nie rozumiemy, nie potrafimy zamknąć w prostym równaniu przydatności wielu przypadków bioluminescencji, jej ekologicznej i ewolucyjnej roli.

Jednym z jej najbardziej tajemniczych przykładów są bioluminescencyjne grzyby. Natknąć się na nie można nawet w Polsce – wystarczy wybrać się do starego lasu z dużą ilością martwego drewna, pozostawionego w leśnym runie ku uciesze drewnożernych owadów i grzybów. Nocą, jeśli będziemy mieć szczęście, możemy natknąć się na „leśne duchy": zawieszone nad ziemią, nieruchome obłoczki zielonkawego światła. To grzyby, świecące w ciemności strzępki ich *mycelium* oplatające gnijące drewno.

Choć ludzie natykali się na nie od wieków (stąd historie o wiodących na zatracenie ognikach), o świecących grzybach wciąż wiemy niewiele. Nie mamy dobrych hipotez mogących wyjaśnić fizjologiczną funkcję takiego świecenia. Czy ma odstraszać intruzów i pożeraczy grzybowych owocni-

JAMES STONE / ADOBE STOCK

Bioluminescencyjne grzyby rosnące w Australii

ków? A może przeciwnie – przyciągać amatorów mięsistego grzyba, w nadziei, że pożerając go – pomogą w roznoszeniu zarodników?

Podobne pytania kołatały się w mojej głowie, kiedy kilka lat temu postanowiłem zapuścić się nocą w dzikie ostępy dżungli otaczającej stację terenową w Las Cruces w Kostaryce. Za dnia mój czas zajmowało tam uganianie się po lesie za kolibrami – chciałem zrozumieć ich niezwykłe sposoby manipulowania światłem odbitym od ich maleńkich piór. Pióra kolibrów to cuda naturalnej bioinżynierii, organiczne siatki dyfrakcyjne potrafiące z niczego wyprodukować neonowe fiolety i seledyny, soczyste purpury i lśniące złotem pomarańcze. Ale kostarykańska dżungla barwi się również innym, chłodniejszym światłem.

W poszukiwaniu zimnego bioświatła wybrałem się pewnej nocy z grupą przyjaciół na spacer w samo serce dżungli, w poplątany gąszcz oblepiający dolinę rzeki Java i jej rozwidlające się odnogi. Wejście w wilgotny, hałaśliwy labirynt deszczowego lasu nocą to niezwykłe doświadczenie. Na dno doliny potoku prowadzi tam wąska, kamienista ścieżka. Zamykający się nad nią las pełen był zawieszonych w czarnej pustce oczu, otwierających się i znikających w losowych punktach przestrzeni jak maleńkie złote i srebrne odblaski. Te ssacze i ptasie spojrzenia, obojętnie nas odprowadzające, kiedy zagłębialiśmy się w wilgotny las, były tylko przedsmakiem tego, co czekało nas niżej, nad rwącym strumieniem.

Java płynie po gładkich skałach, z hukiem stacza się z wyżyn nad Las Cruces, i gna przed siebie, na spotkanie drugiego potoku – Gamboa – i dalej, w stronę San Vito. Kiedy wreszcie dotarliśmy nad jej skaliste brzegi – z początku nie potrafiłem zorientować się w widoku, który przed nami się roztaczał. Nad naszymi głowami, w wyrwie przebijającej się przez gęste sklepienie koron drzew, lśniła Droga Mleczna, świeciły mocno Syriusz i Procjon, i Betelgeza w Orionie. A pod nami, wzdłuż niewidzialnego w ciemności potoku, rozścielało się lustrzane odbicie galaktyki, kosmos niezliczonych, czasem lekko przygasających, nieruchomych punktów światła. Zielone punkciki były dosłownie wszędzie: na stromych ścianach wąwozu, na pobliskich pniach drzew, na mokrych skałach, które czułem pod butami. Ciągnąca się w ciemną dal smuga światła, pozamykanego w maleńkie, neonowo-zielone punkty. Jakbym stał nad brzegiem jeziora odbijającego w swojej tafli obraz rozgwieżdżonego nieba.

Lawirując między kamieniami mogliśmy pokonać płytki strumień i z bliska zbadać te seledynowe gwiazdy. Każda z nich była maleńką, wodną larwą bliżej nieokreślonego owada, pewnie jednego ze spotykanych lokalnie świetlików (niestety, nawet przewodnik ze stacji terenowej nie był w stanie podać nam dokładnej taksonomicznej klasyfikacji tych stworzeń). Przyczepione do chropowatych powierzchni nad wodą i w wodzie, larwy świeciły jednostajnym blaskiem produkowanym przez niewielki narząd ukryty pod spodnią częścią ich płaskiego odwłoka. Zaniepokojone naszym ruchem albo nieopatrznie muśnięte błyskiem czołówki, przygasały na kilkanaście sekund, by powoli na powrót się rozjarzyć.

Dlaczego owady te w larwalnym stadium świecą, nie bardzo wiadomo. Jeśli faktycznie są to świetliki, bioluminescencja jest im potrzebna dopiero w dorosłości jako seksualny sygnał osobniczej jakości i kondycji. Dlaczego w takim razie nikt nie zajmował się tymi tajemniczymi owadami, by lepiej zrozumieć logikę ich bioświatła? Nie bardzo wiadomo, jak zabrać się za takie badania. Przeniesione do laboratorium, larwy jednomyślnie traciły zdolność świecenia – nawet po zadbaniu o pozornie takie same, idealne warunki życia, jakich doświadczały w zimnych wodach wartkiej rzeki Java.

W drodze powrotnej do stacji, kiedy wydawało się, że nocna dżungla niczym nas już nie zaskoczy – kątem oka dostrzegłem w smolistej czerni leśnego gąszczu białawy kształt. Nie było to żadne zwierzę – kształt ani drgnął, kiedy nasza grupa się zatrzymała. Kiedy zbliżyłem się do dziwnego obiektu, dopiero po chwili zrozumiałem, na co patrzę. W leśnym runie, na wpół zakopany w suchych liściach, tkwił kawałek gałęzi. Całą jej powierzchnię porastały setki maleńkich owocników, wyglądających jak miniaturowe, półcentymetrowe kopie jadalnej kurki. Owocniki jarzyły się zielono-niebieskim światłem – to ten blask zobaczyliśmy z drogi. Nie mogłem oderwać od nich oczu: oto po raz kolejny biologia z niemalże stuprocentową wydajnością zamieniała energię chemicznych wiązań w światło.

Ostrożnie oderwałem kawałek gałęzi. Chciałem choć na chwilę mieć na własność fragment tego niezwykłego zjawiska. Dowiedzieć się choćby odrobinę więcej na temat jego biologii. Ostatecznie ten kawałek bioluminescencyjnego grzyba nie odsłonił przede mną zbyt wielu sekretów. Biolog ze stacji stwierdził dwa dni później, że grzyb był już zbyt przejrzały, by dało się go oznaczyć ze stuprocentową pewnością. Mój mały eksperyment polegający na obserwowaniu owocników zamkniętych w wilgotnym pojemniku w dzień pokazał, że grzyby świeciły również za dnia – zupełnie inaczej niż sterowana swoim wewnętrznym zegarem bruzdnica *Noctiluca scintillans*.

Niczego więcej mnie ten grzyb nie nauczył – ale w zupełności wystarczyła mi dziecięca radość ze znalezienia wśród milionów gatunków deszczowej dżungli tego jednego, specjalnego, wciąż tajemniczego i nie do końca rozumianego. Być może wrócę w to miejsce, uzbrojony w lepsze metody i więcej determinacji. Być może nadszedł czas, żeby ktoś zajął się nie tylko magią, ale i biologią tego świecącego, kostarykańskiego grzyba.

© SZYMON DROBNIAK

RDC POLSKIE RADIO

SZYMON DROBNIAK będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 10 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

STANISŁAW

Mancewicz:
W dezorientacji

Natychmiast włożyliśmy słuchawki i ustawiliśmy najwyższą czułość w znakomitym aparacie naszej konstrukcji, wykrywającym najcichsze nawet wycie salonu. Podobnież uruchomiliśmy nasz niezwykły mikroskop, za pomocą którego od dawna sprawdzamy najdelikatniejsze salonowe drgnięcia i szarpnięcia. Ku naszemu zaskoczeniu, świecące trupim światłem liczniki obu urządzeń nie wykazały żadnej akcji. Nic. Zero. Popukaliśmy w lampki kontrolne, sprawdziliśmy kable, odegnaliśmy kota, który swym zwierzęcym magnetyzmem zakłóca działanie profesjonalnych urządzeń badawczych, i z czystym sumieniem napisaliśmy, co następuje.

Salon nie wył, gdy p. Duda podpisywał regulację umożliwiającą pracę w dyplomacji ludziom bez wyższego wykształcenia i bez znajomości języków obcych. Salon już nie wyje ani się nie szarpie, bo wie, że częste wycie skraca życie, tzn. nic nie zmienia, albo wręcz sytuację wyjców pogarsza. Druga strona – to znaczy neoelity – są niewyciem elit starych rozczarowane. Zabawa się skończyła, mechanizm się zatarł, a ludzie przekładający dotąd wajchy w spektaklach dla salonu znaleźli sobie – zdaje się – zajęcia finansowo konkretniejsze i mniej rzucające się w oczy. Można więc powiedzieć, że najambitniejszy element intelektualnego projektu politycznego PiS-u jest skończony. Słowem, p. Duda może do końca swego osobliwego urzędowania podpisywać cokolwiek, bo poza najwęższymi kręgami badaczy jego prezydentury nikogo już nie interesuje, co ów porabia, i nikt nigdzie, aż po najdalsze granice tutejszych zlewni, z tego powodu nie wyje ani nie szarpie smyczką.

Niejako przy okazji, bo p. Duda nie miał być dziś bohaterem naszych mniemań, chcemy się pochwalić, że przeczytaliśmy, i to ze zrozumieniem, jakoby wypadło z publicznych wydatków uroczyste kucie szczerozłotego, kilogramowego łańcucha z brylantami dla p. Dudy. Fakt, że w ogóle taki zamiar krążył i był serio na tapecie tutejszych urzędów czy może parlamentu, to temat na wodewil w międzynarodowej obsadzie. Tyle o działalności p. Dudy, który – z tego, co wiadomo – dzwonił ostatnio do Pekinu, by pogadać o szczepionce na COVID-19. Tutejsi władcy i propagandziści bardzo chłodno przyjęli tę inicjatywę, wyglądającą raczej na próbę zasygnalizowania przez p. Dudę swego istnienia podczas roztopów, tzn. w czasie, w którym narty stoją w komórce. Zresztą – przypomnijmy koniecznie – prezydent blisko czterdziestomilionowego kraju, w którym od wielu miesięcy umiera dziennie kilkaset osób, ma lęki szczepionkowe na poziomie czterolatka. Tak to bodaj leciało: „Nie lubię, jak ktoś operuje igłą w okolicy moich ramion”. No więc bardzo jesteśmy ciekawi, jak to brzmi po chińsku.

Wypada teraz wrócić do owego kapitalnego poluzowania warunków dla kandydatów na dyplomatów. Dobrze jest przypomnieć określenie autorstwa nieżyjącego p. Bartoszewskiego. To zgrabne, niestarzejące się słowo brzmi: „dyplomatołek”. Reakcją – wtedy, gdy go użyto po raz pierwszy – było oburzenie ówczesnego PiS-u, dumnego ze swych świetnie wykształconych kandydatów, mówiących w każdym języku świata na dowolny temat. Wszystko wskazuje, że to nieaktualne, dowodzi tego nowa ustawa.

Na koniec ciekawostka. Ambasador bez wykształcenia i znajomości języków to rozwiązanie prawdziwie rewolucyjne. Wszystkie rewolucje – popatrzmy – budowały swe kadry w ten deseń. By znaleźć potwierdzenie stanu rewolucji, udaliśmy się ku niezawodnym forom polskiej prawicy. Nieco zastanych tam komentarzy brzmiało nader dziwnie. To głosy wołające, że owa ustawa jest półśrodkiem, że tylko Miękiszon mógł się zatrzymać w pół drogi, że rząd Zjednoczonej Prawicy znów, jak ostatnio, przestraszył się lewaka, że regulacja powinna pójść do końca i zezwalać, by nikt w polskim korpusie dyplomatycznym nie musiał umieć ani czytać, ani pisać. I wtedy salon by naprawdę zawył. Otóż jesteśmy w kropce: czy oni tam, na prawicowych forach wiodących portali żartują, czy to jest jednak na serio? ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Fundacja
Dorastaj z Nami

PRZEKAŻ 1% DZIECIOM BOHATERÓW

Tata Ani
nie przyjdzie na jej I komunię...
Był ratownikiem górskim, zginął na służbie

Tata Julki
nie przyjdzie już do przedszkola...
Był strażakiem, zginął na służbie

Twój 1% przeznaczymy na terapię psychologiczną i edukację dzieci strażaków, policjantów, żołnierzy, ratowników górskich i medyków walczących z COVID-19, które straciły rodzica na służbie.

KRS: 0000361265

rozlicz się online
www.dorastajznami.org